

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



3

(31) 2002

O Lwowie technicznym ♦ Cmentarz Orłąt i rzekomy lwowianin ♦ O sprawach Polaków na Wschodzie ♦ List ks. biskupa Olszańskiego do Brodzian ♦ Rozmowa z księdzem Krzysztofem ♦ Muzyka w kościele trembowelskim ♦ Wiersze ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Listy

KIM PAN JEST, PANIE Ka?

Zapowiedziany w poprzednim numerze dalszy ciąg naszych wywodów na tematy dokumentacyjno-historyczne – choć to problem ważny i coraz bardziej palący – trzeba na chwilę odłożyć, ponieważ ostatnia dekada maja przyniosła nam coś, czego pominąć milczeniem nie sposób.

Oto infantylna afery, wywołana przez grono prymitywnych nacjonalistów i ksenofobów, doznała w RP swoistej nobilitacji: została u k u r o n i o w a n a. Odezwał się ktoś, kogo przedziwny stosunek do Polski i Polaków z jednej strony, a innych nacji w naszym Kraju lub poza jego granicą (wschodnią) – z drugiej, nie od dziś zastanawia. Także w tym numerze (*Naszym zdaniem*) piszemy o dość bezprecedensowych, jednostronnych sformułowaniach projektu ustawy o mniejszościach narodowych – to jest właśnie ten duch (i zapewne ta ręka).

Pan Kuroń, który kiedyś, za wczesnej komuny, likwidował polskie niezależne harcerstwo, teraz wziął się za Lwowskie Orleża. Za ich cmentarz, bo im samym już niczego złego zrobić nie może, za późno się urodził. „Gazeta Wyborcza” usłużnie wydrukowała pisaninę Kuronia (*Rozumiem protest Ukraińców*, 23 maja), która o tyle jest bez precedensu, że przeciwnikowi, z którym toczy się międzynarodowy spór, całkiem bez ogródek poddaje argumenty przeciw stronie polskiej. Znamienne, że już nazajutrz (24 V) artykuł przetłumaczony na ukraiński (tak szybko chłopcy działają!) ukazał się w gazecie „Wysokij Zamok” we Lwowie. Ale nawet ta sama GW uznała za stosowne – dla równowagi? – zacytować wypowiedzi kilku ukraińskich intelektualistów (T. Prochaśko, T. Czornowił, J. Andruchowicz), prezentujących odmienną postawę niż *lwiwscy* nacjonalistyczni radni i ich honorowy obywatel Kuroń. Wychodzi więc na to, że *naszego bohatera* mniej łączy z ukraińskimi inteligentami, więcej zaś z bojowymi nacjonalistami. Czy dlatego, że antypolscy? Przecież widzieliśmy i słyszeliśmy w TV owego oszołoma, który krzyczał, jak to Polska okupuje dziś *rdzenne ziemie ukraińskie*. Jakoś tak mu się przestawiło. A Kuroń napisał: *Mój ojciec pochodził z Zagłębia Dąbrowskiego, dzięki temu miał na sprawy polsko-ukraińskie spojrzenie z zewnątrz i stąd zrodziła się jego żywiołowa proukraińskość*. No, ciekawe. Ojciec piszącego te słowa pochodził ze Lwowa, ale przez szereg lat przed II wojną mieszkał i pracował w Bielsku, gdzie wtedy było bardzo dużo Niemców. Jednak nie zrodziła się tam w nim *żywiołowa proniemieckość*. Raczej odwrotnie, bo był Polakiem.

Pan Kuroń oskarża Polskę o... zdradę Ukrainy, o to, że Polska po I wojnie światowej odebrała swoje ziemie południowo-wschodnie ze Lwowem – dodajmy, że jednym z głównych – obok Krakowa, Warszawy i Wilna – ośrodków polskości, polskiej historii i kultury. A jakież to państwo zrezygnowałoby ze swego historycznego i aktualnego terytorium? W imię czego? Dla mniejszości narodowych, które w całej Europie żyją we wszystkich krajach (i wszędzie mają pretensje, to naturalne, bo to ich specyfika i ich prawo do narzekania)?

Merytoryczną analizę i ocenę obrzydliwego artykułu Kuronia daje w tym numerze CL Andrzej Pawłowski. Warto tu jednak zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół w wynurzeniach Kuronia, którego Pawłowski nie porusza: oto opowiada Kuroń na samym wstępie, że miał wujka, Polaka o korzeniach ruskich, ale *straszliwie proendeckiego* (tak o nim pisze). Kuroń *ścierał się z nim* w sprawach ukraińskich, a ten, dopiero jako bardzo już stary, po raz pierwszy przyznał że jest Ukraińcem z pochodzenia – *gente rutenus, natione polonus*. Kuroń podsumowuje: *To pokazuje też sytuację Ukraińców na tych terenach*.

Nie rozumiemy, co pokazuje? Trudno zrozumieć, dlaczego Kuroń – podobno Polak – namawiał spolszczonego Rusina, by określił się jako Ukrainiec. Czy można sobie wyobrazić w podobnej sytuacji Niemca, Francuza, Czecha, nie mówiąc o Ukraińcu, któryby podjudzał kogoś przeciw swojemu państwu i narodowi? Interesem każdego państwa i narodu jest naturalizacja innych nacji żyjących na ich terenie. W Polsce nigdy nie robiono tego siłą. A wuj

FELIETON

W KOLORZE ŻŁOTA

*P*rawdę powiedziałwszy, to nie wiem, dlaczego utkwił w mojej pamięci następujący obrazek: biały dom między drzewami, a przed nim siedzący wkoło sterty kaczanów kukurydzy ludzie. W miarę jak zdzierali z kaczanów zielone liście, rósł przed nimi stale powiększający się stos kolb pokrytych złocistym ziarnem. Po tych ziarnach prześlizgiwały się promienie słońca, dodając im blasku, który kładł się też na twarzach ludzi. A nad tym wszystkim rozpięte jak wielki lazuruowy parasol niebo. Zatrzymaliśmy się w tym miejscu we wrześnie ucieczce, ażeby zapytać o dalszą drogę i o przeprawę przez Dniestr. Pędziliśmy właściwie nie wiadomo po co i dokąd, aby jak najdalej od grożącego niebezpieczeństwa wojny, nie wiedząc o tym, że pędzimy w inne i groźniejsze niebezpieczeństwo, o tym, że ten dom, przy którym stanęliśmy, na chwilę zdawał się być oazą ciszy i spokoju.

Najprawdopodobniej teraz, kiedy to opisuję, nie ma już śladu ani tego domu, ani tych ludzi, ani tej złocącej się w słońcu kukurydzy. Wszystko odeszło w niebyt. I wciąż trudno uwierzyć, że coś, co było tak bardzo realne i namacalne, przestało istnieć. Naukowcy badają rzeczy, filozofowie zastanawiają się, dlaczego jest raczej coś niż nic, a ja stale myślę dlaczego to, co było tak bardzo rzeczywiste, coś, czego można było dotknąć, czego smak można było odczuć, nagle przestaje być. Znika jak sen. Albo może staje się snem? Jedyнным świadkiem istnienia jest nasza pamięć, która też zniknie wraz z nami.

Ale jak długo żyjemy, zachowujemy się jak archeolodzy, którzy drążąc w głąb ziemi odkopują coraz to nowe fragmenty istniejących niegdyś rzeczy i starają się z nich odtworzyć to nieistniejące. A kiedy ktoś z boku stojący przygląda się ich pracy, wydaje mu się ona jakaś absurdalna. Przesiewanie piasku, badanie powierzchni każdego napotkanego kamyczka i wielka radość z odnalezienia odtłamka prawdopodobnego dzbanka. My też drążymy, przeszukujemy zakamarki pamięci i szczęściem napawa nas każdy okruch odchodzącej w niebyt rzeczywistości. Tak toczy się nasza historia, historia ludzkości – na niszczeniu, a potem pracowitym odbudowywaniu, ratowaniu ludzi i rzeczy od zapomnienia.

Barbara Czałczyńska

► Kuronia był nawet straszliwie proendecki. Dlaczego panu Kuroniowi (i zapewne jego tatu-siowi z Zagłębia) to przeszkadzało? W imię jakich racji chciał go odpolszczyć?

Przedstawiona przez Kuronia wstępna anegdotka dobrze koresponduje z tenorem jego całego artykułu. Zgodnie świadczą o braku polskiej świadomości i godności.

* * *

W tym numerze piszemy nieco o świecie techniki: o inżynierach, o przemyśle, o kolei i lotnictwie. Ale jest też trochę, jak zwykle, tematyki humanistycznej, artystycznej. I dużo o imprezach w Krakowie i okolicach, bo tego w ostatnim okresie nie brakowało.

Redaktor

Piotr Biliński

ARCYBISKUP WYGNANIEC

W tym roku obchodzimy 40-lecie śmierci ostatniego przed ekspatriacją arcybiskupa lwowskiego, niezapomnianego ks. Eugeniusza Baziaka.

Arcybiskup, Ordynariusz Archidiecezji Lwowskiej i Administrator Apostolski Archidiecezji Krakowskiej. Urodził się w Tarnopolu 8 marca 1890 r. Po ukończeniu gimnazjum i zdaniu matury wstąpił do Seminarium Duchownego we Lwowie (1908), studiował na wydziale teologicznym Uniwersytetu, który ukończył w 1912 r., otrzymując święcenia kapłańskie z rąk abpa Józefa Bilczewskiego. W tym samym roku objął wikariat w Żółkwi, a po wybuchu I wojny światowej został kapelanem wojskowym. Pod koniec wojny przebywał w rodzinnym Tarnopolu, a później, jako prefekt Seminarium Duchownego, we Lwowie. Równoległe z pracą duszpasterską pogłębiał wiedzę teologiczną na studiach doktoranckich we Lwowie, uzyskując w 1921 r. stopień dok-



tora. Dzięki wybitnym zdolnościom naukowym szybko awansował w hierarchii kościelnej, obejmując najpierw probostwo kolegiackie w Stanisławowie (1931) wraz z godnością protonotariusza apostolskiego (infułata), a następnie w 1933 r. sufraganię lwowską przy abpie Twardowskim (sakra 5 XI). Oprócz zaszczytnej funkcji biskupiej pełnił również obowiązki rektora Seminarium Duchownego. Z powodu postępującej choroby Twardowskiego bp Baziak uzyskał większy wpływ na losy archidiecezji lwowskiej, podejmując samodzielnie najważniejsze decyzje. Podczas II wojny światowej został mianowany przez papieża Piusa XII najpierw arcybisku-

pem-koadiutorem abpa Twardowskiego, a po jego śmierci metropolitą lwowskim (22 XI 1944). W dwa lata później na rozkaz bolszewików musiał opuścić archidiecezję i jednym z ostatnich pociągów przyjechał do Lubaczowa, z którego przeniósł się do Wrocławia. Opuszczenie Lwowa przez abpa Baziaka spowodowało wyjazd

wielu księży na zachód, przez co pozbawiona duszpasterskiej opieki diecezja podupadła.

W 1950 r. abp Baziak przybył do Krakowa, gdzie został mianowany arcybiskupem-koadiutorem kardynała Adama Stefana Sapiehy. Po zgonie Kardynała w lipcu 1951 r. papież mianował go administratorem apostolskim archidiecezji krakowskiej. W okresie największych przesładowań Kościoła polskiego przez komunistów i aresztowaniu

prymasa Stefana Wyszyńskiego Baziak został internowany i przez trzy lata przebywał w Tarnowie (1953–56), by w czasie *odwilży październikowej* powrócić do Krakowa.

Podczas internowania władzę w diecezji sprawował wikariusz kapitulny bp Franciszek Jop, który musiał borykać się z opozycją *księży patriotów* (duchowni współpracujący z władzami) i utworzoną przez PAX Bolesława Piaseckiego Komisją Intelktualistów i Działaczy Katolickich. [...] W tym samym czasie odbył się proces Kurii krakowskiej przed sądem wojskowym w Krakowie, mający podważyć autorytet zmarłego kardynała Sapiehy i jego najbliższych współpracowników, oskarżonych o szpiegostwo

i handel dewizami. W marcu 1953 r. władze zawięły wydawanie kierowanego przez Jerzego Turowicza „Tygodnika Powszechnego”, a także zlikwidowały wydział teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kościół był coraz bardziej szykanowany, ale to właśnie Kościołowi przypadło odegrać główną rolę w powojennej historii Polski. Kościół stał się zagrożeniem dla systemu totalitarnego, będąc podporą dla ludzi walczących o prawa człowieka.

W 1958 r. po śmierci biskupa pomocniczego Stanisława Rosponda, dzięki staraniu abpa Baziaka, papież mianował na to stanowisko ks. Karola Wojtyłę.

Na rok 1962 planowano obchody 50-lecia kapłaństwa arcybiskupa Eugeniusza Baziaka; niestety tej uroczystej chwili jubilat już nie dożył. Zmarł na udar serca 15 czerwca w Warszawie, gdzie przebywał na konferencji Episkopatu Polski. Uroczysty pogrzeb odbył się 19 czerwca w Katedrze Wawelskiej. Mszę św. celebrował prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński, bp Karol Wojtyła i arcybiskup poznański Antoni Baraniak. W pogrzebie wzięło udział trzydziestu biskupów, tysiące księży i wiernych. Zwłoki Arcybiskupa złożono w podziemiach kaplicy bpa Andrzeja Zebrzydowskiego. Następca Baziaka, bp Karol Wojtyła, na pogrzebie powiedział:

Kraków to jest jedna z pierwszych stolic Polski. Wawel to jest wzgórze wielkości naszego narodu, tu Go zostawiamy wśród tych wszystkich wielkich duchów, które w ciągu całego tysiąclecia przeszły po tym wzgórzu. Tu Go zostawiamy, razem z tymi wszystkimi szczątkami królów, biskupów, hetmanów i poetów. Tu Go zostawiamy. Niech tu razem z nimi wszystkimi czeka Jego ciało na dzień zmartwychwstania. Niech tu czeka Jego ciało na spełnienie się tych słów Chrystusa Pana: „Ja jestem zmartwychwstanie i żywot. Amen.” (Tyg. Pow. 26/1962).

Doskonali i obszerny artykuł o abp. Eugeniuszu Baziaku pt. *Wielki Wygnaniec* opublikował w „Dzienniku Polskim” 86/02 prof. Ryszard Terlecki, obecny wicedyrektor Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie.

Andrzej Pawłowski

W SPRAWIE CMENTARZA ORŁĄT I NIE TYLKO Do Pana Jacka Kuronia

W „Gazecie Wyborczej” z 23 maja br. wyznał Pan, że rozumie protest Ukraińców w sprawie Cmentarza Orłąt. W rzeczywistości podziela Pan protest większości członków Rady Lwowa, ale członkowie lwowskiej Rady to nie wszyscy Ukraińcy. Po raz drugi wprawił mnie Pan w zdumienie – oczywiście negatywnie.

O Pańskiej walce z komunizmem usłyszałem już w latach sześćdziesiątych ub. stulecia. Słynne były Pańskie stwierdzenia (w liczbie kilkudziesięciu) *co nie jest socjalizmem*. Podziwiałem Pańską uporczywą i ofiarną walkę z najbardziej zakłamanym i obłudnym systemem politycznym, jaki panoszył się w Polsce i pozostałych KDL-ach. Cieszyłem się gdy został Pan ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Darzyłem Pana wielkim szacunkiem i sympatią.

Pierwszy raz doznałem szoku, gdy przeczytałem Pańską wypowiedź dla lwowskiej gazety „Wysokij zamok” w marcu 1992 r., której oświadczył Pan: *Ja, Polak ze Lwowa, jestem szczęśliwy, że Lwów jest miastem ukraińskim – trudno to zrozumieć*. Rzeczywiście trudno to zrozumieć, że Polak i Lwowianin może mieć taki powód do szczęścia. Tego uczucia szczęścia Pan nie uzasadniał – a o uczuciach i preferencjach się nie dyskutuje. Teraz zadziwił mnie Pan po raz drugi o tyle, że usiłuje Pan pokrętnie, niezgodnie z prawdą i w nieobiektywnych uproszczeniach (zdrada Ukrainy przez Polskę) uzasadnić solidarność z radnymi Lwowa. Twierdzi Pan, że Cmentarz Orłąt to monument triumfu oręża polskiego. Dlaczego rozmija się Pan z prawdą? Czy nie rozumie Pan napisu na Łuku Chwały, który ostał się sowieckim czołgom usiłującym go zwalić:



Mortui sunt ut liberi vivamus – Umarli, abyśmy żyli wolni? Gdzie tu triumf oręża? Ten napis to hołd, cześć i chwała poległym, którzy nie wahali się oddać życia, w wielu wypadkach bardzo młodego, aby obronić swe ukochane miasto i ziemię ojczystą. Cmentarze nie są pomnikami orężnej chwały. Każdy grób, obojętnie czy z marmuru czy ziemny, to czyjaś tragedia, to smutek tych, co pozostali, za tym, który odszedł. Monumenty sławiące przewagi orężne, zwycięskie bitwy czy wojny to pomnik Grunwaldzki w Krakowie, Kolumna Zwycięstwa w Berlinie, to przyciężki i ponury pomnik w Lipsku, sławiący zwycięstwo w 1813 roku koalicji Prus, Austrii, Rosji i Szwecji nad Napoleonem w Bitwie Narodów. Pisze Pan, że kolumnadę Cmentarza Orłąt widać było z różnych punktów miasta, że dominowała nad nim. Proszę Pana! Kolumnada widoczna była tylko z Pohulanki i Cetnerówki, które w okresie międzywojennym były przedmieściami Lwowa. Cmentarza Orłąt nie zobaczy Pan nawet z Kopca Unii Lubelskiej. To, co można zewsząd we Lwowie zobaczyć, to maszt telewizyjny, wybudowany przez Sowieców na Wysokim Zamku, u stóp kopca, i szpecący panoramę miasta. Jak na lwowiaka, to kiepsko się Pan orientuje w topografii Lwiego Grodu.

Pisze Pan, że Lwów był *sercem Ukrainy*. Proszę Pana! Historycznie to mianem Ukrainy nazywano w dawnych wiekach ziemię województwa kijowskiego, braclawskiego i czernichowskiego. Lwów był stolicą województwa ruskiego. Te cztery województwa wraz z siedmioma jeszcze, m.in. krakowskim i sandomierskim, tworzyły prowincję małopolską.

O polskości Lwowa można pisać wiele i długo. Ja ograniczę się do dwóch faktów. Otóż sejm I Rzeczypospolitej uchwalał powziętą w r. 1658 nadał miastu miano *Semper Fidelis Poloniae*, przed I wojną światową Polacy stanowili zaś 63% mieszkańców Lwowa; drugą pod względem liczebności stanowiła ludność żydowska, a Rusini (Ukraińcy) lokowali się na trzecim miejscu. Oprócz wymienionych wyżej nacji we Lwowie mieszkali Ormianie, Czesi, Niemcy, Węgrzy, w większości zresztą spolonizowani. Pisze Pan, że *konflikt polsko-ukraiński, nabrzmiały przed wojną, był bardzo żywy we Lwowie. Wojna go jeszcze zaostrzyła*. To są już szczyty przekłamania! To nie wojna zaostriła ten konflikt. To strzały ukraińskich ekstremistów do żołnierzy armii polskiej, walczącej w Małopolsce Wschodniej z nawałą niemiecką we wrześniu 1939 roku, w której szereżach walczyli dzielnie i ofiarnie również żołnierze narodowości ukraińskiej. To wymordowanie polskich profesorów lwowskich wyższych uczelni przez żołnierzy batalionu „Nachtigal” w lipcu 1941 roku, w którym służyli Ukraińcy, a którego ukraińskim dowódcą był Roman Szuchewycz – późniejszy Taras Czuprynka. To powitanie gubernatora Hansa Franka we Lwowie chlebem i solą przez arcybiskupa grekokatolickiego Andrzeja Szeptyckiego. To masowe mordy Polaków na Wołyniu i w województwach tarnopolskim, stanisławowskim, lwowskim, dokonywane przez oddziały UPA. To zbrojne działania już po II wojnie światowej na terenach województw lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego i związane z tym mordy i grabieże ludności polskiej, dokonywane przez upowskie bandy Rena, Hrynia, Hromenki, Burego, Żeleźniaka, Berkuty i wielu innych, pod ogólnym dowództwem Mirosława Onyszkiewicza, pseudonim Orest – wykopały rów nienawiści między Polakami a Ukraińcami.

W 1918 roku – jak to Pan pisze – Ukraina nie mogła się odrodzić. Nie mogła, bo jej nigdy nie było. Mogła się *n a r o d z i ć*. Tylko dla czego miała się rodzić na ziemi, która od połowy XIV wieku należała do Polski, a wcześniej, w X wieku, odebrał ją Lachom Włodzimierz, co zanotował r u s k i kronikarz Nestor? Z Pańskich wywodów

wynika, że Polacy mieli zrzec się Lwowa i Wschodniej Małopolski, żeby mogło powstać państwo ukraińskie. No cóż! Może by to było możliwe, gdyby wszyscy Polacy, a zwłaszcza lwowianie, pochodzili – jak Pański ojciec – z Zagłębia Dąbrowskiego, chociaż bardzo w to wątpię. Polacy we Lwowie pamiętali natomiast, że namiestnik Andrzej Potocki został zastrzelony przez ukraińskiego nacjonalistę, studenta Uniwersytetu Lwowskiego Mirosława Siczyńskiego w 1908 roku. To był pierwszy akt terroru, sygnał, na jakiej drodze i jakimi środkami będą się posługiwać nacjoniści ukraińscy w dążeniu do *samostijnej Ukrainy*. Bo trzeba z całą mocą podkreślić, że nie cała społeczność ruska aprobowała takie metody działania. Droga Siczyńskiego podążył terrorysta z OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów), mordując w Truskawcu w sierpniu 1931 r. posła Tadeusza Hołówkę – zwolennika ułożenia zgodnego współżycia Polaków i Ukraińców. Tą samą drogą podążyli Stefan Bandera i Roman Szuchewycz – uczestnicy śmiertelnego zamachu na ministra spraw wewnętrznych Odrodzonej Polski Bronisława Pierackiego w 1934 roku. To ich nazwiskami nazwali radni Lwowa ulice w tym mieście.

Nie rozumiem Pańskich zastrzeżeń i pretensji, że Armia Hallera została użyta przeciwko wojskom ukraińskim. Przecież była to armia polska, żołnierze tej armii byli Polakami. A dla ścisłości, to rozpoczęła ona działania wojenne 14 maja 1919 r. po upoważnieniu rządu polskiego przez Radę Najwyższą Konferencji Pokojowej w Paryżu do wprowadzenia polskich wojsk do linii rzeki Zbrucz, natomiast jej oddziały nigdy nie walczyły w rejonie Lwowa. Absurdem jest twierdzenie, że wojna polsko-ukraińska *zapowiedziała to, co się stało w 1939 roku*. Dla wszystkich Polaków, a sądzę, że też dla Niemców, Francuzów, Anglików i pozostałych narodów europejskich z wyjątkiem Rosjan – 1939 rok to początek II wojny światowej. Jaki jest związek przyczynowo-skutkowy wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918–19 z wybuchem II wojny światowej – dalibóg nie wiem.

Dla średnio wykształconego Polaka, zwłaszcza mojego i Pańskiego rówieśnika, przyczyną wybuchu II wojny to: powstanie ruchów faszystowskich we Włoszech i w Niemczech, kryzys ekonomiczny przełomu lat 20/30., który umożliwił

dojście do władzy Hitlerowi, izolacjonizm Stanów Zjednoczonych, tolerowanie przez mocarstwa zachodnie łamania postanowień traktatu wersalskiego przez hitlerowskie Niemcy (zajęcie zagłębia Saary, wprowadzenie w Niemczech obowiązkowej służby wojskowej, rozbudowa sił zbrojnych, w tym morskiej floty wojennej itd.), milcząca zgoda na zajęcie Austrii, wreszcie haniebny traktat monachijski. Tyle sprostowań, choć mógłbym jeszcze kilka wymienić.

Proszę Pana! Od siedmiu lat co roku jeżdżę do Lwowa i zapewniam Pana, że obecni mieszkańcy Lwowa nie zaprzatają sobie głowy napisem na płycie Pięciu Nieznanych Obrońców Persenkówki ani rekonstrukcją pomników Lotników Amerykańskich i Piechurów Francuskich! Oni myślą i kombinują, jak wyżyć za pensje (jeśli pracują) w granicach 25–35 dolarów czy emerytury, które wynoszą 10–25 dolarów miesięcznie. Muszą też codziennie pamiętać, żeby rano natapać wody do miednic i wiaderek, bo woda z lwowskich kranów cieknie tylko 4 godziny na dobę – od 6 do 8 rano i od 8 do 10 wieczorem. Pan Taras Woźniak, dyrektor wydziału do spraw kontaktów z zagranicą lwowskiego magistratu, w wypowiedzi opublikowanej 17 V br. w „Gazecie Wyborczej” powiedział: *Zapew-*



Widok od strony Cmentarza Łyczakowskiego. Na pierwszym planie pomnik Mieczysława Chwastowskiego

niam, że milion lwowian nie myśli tak jak radni (w sprawie Cmentarza Orłąt).

Ubolewa Pan, że wiele mogił żołnierzy ukraińskich na terenie Polski jest w oplakany stanie i nikt o nie nie dba – co mija się z prawdą. Bo urządzono i odnowiono wiele mogił nawet żołnierzy z UPA w licznych miejscowościach. Postawiono pomniki w Jaworznie i Krakowie – a wszystko za polskie pieniądze. Natomiast żadne żołnierskie groby Polaków na terenie państwa ukraińskiego nie zostały odrestaurowane za pieniądze ukraińskie. Wylewa Pan łzy żalu, że więziono w obozie w Jaworznie prawie 4 tysiące Ukraińców podejrzanych o współpracę z UPA i że 161 tam zmarło. Walczy Pan razem ze Związkiem Ukraińców w Polsce o odszkodowania dla więźniów tego obozu. A jakie starania Pan czyni, by dostały odszkodowanie dzieci pomordowanych Polaków na Kresach przez w o j a k ó w z UPA za to tylko, że byli Polakami? A co Pan uczynił jako dwukrotny minister rządu III Rzeczypospolitej, by ekspatriowani z Kresów dostali odszkodowanie za mienie nieruchomości, które tam musieli zostawić? Czy kiwnął Pan przysłowiowym palcem w bucie, by zadość uczynić krzywdom tych Polaków?

Ostatnie pytanie skierowane do Pana brzmi: czy solidaryzuje się Pan również z beczelną wypowiedzią jednego radnego o pomnikach UPA na terenach *rdzennie ukraińskich tymczasowo administrowanych przez państwo polskie*? Tę wypowiedź wyemitowała Telewizja Polska w programie I w dniu 21 maja br.

Mój list kończę zadumą nad Pańską obecną postawą i poglądami. Jest Pan bowiem Kawalerem Orderu Orła Białego – najwyższego cywilnego odznaczenia RP – a to powinno Pana zobowiązywać do lojalności wobec Polski i polskich bohaterów. Tymczasem Pańskie tendencyjne opisy stosunków polsko-ukraińskich i wysiłki mające na celu naprawianie krzywd poszkodowanym tylko jednej narodowości są takie, jak gdyby nosił Pan na piersi najwyższe odznaczenie Ukrainy – Order Jarosława Mądrego I Klasy.

Od Redakcji:

Powyższy list został przez autora wysłany do redakcji „Gazety Wyborczej” z nadzieją jego wydrukowania, jak tego wymagają dobre obyczaje. Andrzej, jesteś niepoprawnym idealistą!

Naszym zdaniem DLACZEGO?

W Sejmie odbyło się *pierwsze czytanie* projektowanej ustawy o mniejszościach narodowych, przygotowywanej podobno od kilkunastu lat. W związku z tym „Polityka” 9/02 opublikowała artykuł Piotra Winczorka *Nasze małe mniejszości*.

Dowiadujemy się, że mniejszości tych jest dziś w Polsce 2,3–2,5% ogółu mieszkańców kraju (przed wojną rządu 30%), a wśród nich: Niemcy 300–500 tys., Ukraińcy i Białorusini 200–230 tys., Litwini 20 tys., Słowacy 20 tys., Żydzi 15 tys. i Rosjanie 10–13 tys.

Projekt ustawy proponuje definicję mniejszości narodowej lub etnicznej. Ta pierwsza to taka, która utożsamia się z narodem, posiadającym swoje państwo (jak wyżej wymienione), etniczna zaś takiego zaplecza nie posiada, np. Łemkowie lub Cyganie (nazywani dziś Romami). Autor zadaje pytanie, czy Kaszubi to mniejszość etniczna czy tylko grupa regionalna i folklorystyczna? Pamiętamy, że niedawno pojawili się *organizatorzy narodowości...* śląskiej (pisaliśmy o tym w CL).

Nowa ustawa ma dopuścić do wprowadzenia języka mniejszości narodowej jako drugiego urzędowego w miejscowościach, gdzie jej przedstawiciele zamieszkują tradycyjnie lub są liczni; pisownia nazwisk ma uwzględniać formę tamtego języka (ale tylko w alfabecie łacińskim). Mogą być dopuszczone również dwujęzyczne nazwy miejscowości i ulic.

Autor artykułu pisze: *Dobrze się stało, że projektodawcy nie wprowadzili do ustawy klauzuli wzajemności, czyli nie uzależnili stosowania jej przepisów od tego, czy podobne lub tak samo realizowane postanowienia znajdują się w ustawodawstwie państw ościennych, w których to Polacy są mniejszością.*

Otóż zapytujemy: **d l a c z e g o ?** Rozumiemy, że nie można tego żądać od Niemiec i Rosji, gdzie Polacy nie

(dokończenie na s. 16)

Barbara Ołasińska

WIELKI NAFTOWIEC

Jedną z ofiar zbrodni niemiecko-ukraińskiej na Wzgórzach Wuleckich w 1941 r. był wybitny chemik, uczonek i wynalazca profesor Stanisław Pilat (1881–1941). W ubiegłym roku minęła 120 rocznica urodzin i 60 rocznica jego tragicznej śmierci.

Rodzina Pilatów to trzy pokolenia i półtora wieku rodziny lwowskich uczonych i działaczy. Dynastię otwiera

S t a n i s ł a w Pilat senior (1802–66), pedagog, literat, człowiek kultury. Rodem z Krasnegostawu, lecz wykształcony we Lwowie, powstaniec 1831 r., działacz narodowy w czasie Wiosny Ludów 1848 r. we Lwowie. Poświęcił się działalności pedagogicznej – w 1850 r. otworzył prywatny zakład wychowawczy – oraz pracy pisarskiej, społecznej i kulturalnej. Jego trzej synowie to:

T a d e u s z Pilat (1844–1923), prawnik, statystyk, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego

R o m a n Pilat (1846–1906), historyk literatury, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego

W ł a d y s ł a w Pilat (1857–1908), ekonomista i socjolog, profesor Politechniki Lwowskiej.

Wszyscy wymienieni spoczywają na Cmentarzu Łyczakowskim.

Trzecie pokolenie to S t a n i s ł a w Pilat junior.

Urodził się we Lwowie jako syn Tadeusza Pilata i Marii z Dunikowskich. Szkoły ukończył we Lwowie, tamże na Politechnice rozpoczął studia chemiczne, kontynuowane na kilku uniwersytetach niemieckich. Doktorat otrzymał w Lipsku.

Swoją działalność zawodową rozpoczął w 1904 r. w Borysławiu, ale od samego początku towarzyszyła jej praca naukowa, którą podjął w Krajowej Stacji Doświadczalnej Przemysłu Naftowego przy Politechnice Lwowskiej. Już za pierwsze osiągnięcia z zakresu *utleniania węglowodorów naftowych* otrzymał, wraz ze swym współpracownikiem, nagrodę.

Potem – po praktyce w rafinerii w Pardubicach w Czechach, krótkim epizodzie na pierwszym kierowniczym stanowisku w Krośnie i kolejnej pracy za granicą w Rumunii, gdzie w rafinerii w Ploesti uruchomił jedną z pierwszych w Europie *destylację próżniową olejów maszynowych* – został w 1909 r. dyrektorem technicznym budującego się zakładu *odbenzyniania dla destylacji atmosferycznej* w rafinerii w Drohobyczu, przekształconej później w Państwową Fabrykę Olejów Mineralnych „Polmin”. Funkcję tę pełnił przez lat dziewięć.

W okresie tym – wedle jego własnych pomysłów – powstały nowe urządzenia i instalacje: nowa metoda *rektyfikacji benzyny*, oparta na wykorzystaniu ciepła spalania pozostałości z ropy, projekt i budowa *parafiniami*, realizacja patentu na *rozbijanie emulsji wodno-ropnej*, budowa instalacji *wysokopróżniowej destylacji olejów*. W 1912 r. zwróciła się do Pilata zagraniczna firma S. Pearson z propozycją opracowania projektu *ciągłej destylacji ropy naftowej*. Projekt został zrealizowany w Meksyku.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. dr Pilat wyjechał na krótko do Krakowa. Tu w 1919 r. stanął na czele Urzędu Naftowego



Stanisław Pilat

przy Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Przypadł mu udział w kierowaniu pracami nad organizacją przemysłu naftowego w odrodzonej Polsce. Po przejściu Urzędu Naftowego do Ministerstwa Przemysłu i Handlu Pilat przyjął oferowane mu przez firmę Mc Garveya stanowisko doradcy technicznego Galicyjskiego Karpackiego Towarzystwa Naftowego. Po wchłonięciu Towarzystwa przez koncern naftowy „Dąbrowa” został dyrektorem wszystkich rafinerii koncernu, zarówno w kraju, jak i za granicą. Wówczas, wraz z dyrektorem koncernu „Pionier” Jerzym Halpernem, podjął realizację swoich zamierzeń, dotyczących reorganizacji przemysłu naftowego, scentralizowania go i unowocześnienia. W 1920 r. powstaje Syndykat Przemysłu Naftowego „Polnaft”. W skład jego kierownictwa wszedł dr Stanisław Pilat, mogąc w ten sposób kontynuować zamierzone prace reorganizacyjne w tym przemyśle.

W 1920 r. Pilat zaprojektował i zrealizował budowę gazociągu Winnica–Glinnik Mariampolski. W roku następnym uruchomił w jednej z polskich rafinerii fabrykę *otrzymywania sulfokwasów przez utylizację odpadów porafinacyjnych*.

W latach 1921–23 prowadził przebudowę rafinerii „Jedlicze” w opaciu o projekt prof. I. Mościckiego (*frakcjonowana kondensacja*). Niestety ten śmiały eksperyment, pozwalający na przerobienie 200 ton ropy dziennie, nie został dokończony z powodu sprzeciwu akcjonariuszy, obawiających się wysokich, ich zdaniem, kosztów tych nowatorskich prób. Wykorzystano je natychmiast w USA.

W latach 1922 i 1923 nastąpiły dwa ważne wydarzenia w życiu S. Pilata: udział merytoryczny i osobisty w wierceniach, prowadzonych na dużą skalę w Daszawie w powiecie stryjskim, oraz rozpoczę-

cie wykładów z zakresu *technologii przeróbki ropy naftowej* na wydziale chemicznym Politechniki Lwowskiej.

W roku 1924 dr Stanisław Pilat został powołany przez Senat Politechniki Lwowskiej na stanowisko profesora zwyczajnego. Powierzono mu zorganizowanie i kierownictwo nowo powstałej Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziarnych. W tym samym roku (1 listopada) popłynęły pierwsze dostawy gazu z Daszawy do „Polminu”.

W 1926 r. profesor Pilat przerywa prace naukowe i obejmuje stanowisko dyrektora „Polminu”, ofiarowane mu przez prezydenta Ignacego Mościckiego i ówczesnego ministra przemysłu i handlu Eugeniusza Kwiatkowskiego. Funkcję tę pełnił do roku 1929. W 1927 r., dążąc do uporządkowania problemów przemysłu naftowego, zwrócił się Pilat do Kwiatkowskiego o utworzenie Syndykatu Przemysłu Rafineryjnego. Syndykat obejmowałby – w jego założeniu – wszystkie polskie rafinerie, prowadziłyby korzystną dla państwa gospodarkę ropą naftową, zajmowałyby się sprzedażą w kraju oraz eksportem ropy i jej produktów finalnych. Proponował też utworzenie spółki akcyjnej dla prac wiertniczych i eksploatacyjnych. Większą część planów udało się zrealizować, łącznie z wybudowaniem gazociągu Daszawa–Drohobycz „Polmin”, co znacznie przyczyniło się do podniesienia rentowności rafinerii.

W 1928 r. prof. S. Pilat zrezygnował z kierowania Syndykatem, a po roku również ze stanowiska dyrektora „Polminu”. Pozostał jednak nadal doradcą technicznym i opiekunem naukowym tego przedsiębiorstwa. Teraz mógł oddać całą swą energię, wiedzę i doświadczenie intensywnej pracy naukowej na Politechnice Lwowskiej.



Boysław przed wojną

W 1930 r. podczas IV Zjazdu Naftowego we Lwowie uroczyste obchodzono na Politechnice 25-lecie działalności profesora S. Pilata w przemyśle naftowym. W uznaniu jego twórczości naukowej i światowych osiągnięć stał się członkiem wielu towarzystw naukowych, m.in. Akademii Nauk Technicznych w Warszawie, Polskiego Towarzystwa Naukowego, a także szeregu towarzystw niemieckich, brytyjskich, amerykańskich, czeskich i innych. Brał udział we wszystkich prawie polskich i zagranicznych zjazdach naftowych. W roku 1937, reprezentując rząd polski na II Światowym Kongresie Naftowym w Paryżu, został powołany w skład jego prezydium. W 1936 r. został odznaczony Krzyżem Komandorskim orderu „Polonia Restituta”.

W 1935 r. Stanisław Pilat ożenił się z Ewą Neyman, która po ukończeniu studiów w 1932 r. na wydziale chemicznym PL była asystentką w Katedrze Chemii Fizycznej, a od 1934 r. pracowała w Katedrze Technologii Nafty i Gazów Ziemych. Inż. E. Neyman-Pilatowa uzyskała w 1930 r. tytuł doktora na wydziale matematyczno-przyrodniczym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Po II wojnie w 1945 r. habilitowała się na wydziale chemicznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach i w tym samym roku została kierownikiem Katedry Technologii Nafty i Paliw Płynnych na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Umarła nagle w listopadzie 1945 r.

We wrześniu 1939 r., po napaści Niemiec na Polskę, Profesor otrzymał zaproszenie do Rumunii od swych przyjaciół z Ploesti. Nie opuścił jednak Lwowa, podobnie jak nie uczynił tego 17 września, po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa.

W latach 1940–41 współpracował z Ukraińską Akademią Nauk w Kijowie oraz instytucjami w Moskwie. Wspólne badania umożliwiły postawienie wniosków o odporności na starzenie olejów mineralnych. Pracowano nad syntezą węglowodorów olejowych, nad metodami podwyższania liczby oktanowej benzyn oraz budowano nowo odkryte wówczas złoża ropy na Ukrainie.

W maju 1940 r. Profesor wraz z żoną zarejestrował się na wyjazd ze Lwowa do Warszawy i mimo że otrzymał odpowiednie dokumenty, w ostatniej chwili zrezygnował z wyjazdu. Gdy do Lwowa wkroczyli Niemcy, Profesor został w nocy 3/4 lipca 1941 r. aresztowany przez specjalny oddział ukraiński SS i wraz z innymi profesorami UJK i PL oraz innymi osobami świata nauki i kultury umiesz-

czony w Bursie Abrahamowiczów, gdzie mieściła się siedziba SD. Rankiem 4 lipca Stanisław Pilat i pozostali zostali rozstrzelani na stoku Kadeckiej Góry na Wzgórzach Wuleckich. W 1943 r. niemiecka brygada Sonderkommando-1005, wyznaczona do zacierania śladów zbrodni, rozkopała wspólną mogiłę profesorów na Wulce, a zwłoki przewieziono do Lasku Krzywczyckiego, gdzie je spalono, prochy zaś rozsiano po lesie.

Profesor Stanisław Pilat wydał 4 książki na temat technologii nafty i opublikował 51 prac, przeważnie w czasopiśmie zagranicznych. Współautorami niektórych byli jego najbliżsi współpracownicy z katedry. Był autorem i współautorem 18 patentów.

Literatura

J. Pietruszka, *Pilat Stanisław*, PSB t. XXVI

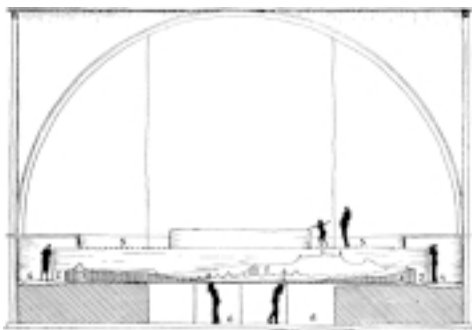
J. Pietruszka, *Stanisław Pilat (1881–1941) wybitny uczony – profesor Politechniki Lwowskiej* [w:] „Nafta” nr 1, 1981

J. Schroeder, *Rola lwowskiego ośrodka naukowego w tworzeniu przemysłu naftowego w Polsce* [w:] „Wiadomości Chemiczne” nr 45, 1991

Z. Albert, *Każń profesorów lwowskich, lipiec 1941*, Wrocław 1989

BARBARA OLASIŃSKA, z domu Kachlik, ur. 1940 we Lwowie. Opuściła go w 1941 r. Po kilkuletniej tułaczce – od 1945 na Śląsku, potem w Krakowie. W 1962 ukończyła studia chemiczne na UJ, przez kilka lat pracowała w Plocku. Obecnie jest kierownikiem Zakładu Informacji NT w Instytucie Technologii Nafty w Krakowie. Autorka licznych publikacji na tematy zawodowe. Członek TMLiKPW, działa aktywnie w sekcji charytatywnej w Stow. „Współnota Polska” w Krakowie.

Dla uczczenia pamięci znakomitego uczonego polskiego w związku z 60. rocznicą śmierci odbyły się we Lwowie i w Krakowie uroczystości. 11 września rozpoczęto je we Lwowie mszą św. w katedrze łacińskiej, poświęconą Pilatowi i wszystkim profesorom rozstrzelanym w 1941 na Wzgórzach Wuleckich. Potem spotkano się na Politechnice, gdzie w trakcie zorganizowanego seminarium zostały wygłoszone cztery referaty, w tym dwa ze strony polskiej. Na koniec udano się na Wulkę, by złożyć wieńce pod pomnikiem w miejscu kaźni sprzed 60 lat. Dalszy ciąg seminarium odbył się 13 IX w Krakowie, gdzie w Instytucie Technologii Nafty wygłoszono kolejne referaty.



Marta Walczewska

STARY LWÓW

p o m n i e j s z o n y

Kiedy zimą 1945 roku zbliżał się czas ekspatriacji z rodzinnego Lwowa, moja matka starała się pokazać córkom to, co w tym mieście najpiękniejsze. Zaprowadziła nas na teren Targów Wschodnich, gdzie zobaczyliśmy Panoramę Raclawicką, i do pracowni inżyniera Janusza Witwickiego, kolegi mojego już wówczas nieżyjącego ojca, gdzie obejrzałyśmy panoramę plastyczną historycznego Lwowa. Ten wspaniały model miasta zachwycił mnie i pozostał w pamię-

ci. Oczywiście nie potrafiłam wtedy ocenić wartości dzieła, niezwyklej dokładności jego wykonania. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie oświetlenie modelu – inne w słońcu, inne w noc księżycową – i światła w oknach miniaturowych budynków.

W naszym rodzinnym archiwum zachował się tekst audycji radiowej *Z mikrofonem po starym Lwowie*. Jest to wywiad przeprowadzony przez mojego ojca dr. Henryka Breita z inż. architektem Januszem Witwickim na temat tworzonego przez niego modelu Lwowa z drugiej połowy XVIII wieku. Uzupełnieniem tego tekstu jest sprawozdanie z datą 29 kwietnia 1938 r., podpisane przez samego Witwickiego. Pod tytułem opracowania Witwicki dopisał odręcznie: *Czy sprawa nie jest coraz bardziej aktualna ze względu na zbliżający się rok 1940?*

Lwów przygotowywał się wtedy do uroczystości sześćsetlecia powstania miasta – tego prawdziwego miasta, Kazimierzowskiego. Nie przeczuwano jeszcze czekającego nas dramatu. Janusz Witwicki, syn znakomitego filozofa i psychologa, walczył w 1920 r. z bolszewikami w obronie Lwowa. Sudiował architekturę na Politechnice Lwowskiej i historię sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierz. Od 1928 r. zbierał materiały ikonograficzne do panoramy historycznej miasta Lwowa. Wykona-

Archiwum

PANORAMA PLASTYCZNA DAWNEGO LWOWA

Czy sprawa nie jest coraz bardziej aktualna ze względu na zbliżający się rok 1940?

Idea modelu

Miasto powoli przygotowuje się do sześćsetnej rocznicy swego istnienia w roku 1940. Z historycznych czasów pozostało we Lwowie wiele interesujących budowli, więcej niż by się zdawało na ogół, bo więcej jak połowa ich z dawnego Lwowa pozostała do dziś – tylko stara architektura utonęła w morzu rozlanego miasta, które w przeciągu XIX wieku rozrosło się dosłownie dziesięciokrotnie. Stąd te remanenty architektury historycznej nikną w dzisiejszym Lwowie. Mało kto je zna i nie zwraca na nie innym uwagi. Gdyby lwowskim zabytkom zwrócić pierwotne otoczenie, jakie dawniej miały – mury obronne,

fosy, wały, zamki i pałace, byłoby co pokazać turystom i samemu oglądać. Nie da się tego zrobić w całości w naturze. Kiedy Paryż, Bruksela odbudowywały całe dzielnice, a Warszawa całe partie murów obronnych odbudowuje z basztami i barbakanem – to Lwów zdobywa się na całość miasta historycznego – ale w miniaturze. Doprowadza się u nas zabytki powoli do pierwotnego wyglądu i jednocześnie powstaje rekonstrukcja całego miasta w pierwotnym wyglądzie, ale nie w wielkości naturalnej, lecz kilkaset razy zredukowanej. Dwieście czy pięćset razy mniejszy budynek postawić można na dłoni, a całe miasto w takiej skali da się ustawić w jednym pokoju.

Co zrobiono

Taka praca nad odbudowaniem Lwowa w jego historycznej postaci jest już zaczęta i nawet poważnie zaawansowana. A robota to nie byle jaka. Przede wszystkim zdjęcia i pomiary zabytków lwowskiej architektury historycznej dla sporządzenie ich planów, których dziś nikt nie po-

nie zamierzonego dzieła przekraczało finansowe możliwości rodziny Witwickich, a Zarząd Miejski nie był w stanie zapewnić stałej dotacji przedsięwzięciu, obliczonemu na kilka lat pracy parosobowego zespołu fachowców. W 1935 r. powstało Towarzystwo Budowy Panoramy Plastycznej Dawnego Lwowa.

Witwicki stworzył projekt budynku, w którym miała się znaleźć panorama. Oto jej opis:

Model w postaci koła o średnicy 15 m, odtwarzający teren śródmieścia [Starego Miasta] z przedmieściami, w skali 1:200, w drzewie lipowym. Dookoła obraz olejny wys. 1,5 m, przedstawiający dalsze okolice. Pawilon żelbetowy o kształcie sklepienia krzyżowego będzie posiadał wewnątrz korytarz ruchomy, biegnący wkoło o średnicy 19 m, co da iluzję przelotu awionetką na wysokości 350 m wokół miasta. Można, zamiast wznoszenia budowli żelbetowej, wykorzystać Basztę Prochową. Projektowany jest jeszcze pokład górny z posadzką z tafli szklanych. Przez otwór o średnicy 6 m pośrodku posadzki można obserwować śródmieście z lotu ptaka. Wszystkie objekty będzie można oglądać w różnym



oświetleniu – słonecznym, w nocy księżycowej, w lunie pożaru, oraz światło z wnętrza budynków.

Opinie Komisji Rzeczoznawców, powołanej przez Zarząd Miejski we Lwowie, podkreślały naukowe podejście Witwickiego. Inicjatywa cieszyła się poparciem wojewody lwowskiego dr. Alfreda Biłyka.

Witwicki rozpoczął pracę od wykonania modelu śródmieścia w skali 1:500. Dla każdego obiektu wykonywano rysunki w skali 1:200, oparte na badaniach archiwalnych Witwickiego. Miasto przydzieliło lokal na

siada. Jednocześnie zbadanie i kopiowanie archiwalnych planów, widoków i opisów dawnego miasta. To [sa] dopiero materiały do wykreślenia dokładnych planów, tzw. podkładów dla każdej budowli z osobna.

W samym śródmieściu [będą] 383 budowle, tyleż planów rekonstrukcyjnych, [z tego] 95 obiektów już opracowano. Wykonano ich modele 500 razy zredukowane w wymiarach, z drzewa i metalu. To właśnie model fortyfikacji dawnego Lwowa w roku 1936 oglądaliśmy wystawiony w foyer Teatru Wielkiego razem z setką plansz fotograficznych zdjęć z poszczególnych fragmentów tego *placu boju historycznej obrony Lwowa*. Poznanie chlubnej przeszłości przyczynia się do zwiększenia przywiązania do miasta i kraju – zamilowanie do miasta staje się zaraźliwe. Praca ta ze szczególnego zamilowania do Lwowa powstała. Zaczęta z niczego, w najgłębszym kryzysie przed paru laty, zyskała sobie niejednokrotnie bezinteresowną pomoc współpracowników. Związane w 1935 r. Towarzystwo Budowy Panoramy Plastycznej Dawnego Lwo-

wa uzyskało od Zarządu Miejskiego lokal na kreślarnię i ciemnię fotograficzną. Zarząd Miejski nosi się z zamiarem wzięcia udziału w kosztach budowy modelu historycznego.

Co to ma kosztować

Wartość modelu śródmieścia Lwowa w skali 1:200 ustalono na 180 000 zł dzięki temu, że Towarzystwo BPPDL uzyskało od autora rekonstrukcji cenę za modele architektoniczne kilkakrotnie niższą od cen, jakie mu Zarząd Miejski wypłacał za modele robione na Powszechnej Wystawę Krajową w Poznaniu. Udział Gminy przedstawia się niezwykle zresztą korzystnie pod względem materialnym. Za 40% od 130 000 jako kosztów produkcji modelu, tj. 52 000 zł Zarząd Miejski ma otrzymać od Towarzystwa 51% od 180 000 zł ustalonych jako wartość całego modelu, tj. równowartość 91 000 zł. Nienajgorsza to transakcja – jeśli się zważy, że Zarząd Miejski z pobieranych wstępów odbierze sobie z czasem te pieniądze po raz wtóry. [...]

Henryk Breit

Brama Halicka widziana z Rynku. Po prawej katedra, dalej kaplica Boimów



pracownię przy ul. Ormiańskiej 23. Wykonywano w niej modele o niesłychanej precyzji, odtwarzano nawet w ołowiu pomniki na ulicach Lwowa.

Po wkroczeniu Rosjan do miasta prace nie przerwano, władze sowieckie nie przeszkadzały. W 1941 r. przyszła okupacja niemiecka, a według Niemców praca zasługiwała na poparcie. Po powtórnym wejściu Rosjan w lipcu 1944 r. władze sowieckie postanowiły zatrzymać panoramę i jej autora we Lwowie. Witwicki odmówił. Udał się nawet do Chruszczowa – ten obejrzał panoramę i wyraził zgodę na wywiezienie jej do Polski, ale władze ukraińskie we Lwowie

sprzeciwiły się. W 1946 r. Witwicki zamówił stoły, które pod blatami miały pojemne skrzynie. Do nich zapakowano ruchome elementy panoramy. W lipcu 1946 r. rodzina Witwickich przygotowywała się do ekspatriacji. Ponowiono naciski, aby Witwicki został we Lwowie, ale ten jeszcze raz odmówił. Kilka dni później został zamordowany.

Wdowa, Irena Witwicka z dwoma córkami, wyjechała do Polski. Wiozła ze sobą stoły, a w nich ukryte elementy panoramy. Były one potem przechowywane w Zakładzie Architektury Polskiej na Politechnice Warszawskiej. W latach 80. zostały przewiezione do Wrocławia, do magazynów Muzeum Architektury, a w latach 1988–89 były zdeponowane w Muzeum Archidiecejalnym. W 1994 r. znalazły się w Muzeum w Arsenale. Jednak dopiero Muzeum Sztuki Medalierskiej stworzyło warunki do ekspozycji panoramy. Od czasu otwarcia wystawy muzeum jest odwiedzane nie tylko przez lwowiaków, ale i licznie przez młodzież i mieszkańców Wrocławia. Po raz pierwszy muzeum stało się dochodowe!

Literatura

Panorama Plastyczna Dawnego Lwowa,
Lwów 1938

Maciej Piotrowski, *Zaklęty we Lwowie* [w:]
Tygodnik „Solidarność” 7/2001

INDEKS WSCHODNICH MAŁOPOLAN

Na nasz apel, ogłoszony po raz pierwszy w CL 2/2000, otrzymujemy sporo odpowiedzi, o czym donosimy z wielką satysfakcją i radością. Informacje, które do nas wpływają, pozwalają na scalenie naszej wiedzy o ludziach, rodzinach, mieszkańcach miast i wsi. Były one (i w większości są nadal) w najlepszym razie w rozsypce: w setkach książek i słowników, w czasopiśmie oraz dokumentach (także *re-patriacyjnych*), tkwiących głęboko w archiwach. Jednak większość nazwisk ginie wraz z odejściem tych ludzi i ich najbliższych.

Nadsyłane materiały są dwojakiego rodzaju:

- dane o konkretnych osobach (niektóre bardzo szczegółowe i rozbudowane) lub całych rodzinach (wraz z genealogią) oraz
- wykazy mieszkańców miejscowości, uczniów szkół, listy pomordowanych itd. – te na ogół bez danych personalnych. Jedne i drugie stanowią wartość.

Ponieważ o wielu ludziach nie możemy się dowiedzieć od ich rodzin – bo ich albo już nie ma, albo nie wiedzą o naszej akcji – prosimy o wiadomości „z drugiej ręki” od dalszych krewnych, sąsiadów, znajomych, kolegów. Zależy nam także na wiadomościach o tysiącach ludzi, którzy rozproszyli się po całym świecie, po wszystkich kontynentach, a nawet wyspach Pacyfiku (fakt!)

Za to, co już nadeszło, serdecznie dziękujemy wszystkim naszym korespondentom. Specjalne wyrazy wdzięczności kierujemy do Redakcji „Głosu Podolan” oraz Zarządu Koła Brodzian, które zmobilizowały swoich członków do odpowiedzi na nasz apel. A ci wywiązują się z tego chwalebnie! Dziękujemy.

Czekamy na dalsze listy i inne materiały (kompletujemy również wspomnienia drukowane w prasie, nekrologi itp.).

Z pozdrowieniami,

Redakcja

Andrzej Chlipalski

KTÓRĘDY DO WIEDNIA

W CL 4/2000 pisaliśmy, jak podróżowano ze Lwowa do Wiednia przed wprowadzeniem kolei. Wypada teraz – zgodnie z obietnicą – opowiedzieć, jak jeżdżono do stolicy habsburskiej monarchii, już przybliżonej dzięki zbudowaniu kolei żelaznej.

Pomysł przeprowadzenia magistrali kolejowej z Austrii do Galicji powstał z końcem lat dwudziestych XIX wieku (1829); rozwinął go w latach trzydziestych. Ale u podstaw tego projektu leżała pierwotnie nie wygoda podróżnych z odległej prowincji, lecz zamiar uzyskania łatwiejszego dostępu do galicyjskich bogactw naturalnych: węgla i soli. Przypomnijmy, że nasze zagłębie węglowe na skutek rozbiorów zostało rozbite na trzy części: Górny Śląsk (na zachód od Przemyśla) znalazł się w rękach niemieckich i rosyjskich (zabraną przez cara część z Sosnowcem i Dąbrową Górniczą zwano po prostu *Zagłębiem*, co pokutuje do dziś!). Trzecia część złóż węglowych – od Przemyśla po Tenczynek – przypadła Rzeczypospolitej Krakowskiej i Galicji. Ta część, choć dawała węgiel niskiej jakości, i tak budziła apetyt Wiednia. Co do soli, sprawa jest jasna: Wieliczka i Bochnia miały wprawdzie konkurencję we Wschodniej Małopolsce, ale kiedy bliżej, były więc wtedy niezastąpione.

Pierwszą (!) austriacką linię kolejową zaplanowano przeto z Wiednia aż do Bochni – z odgałęzieniami do portu węglowego na Wiśle w Dworach k. Oświęcimia, do Wieliczki oraz do portu solnego na Wiśle w Niepołomicach. W przedsięwzięcie włączył się wielki wiedeński dom bankowy Rotschildów i roboty ruszyły z miejsca w 1834 roku.

Linię – nazwaną Koleją Północną – wytyczono przez Morawy: na Brno, Morawską Ostrawę i granicę galicyjską w Zebrzydowicach, a następnie przez Dziedzice i Oświęcim, i dalej przez Skawinę do Podgórza i Płaszowa –

z ominięciem Krakowa,

który w owym czasie pozostawał poza terytorium Galicji, jako wolne miasto – *Rzeczpospolita Krakowska* (pamiętamy ten sam problem, gdy omawialiśmy trasę podróży konnych), a dalej do Bochni. I chociaż budowa w tej wersji nie doszła w pełni do skutku, lecz później i już w innym kształcie, to zauważmy, że do dziś pociąg dojeżdżający od Borku Fałęckiego (z Zakopanego, Skawiny) kieruje się nie wprost do Krakowa, lecz przeciwnie – na wschód ku Bochni.

Ale po kolei.

Mimo że – jak się rzekło – roboty ruszyły z miejsca na obszarze Austrii i Moraw i w 1839 r. kolej dotarła do Brna, w 1842 do Lipnika (gdzie spotkała się z głównym traktem drogowym ze Lwowa przez Bochnię, Myślenice, Wadowice, Bielsko i Cieszyn – do Wiednia), a w 1847 do Bogumina, to jednak **zaczęły się pojawiać inne koncepcje.**

Po stronie Niemiec trwała od Wrocławia budowa tzw. Linii Górnośląskiej, a na spotkanie z tą ostatnią rozpoczęto budowę Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. W 1844 r. zapadła przeto w Wolnym Mieście Krakowie – niezależnie od koncepcji austriackich – decyzja o realizacji połączenia tego miasta z oboma wymienionymi liniami. Trzeba bowiem pamiętać, iż Kraków – odcięty wtedy (1815–46) od Austrii granicą – ciążył ku Warszawie i całemu Królestwu Kongresowemu (zaczynało się ono wszak na północnych przedpolach Krakowa), a połączenie z Górnym Śląskiem mogło mu dać alternatywną drogę kontaktu z Europą. Rozpoczęto tedy budowę odcinka z Krakowa do *granicy pruskiej*, czyli do Mysłowic – do Linii Górnośląskiej, z odgałęzieniem w Szczakowej do stacji w Maczkach, nazwanej wtedy *Granica* – do linii Warszawsko-Wiedeńskiej. Jednak budowę tego powiązania zakończono dopiero po 1846 r., a więc już po przyłączeniu Krakowa do Galicji¹. Dworzec krakowski, nastawiony wyłącznie na kierunek zachodni, zbudowano jako czołowy, nie myśląc wcale o kierunku na wschód. Pierwszy pociąg



wjechał z Mysłowic do Krakowa 13 października 1847 roku.

A co z linią austriacką przez Oświęcim do Bochni? Musiała ona nieco zmienić swój przebieg, bo w nowych warunkach geopolitycznych nie musiała już omijać Krakowa. Aby więc połączyć Kraków z Wiedniem, oddano w latach 1855–56 linię Bogumin–Dziedzice–Oświęcim–Trzebinia, łącząc ją tu z linią Mysłowice–Kraków. Dodajmy, że odcinek Oświęcim–Skawina–Kraków, już o podrzędnym znaczeniu, zbudowano później razem z wisłanym mostem z Dębnik, prawie pod samym Wawelem. Ale o tym niżej.

Jesteśmy więc już w Krakowie.

I co dalej?

Jeszcze w 1840 r. Sejm Galicyjski wystąpił o przedłużenie do Lwowa linii projektowanej pierwotnie tylko do Bochni, ale decyzja na ten temat zapadła w Wiedniu dopiero 10 lat po przyłączeniu Krakowa do monarchii, w 1856 r. Jednak wtedy już kierowały władzami austriackimi nie gospodarcze względy, lecz polityczno-wojskowe – te same, które spowodowały iż Austria niebawem stanie się Austro-Węgrami, a części składowe tego państwa, w tym Galicja, uzyskają autonomię. Powodem były więc klęski wojenne, jakie odniosła Austria w latach 1850/60. (i Wiosna Ludów z 1848 r.) oraz obawa o rozpad habsburskiej monarchii. W końcu

pierwszy pociąg wjechał na dworzec lwowski 15 września roku 1861.

Jaki był wtedy ten dworzec? Zbudowano go na przedmieściu gródeckim, po północno-zachodniej stronie miasta. Powstał od razu jako przelotowy, na wyrost, nie czółowy. Lwów stał się z czasem węzłem 10 linii². Pod względem funkcjonalnym rozpla-

nowano cały zespół stacyjny niezwykle racjonalnie, na planie trójkąta, oddzielając konsekwentnie ruch pasażerski od towarowego. U wierzchołka trójkąta postawiono główny gmach z dwunawową, stalowo-szklaną halą. Z jednego boku stanęły magazyny towarowe, z drugiego warsztaty. Środkiem biegła aleja dojazdowa – ulica Kolejowa (po I wojnie przemianowana na aleję F. Focha). W miarę czasu i rozwoju główny budynek dworcowy, wzniesiony na przełomie lat 1850/60. zastąpiono w 1904 nowym, który znalazł się w szeregu największych i najpiękniejszych w ck monarchii, a po I wojnie w całej Polsce. Zbudował go prof. Władysław Sadłowski, wnętrza zaprojektowali w stylu secesji prof. Tadeusz Obmiński i arch. Alfred Zachariewicz (syn Juliana, twórcy gmachu Politechniki Lwowskiej). Trzeba też dodać, że obok lwowskiego Dworca Głównego powstał drugi, niezależny, zwany Czerniowieckim, usytuowany wzdłuż ul. Gródeckiej, przed stacją towarową. Linia Lwów–Czerniowce była budowana przez innego inwestora, potem jednak została włączona do ogólnej sieci państwowej. Dziś nie ma po tym dworcu śladu.

Wszystkie budynki stacyjne w większych miejscowościach na trasie Kraków–Lwów i na trasach bocznych powstały w latach 1850–65, ale po roku 1900 je rozbudowywano i upiększano. Dziś niektóre z nich jeszcze istnieją w formie z tamtego czasu. Warto zapamiętać wspaniałe dworce w Tarnowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Nowym Sączu, a nawet Rzeszowie czy Bochni.

Wróćmy na chwilę do Krakowa.

Jak już wiemy, krakowska stacja została zbudowana w latach 1840. jako czółowa. Jednak otwarcie linii do Lwowa (a potem dalej i wielu bocznych linii) oraz związane z tym wzmożenie ruchu nie mogło pozostać bez wpływu na dworzec krakowski. Przez kilka lat dostawano się doń – z braku bezpośredniego połączenia między Płaszowem a Krakowem – drogą nieco okrężną. Jechano więc z Płaszowa przez stację Podgórze (tak jak dziś do Zakopanego), a w Bonarce linia odbijała na północ i opasywała miasto od zachodu, by z północnego zachodu dostać się na dworzec główny. Po likwidacji tej obwodnicy w wiele lat później powstały w jej miejscu dzisiejsze: ul. Konopnickiej, aleje Trzech Wieszczów i ul. Kamienna. Kratownicowy

Drugi, obecny dworzec lwowski, stan przed nadbudową skrzydeł dokonaną za czasów sowieckich

most kolejowy pod Wawelem stał się mostem Dębnickim (wysadzonym przez Niemców w styczniu 1945 r., ale chyba jeszcze pamiętanym?). Takim więc dziwnym rozwiązaniem zawdzięcza Kraków obecne reprezentacyjne arterie. Zrozumiałe jest także, dlaczego jadąc z krakowskiego dworca głównego do Zakopanego pociąg musi zmienić w Płaszowie kierunek jazdy (podobnie w Suchej i Chabówce – to wszystko pamiątki dawniejszych układów). Krakowski węzeł gordyjski nie został rozwiązany do końca.

Dworzec czółowy w Krakowie zamieniono dopiero w latach 1860. na przelotowy, funkcjonalny. Zbudowano dwa nowe mosty nad ramionami Wisły: kamienny nad istniejącą jeszcze wtedy Starą Wisłą (dziś stoi on nad trasą ul. Dietla–Grzegorzewska, obok Hali Targowej) oraz most nad Wisłą właściwą. Z czasem też (1898) wykonano obniżenie ul. Lubicz i ozdobny wiadukt, stojący do dziś u wylotu z dworca (do tego czasu było skrzyżowanie jednopoziomowe ze szlabanami).

Linia Kraków–Lwów

nosiła za czasów austriackich imię arcyksięcia Karola Ludwika (cesarskiego brata). Niebawem przedłużono ją do Tarnopola oraz Podwołoczysk na granicy rosyjskiej (1871). Nieco wcześniej, w 1866 r. oddano do użytku drogę żelazną ze Lwowa przez Stanisławów i Śniatyn do Czerniowiec i dalej do Rumunii. W latach 1880. zbudowano u podnóża Karpat linię równoległą, pod nazwą *Transwersalnej* (lub *Podkarpackiej*). Połączyła ona szereg miast, poczynając od Żywca aż po Zbrucz³. Równolegle budowano połączenia między obiema liniami, niektóre z przejściami na Węgry i do Rumunii⁴.

W obrębie Lwowa było – poza dworcem głównym – jeszcze pięć stacji kolejowych. Z samego dworca wychodziły trzy linie: na Przemyśl, na Stryj i Sambor (te rozdzielały się nieco dalej), na Stanisławów – wszystkie po stronie zachodniej, oraz połączenie ze stacją Kleparów – po północnej stronie dworca. Spośród innych stacji lwowskich pierwsza, największa, to dworzec Lwów Kleparów (położony przy samej ul. Janowskiej) na odcinku między dworcem głównym a stacją Podzamcze. Na Kleparowie oddzielały się linie do Rawy Ruskiej (i Warszawy) oraz do Jaworowa. Druga stacja to dworzec Lwów Podzamcze, położona za Wysokim Zamkiem. Za stacją rozchodziły się trzy linie: na Tarnopol i Brody (rozdzielające się w Krasnem), na Brody oraz na Podhajce.



Trzecia stacja, Lwów Łyczaków leżała na tej ostatniej linii, a tory kolejowe – by wyspinać się na górny Łyczaków – musiały pokonać dwie serpenty (to kuriozum w wielkim mieście!). Czwarta stacja to Lwów Persenkówka na linii do Stanisławowa; obsługiwała m.in. bocznicę na tzw. plac powystawowy, czyli tereny późniejszych Targów Wschodnich. Piątą to przystanek Skniów na linii stryjsko-samborskiej, przy lotnisku.

Jak więc jechano ze Lwowa do Wiednia?

Od 1861 r. już bezpośrednio przez Kraków. Ale od czasu, gdy zaczęto budować tę linię, minęło 27 lat – całe jedno pokolenie! Przez te lata dojeżdżano dylizansem coraz bliżej i bliżej – do Brna, do Lipnika, do Bogumina. A potem już tylko do Krakowa, do Dębicy, Rzeszowa, Przemyśla. Po 1861 r. mieszkańcy Stanisławowa jeszcze przez 5 lat musieli dojeżdżać zaprzęgiem konnym do Lwowa, a z Tarnopola 10. I tyleż Polacy z Ukrainy, przechodząc przez granicę w Podwołoczyskach.

* * *

Austriacy zapoczątkowali transport kolejowy w Galicji – nakłaniały ich do tego własne interesy gospodarcze, potem militarne. Ale wszystko, co stanowiło prawdziwy rozwój i rozkwit kolejnictwa na tym obszarze, to już zasługa n a s z y c h działaczy, polityków, inżynierów w epoce autonomicznej. O tym pamiętajmy.

¹ Ścisłej nie do Galicji, lecz do Austrii, bo Kraków formalnie stał się osobnym tworem o nazwie Wielkie Księstwo Krakowskie.

² W kierunku na: 1. Przemyśl (dalej do Krakowa), 2. Sambor (dalej na Węgry; tam też najbliższe powiązanie z linią transwersalną), 3. Stryj (dalej

na Węgry), 4. Stanisławów (dalej na Węgry i do Rumunii), 5. Podhajce, 6–7. w Krasnem rozdział na: Brody (dalej na Wołyń) oraz Tarnopol (dalej na Ukrainę), 8. Kamionka Strumiłowa (dalej na Wołyń), 9. Rawa Ruska (dalej do Lublina i Warszawy), 10. Jaworów.

- ³ Żywiec–Sucha–Chabówka–Nowy Sącz–Jasło–Krosno–Sanok–Chyrow–Sambor–Drohobycz–Stryj–Kałusz–Stanisławów–Buczacz–Czortków–Kopyczyńce–Husiatyn nad Zbruczem

- ⁴ Po stronie wschodniomałopolskiej: Stanisławów–Śniatyn na Bukowinę i do Rumunii (1866); Stryj–Beskid na Węgry (1888); Stanisławów–Voronienka na Węgry (1895); Sambor–Sianki na Węgry (1906).

Literatura

W. Komorowski, A. Sudacka, *Architektura linii kolejowej Karola Ludwika* [w:] Kwartalnik Arch. i Urb., PWN, W-wa 1995

L. Mazan, *150 lat dróg żelaznych w Galicji*, Kolejowa Oficyna Wydawnicza, W-wa 1997

R. Kołodziejczyk, *Warszawsko-Wiedeńska Kolej Żelazna*, PZWS W-wa 1962

A. Rybicki, *Koleje, które przecięły Karpaty Wschodnie* [w:] Semper Fidelis 2/1992

W. Gosk, *Lwów AD 1904* [w:] Kurier PKP 51/1999

DLACZEGO?

(dokończenie ze s. 6)

stanowią zwartych grup i stamtąd nie pochodzą (a jak się tam znaleźli to już inna sprawa), a także od Izraela, bo to całkiem różne zagadnienie. Natomiast nie pojmujemy, dlaczego nie należałoby oczekiwać wzajemności od trzech państw za wschodnią i północno-wschodnią granicą, a także od Słowacji i Czech (Zaolzie!), tym bardziej że tam polskie mniejszości kilkakrotnie licznie przerastają ich mniejszości w dzisiejszej Polsce. Nie przekonuje nas wytłumaczenie, że *nie od nich* [mniejszości w Polsce] *zależy, czy osoby o polskiej narodowości lub pochodzeniu [...] są należycie traktowane i cieszą się porównywalnymi prawami. Ustanowienie klauzuli wzajemności wprowadziłoby elementy odpo-*

wiedzialności zbiorowej [...]. To, iż ktoś nie zachowuje się należycie, nie znaczy, że i my musimy się zachowywać niewłaściwie.

Hola, panie Winczorek i panowie twórcy projektu ustawy! Gdyby o was samych chodziło, to moglibyście dawać przykład tak swoiście pojętego *dobrego wychowania*. Tu jednak chodzi o rzesze Polaków, którzy w sposób bezprzykładny w cywilizowanej części Europy są dyskryminowani, a nawet nierzadko szykanowani. Dbanie o zapewnienie właściwego traktowania naszych Rodaków jest waszym – mówiąc dosadnie – psim obowiązkiem. Projekt ustawy, która przechodzi obok tego do porządku dziennego, a także szukanie dla niej tyleż pokrętnego co naiwnego usprawiedliwienia, sugeruje antypolskie źródła jej inspiracji. Nie pierwszy raz zresztą.

Barbara Kraśnicka

26 czerwca 2002 zmarł w Laskach w wieku 96 lat

ks. infułat TADEUSZ FEDOROWICZ

kapłan Archidiecezji Lwowskiej

Pamiętna była Jego decyzja dobrowolnego wyjazdu na *niełudzką ziemię*, by tam, w Rosji i Kazachstanie, utwierdzać w sile duchowej wywiezionych Polaków. Do Kraju powrócił wraz z II Armią WP w 1946 r.

Osiadł w Laskach, był wieloletnim krajowym duszpasterzem niewidomych.

Ks. Tadeusz Fedorowicz pochodził z rodziny ziemiańskiej z Tarnopolskiego. Jego rodzony brat, ks. Aleksander Fedorowicz, jest dziś kandydatem do chwały ołtarzy. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy szersze wspomnienie o obu Księżach Fedorowiczach i ich Siostrze – zakonnicy.

Krótkie, ciepłe wspomnienie o spotkaniu z ks. Tadeuszem w Kazachstanie przeczytaliśmy w opowiadaniu zamieszczonym w poprzednim numerze CL.

Odszedł niezwykły Kapłan, Polak, wybitny Syn Wschodniomałopolskiej Ziemi.

Jedna z koleżanek z Towarzystwa Miłośników Lwowa zwróciła mi uwagę, że we wspomnieniach, które spisuję, powinnam podawać jak najwięcej nazwisk osób, które jeszcze pamiętam [owa miła Pani zapewne wie o naszym Indeksie Wschodnich Małopolan. Dziękujemy! –

przyp. red.] Niestety pamiętam ich niewiele. Ale myślę, że jest ich sporo w albumie, który mam w spadku po rodzicach. Najczęściej oglądałam w nim zdjęcia, a jest ich ponad sto. Tym razem zaczęłam czytać od tytułu: *Historia założenia i rozwoju cukrowni w Chodorowie 1912–1932*. Pod spodem odręcznie napisana dedykacja: *Panu Inż. Lucjanowi Rydłowi na pamiątkę dwudziestolecia Spółki ofiaruje Zarząd (pieczętka: „Chodorów” Spółka Akcyjna dla Przemysłu Cukrowniczego w Chodorowie, dwa nieczytelne podpisy).*

Z tego opracowania dowiedziałam się o burzliwych losach cukrowni. Inicjatorem założenia Spółki był baron Kazimierz de Vaux, właściciel klucza chodorowskiego składającego się z dziesięciu folwarków: Anielówka, Chodorów, Dymidów, Kolesowa, Mołodyńcze, Podliski, Sadki Królewskie, Suchrów, Zgóreczko, Żyrawa. Spółkę założono w 1912 r. wspólnie z Polskim Bankiem Przemysłowym we Lwowie. Dyrektorem Towarzystwa został wspaniały fachowiec inżynier Stanisław Kremer (z krakowskich Kremerów). Urodzony w 1876 r. ukończył Instytut Technologiczny w Wiedniu w 1898 r. Kolejno pracował w Techniczno-Chemicznej Stacji Doświadczalnej Związku Cukrowników w Wiedniu, w cukrowniach w Czechach, w Niemczech i na Morawach oraz w Cukrowni i Rafinerii „Przeworsk”.

W 1912 r. wykonano projekt fabryki oraz wszystkich budynków towarzyszących, biurowych i osiedla. Przyjęto ofertę architekta Macieja Blacha z Pragi, który wybudował już kilkanaście cukrowni w Rumunii, Bułgarii i Włoszech. Urządzenia i maszyny zamówiono w Zakładach „Skody” w Pilźnie w Czechach.

Była to jedna z najnowocześniejszych cukrowni w Europie, biorąc pod uwagę urządzenia fabryczne oraz zaplecze socjalne. Pierwsza kampania cukrownicza odbyła się już w 1913 roku (10 X – 4 XII). Niestety nadeszły lata klęsk, spowodowane wybuchem I wojny światowej. 1 września 1914 r. nastąpiła inwazja wojsk rosyjskich, która trwała do 26 czerwca 1915. Zapasy cukru, stanowiące kapitał cukrowni, zostały zrabowane, maszyny i urządzenia zdemontowane i wywiezione do Rosji. Budynki spalone, komin wysadzony w powietrze.

Maria Barbara
Rydel-Hetnał

MÓJ CHODORÓW

Spółka miała niespłacone długi w banku, uzyskała jednak nową pożyczkę na odbudowę. Budynek pokryto dachem, zakupiono centryczne cegły na komin, ale zanim ukończono – nastąpiły nowe działania wojenne. 16 lipca 1916 r. armia austriacka zajęła fabrykę na kwatery, co trwało do 1 października 1917. Znowu wszystko zostało zniszczone, a specjalnymi cegłami na komin wybrukowano drogi. Ponownie zabrano się do odbudowy fabryki, hal i komina, lecz gdy prawie ją ukończono – nastąpiła inwazja ukraińska, która trwała niemal rok (30 XI 1918–30 IX 1919). Znowu fabryka została zniszczona, a budynki mieszkalne uszkodzone ostrzałem. Okoliczne majątki ziemskie i folwarki też uległy spłądowaniu przez Ukraińców. Udało się jednak zakontraktować buraki na kampanię 1920 roku. Przystąpiono po raz trzeci do odbudowy. Ale to jeszcze nie był koniec klęsk.

Od sierpnia do października 1920 r. Chodorów przeżył najazd bolszewików. Gospodarstwa rolne zostały ograbione z inwentarza żywego i maszyn rolniczych, ale starano się dostarczać buraki, na które cukrownia wypłaciła już zaliczki. Tymczasem 20 października chwycił silny mróz, który trzymał 9 dni, a po nim nastąpiło ocieplenie. Trzeba było szybko przerabiać buraki, aby nie zgniły.

Aparatura i urządzenia w cukrowni wymagały gruntownego remontu, a mimo tylu przeciwności zdecydowano przeprowadzić kampanię cukrowniczą. Znowu pomógł finansowo bank lwowski, a także poświęcenie pracujących robotników. Bez przerwy ochładzano przegrzane pompy i remontowano psujące się urządzenia. Do 5 grudnia zdołano przerobić 65 000 q buraków i otrzymać 7140 q cukru białego i 2058 q melasy.

Zarząd spółki postanowił powiększyć kapitał akcyjny. Wypuszczono 50- i 100-złotowe akcje na okaziciela, co pozwoliło na zakup nowych urządzeń i uratowanie bytu fabryki. Następnie zakupiono zdewastowane folwarki od barona de Vaux, który uzyskane pieniądze wyłożył na akcje Towarzystwa, co było bardzo obywatelskim czynem. Rozbudowano też osiedle przy cukrowni, wille dla dyrektorów, domy dla urzędników i stałych pracowników, kasy, kluby, boiska sportowe, ochronkę dla dzieci, Kasę Przejrzystości itp.

Problem dla cukrowni stanowili robotnicy sezonowi. Na chłopo-robotników narodowości ukraińskiej nie można było liczyć, nie traktowali pracy w fabryce poważnie, pracowali dorywczo. Postanowiono stworzyć kolonię robotniczą z ludzi związanych z fabryką i ceniących sobie tę pracę. W tym celu rozparcelowano ok. 250 hektarów ziemi w niedużej odległości od cukrowni, przy folwarku Żyrawa i osadzono tam włościan z okolic Przeworska. Ceny za działki obliczono w równowartości buraków, które mieli koloniści uprawiać i dostarczać do cukrowni przez określoną liczbę lat. W sezonie jesiennym ludzie ci mieli być zatrudnieni w fabryce. Cukrownia ofiarowała Kolonii 6 morgów gruntu na cmentarz, boisko i ogród szkolny, wybudowano też Dom Ludowy, w którym mieściła się szkoła powszechna (4 klasy z jednym nauczycielem), sala zabawowa, łaźnia, urząd gminny oraz mieszkanie dla nauczyciela.

Inicjatorem całego przedsięwzięcia oraz długoletnim dyrektorem generalnym od roku 1912 był inż. Stanisław Kremer. Od jego nazwiska nazwano Kolonię oraz odbudowany przez niego po I wojnie światowej dwór w Żyrawie – Kremerówką.

We wspomnianym na początku opracowaniu nie wymieniono nazwisk pracowników cukrowni, a jedynie członków Rady Zawiadowczej, która w latach 1918–20 składała się z następujących osób:

prezes: inż. Franciszek hr. Zamoyski
wiceprezes: dr Marcin Szarski, dyrektor Banku Przemysłowego

członkowie: inż. Bronisław Albinowski – dyrektor dóbr Chodorów, Antoni hr. Lanckoroński, dr Stanisław hr. Badeni i dr Stanisław hr. Mycielski – właściciele ziemscy, Alfred hr. Potocki – ordynat łańcucki, dr Zdzisław Słuszkiewicz – dyrektor Banku Przemysłowego we Lwowie, inż. Stanisław Kremer – generalny dyrektor S-ki „Chodorów”.

Skład Rady Nadzorczej Spółki w r. 1929 był następujący:

prezes: dr Leon bar. de Vaux
wiceprezesi: dr Marcin Szarski i Antoni hr. Lanckoroński

członkowie: dr Wilhelm Krzysztoń, Elżbieta ks. Lubomirska, Eugeniusz ks. Lubomirski

a w skład Zarządu wchodził:

prezes: inż. Stanisław Kremer
członkowie: dyrektor techniczny inż. Adam Piotrowski, dyrektor handlowy Władysław Rozpłochowski.

Opracowanie uzupełniono bilansem działalności za lata 1912–32 z wyszczególnieniem obszaru ziemi, produkcji buraków, wyprodukowanego cukru, melasy i wyśtoków suchych oraz przychodów i rozchodów do r. 1919 w koronach, a następnie w złotych.

Na zakończenie zacytuję anonimowego autora powyższego opracowania: *Niechajże skreślona Historia Rozwoju Cukrowni Chodorowskiej będzie świadectwem trafności tezy, według której opłacalność warsztatów pracy jest głównym źródłem dochodu Skarbu Państwa i dobrobytu całego społeczeństwa.*

Dobra passa Spółki „Chodorów” i ludzi z nią związanych trwała do wybuchu II wojny światowej i skończyła się z dniem 17 września 1939. Po zajęciu Ziemi Wschodnich przez Związek Sowiecki zdemontowano urządzenia fabryki i zabrano w głąb Rosji. Cała ludność Kremerówki oraz osiedla przy cukrowni wywieziona została na Sybir. Moja rodzina uniknęła tego losu, gdyż jesienią 1938 r. przeprowadziliśmy się na Śląsk Cieszyński, gdzie ojciec podjął pracę w Cukrowni Chybie.

* * *

Moje najszczęśliwsze lata dziecięce związane były z Cukrownią Chodorów. Ojciec, jako stypendysta, po ukończeniu studiów rolniczych na UJ podjął pracę w dobrach chodorowskich w 1925 r. Ja urodziłam się w Kolesowej (1928), moi bracia w Zagóreczku (1932). W 1933 r. ojciec awansował na dyrektora Dóbr Chodorów i zamieszkaliśmy w nowo odbudowanym pięknym dworze w Żyrawie-Kremerówce. W latach 1934–38 uczęszczałam do szkoły w Kremerówce wraz z dziećmi kolonistów. Z tych lat mam wiele miłych wspomnień, które staram się zapisać.

Fragment wspomnień Pani Barbary wydrukowaliśmy w CL 2/01. Tamże Jej apel o kontakt z dawnymi mieszkańcami wsi Kremerówka, jeśli przebywają gdzieś w RP.

Adam Trojanowski

WUJ KLAUDIUSZ

Wspomnienie liryczne

Potężny czworokątny budynek we Lwowie, o monumentalnej architekturze, otoczony ulicami Snopkowską, 22 Stycznia, Żyrzyńską oraz Zaścianek, to siedziba międzywojennej Państwowej Szkoły Technicznej. Zbudowany został w 1910 roku dla kontynuacji Cesarsko-Królewskiej Państwowej Szkoły Przemysłowej, założonej w 1881 r. Wszystkie użyte tu nazwy są oczywiście już tylko sentymentalnymi wspomnieniami i historią. Fakt jednak faktem, że na budynku obecnego tam w tej chwili *Żeleznodorożnego Technikum* widnieje tablica, informująca w tamtejszym języku urzędowym, iż budynek ten ze względu na swoją wartość architektoniczną uznany został za pomnik kultury. Prawdziwym lwowiakom wiadomo, że kultury *polskiej*, o czym tablica ta jednak nie informuje¹.

Od 1912 r., a więc wkrótce po uruchomieniu tam tak zwanej wówczas „Przemysłówki” pracował w niej jako profesor, a także – jak głosi cki rocznik „Schematyzm Królestwa Galicji i Lodomerii” za 1912 rok – przełożony działu mechanicznego i warsztatu, inżynier mechanik Klaudiusz Filasiewicz. Studia ukończył w Wiedniu na tamtejszej Politechnice, szlifując znajomość języka niemieckiego za namową swego dziekana – jak sam opowiadał – poprzez znajomość z jakąś tamtejszą Mizzi. Dyplom uzyskał z dziedziny pomp, jednak w którymś momencie przestawił się na technologię obróbki plastycznej metali, łącznie z konstrukcją odpowiednich maszyn i urządzeń.

Jako urodzony Galicjak wrócił w macierzyste strony i kontynuując pracę w „Przemysłówce” objął pod rządami polskimi stanowisko jej dyrektora. Trwał na nim, poprzez mutację szkoły na Państwową Szkołę Techniczną, do czasów kiedy to władza sowiecka w okresie 1939/40 go relegowała. Szkoła cechowała się bardzo wysokim poziomem

nauczania i bogatym, nowoczesnym wyposażeniem do zajęć praktycznych. Ukończenie jej przynosiło tytuł technika. Wraz ze Szkołą Wawelberga i Rotwanda w Warszawie prowadziła intensywne działania o uzyskanie praw absolwentów do tytułu inżyniera zawodowego. Do czasu wybuchu II wojny prawa takiego nie uzyskała. Szkolono w niej fachowców z dziedziny mechaniki, elektrotechniki i chyba także budownictwa. W jakiś sposób, nie tylko lokalowy, związana z nią była także dziedzina przemysłu artystycznego, w tym tkactwo, ceramika, rzeźba, malarstwo oraz zdobnictwo. Dla porządku podaję, że uczniowie jej nosili po tzw. reformie Jędrzejewiczów mundury z tarczą na lewym ramieniu z numerem 524. Z profesorów pamiętam panów Kuczyńskiego, Kowalskiego, a także Lenkiewicza, znawcę i piewcę Gorganów i Czarnohory, turystę, narciarza i doskonałego fotografa. Z instruktorów, czyli obecnie tzw. nauczycieli zawodu, pamiętam panów Dobrzynieckiego, Martynowskiego oraz Rudnickiego.

Klaudiusza Filasiewicza tytułowałem zawsze wujem, a w rodzinie nazywany był Ninikiem. Osobiście byłem powiązany z jego żoną Julią z Retingerów, zwaną Julą. Przez całe lata trzydzieste, aż do czasów wojny,



moja rodzina pozostawała w bliskich i szczególnie serdecznych stosunkach z tymi bardzo miłymi ludźmi. Później, na skutek warunków wojennych, kontakty te rozluźniły się, ale nigdy nie zanikły.

Wiek Wujka oceniałem w tym okresie na jakąś „pięćdziesiątkę”, czego nie widać było z jego figury, sposobu poruszania się oraz zachowania. Mieli wtedy troje dorosłych już i samodzielnych dzieci – córkę oraz dwóch synów. W ciągu lat młodzi zajmowali się, każde w swoim zakresie, sztuką i przemysłem artystycznym, palestrą, sportem i alpinizmem, aż przyszedł czas konspiracji, Powstania Warszawskie i żołnierska śmierć w ich gronie, wreszcie jedna emigracja, której Wujostwo nigdy nie zaakceptowali.

W budynku PST, bo tak będę w dalszym tekście nazywał odnośną szkołę, Wujostwo dysponowali bardzo dużym mieszkaniem na I piętrze od strony południowo-wschodniej, a więc zapewniającej pełne słońce i dobre wtedy powietrze, spływające od Żelaznej Wody i Snopkowa. Urządzone było bardzo bogato, a w szczególności salon, dzięki wspaniałym lustrom weneckim, kryształowym kandelabrom, stylowym meblom, dobrym obrazom i przeszklonym serwantkom pełnym cennych bibelotów. Miał wystrój iście pałacowy.

Wuj Ninek miał swój pokój, w którym, oprócz koniecznego sprzętu, całą ścianę zajmowała wielka biblioteka pełna ciekawej literatury, nie tylko zawodowej, a na ścianie wisiała duża kopia obrazu Rubensa, który powodował u mnie wątpliwości, jak taka gruba, a do tego goła pani może się komuś podobać. W tym właśnie Wujowi.

Trudno mi teraz zrozumieć, dlaczego byliśmy wraz z moją siostrą traktowani tam niezwykle serdecznie i wyrozumiale. Chyba Wujostwo odczuwali radość z możliwości zapewnienia nam wszelkich przyjemności pożądaných przez dzieci. A było się tam czym i gdzie bawić, bo to olbrzymie mieszkanie było dostępne bez ograniczeń, piękny taras wychodził na wielki podworec wewnętrzny, duży ogród i sad. Stały tam liczne prywatne samochody ówczesnych profesorów oraz służbowe – w tym m.in. nowoczesny Dodge model 1937, należący do lwowskiego kuratora – garażujące na terenie PST. Oglądanie ich, a nawet wsiadanie na postojach było realizacją szczytu mych marzeń.

Czasem Wuj prowadził mnie po tamtejszych doskonale i nowoczesnie wyposażonych warsztatach mechanicznych, gdzie podziwiałem obrabiarki do metali, a także warsztat kuźniczy, gdzie hałasował niezapomniany młot mechaniczny i buzowały tajemniczo ogniska kowalskie, podsycane odpowiednim dmuchem.

Czasem aranżował Wuj wycieczki rodzinne, np. w dolinę rzeki Opór, gdzieś koło Hrebenowa, dokąd udawaliśmy się na cały dzień olbrzymim, archaicznym, ale sprawnym samochodem marki Benz, takim, jakich wiele kursowało wtedy na prywatne zamówienia z Zakopanego do Morskiego Oka. Mieściło się w nich 9 dorosłych osób.

Nawet kilka kolejnych wakacji spędziliśmy obok siebie, a było to z reguły Zakopane, ewentualnie Poronin. Wuj lubił mieć wtedy wakacyjny „luz” i był wprawdzie blisko rodziny, ale zawsze ulokowany samodzielnie, np. w pensjonacie „Bolesławka” na Żywczańskim przy drodze do Strażysk. Był w doskonałej formie fizycznej, zawsze pełen fantastycznych pomysłów, które potrafiły nawet drobiazgi zamieniać na niezapomniane przeżycia. Potrafił ubrać się wybitnie turystycznie, od głowy okrytej specjalnym kapelusikiem z intrygującym mnie wtedy termometrem bimetalicznym począwszy, do stóp ubranych w ciężkie, okute wszelakimi klamrami buty. Zarzucał wielki plecak wyposażony w zapasami, menażkami i kuchenką spirytusową. W sumie wyglądał tak, jakby szedł na Bóg raczy wiedzieć jaką wysokogórską wyprawę. Tymczasem nasza wycieczka kończyła się pod Reglami, nad potokiem Młyniska, tworzącym miejscami głębokie *baniony*. W miejsce zdobywania – jak w młodości Wujka nawet Ostrego Szczytu w Wysokich Tatrach – tym razem kończyło się na imitacji takiej wyprawy, połączonej ze smażeniem dobrze znanych Wujowi przysmaków turystycznych, opowiadaniem jego przygód i wspólnymi ćwiczeniami fizycznymi. Wreszcie Wuj, na szczęście tylko on, rozbierał się pokazując potężny tors a la Tarzan i następowała kąpiel w tamtejszej lodowatej wodzie. Ot, pomysłowość i tężyzna! Czyż mogło to dla nas nie być czarujące? Po kilku tak pięknie spędzonych godzinach następowała pełna mobilizacja

i triumfalny powrót, przy nieustającym podziwianiu niezwykłego Wuja.

Kto nie znał ówczesnego Zakopanego, nie wie o tym, że w każdą sobotę wieczorem, a nawet jeszcze późno w nocy, miały tam miejsce niesamowite galopady pijanych fiaków, połączone z ich dzikimi śpiewami, pohukiwaniem oraz góralskim łamaniem głosu, które tak dalece inspirowały Karola Szymanowskiego, że uwiecznił je w swych „Harnasiach”. Wuj Klaudiusz był wprawdzie absolutnym abstynentem, ale z lubością finansował takie nocne galopady dorożkami, w których zajmował tylne, wygodne siedzenie. Zachwycała go góralska żywiołowość i cieszyła satysfakcja z uczynienia tym prymitywnym ludziom swoistej przyjemności.

Z innych wyczynów Wuja muszę wspomnieć, jak to pewnym majowym wieczorem obserwował przez okno swego gabinetu przechadzającego się niecierpliwie pod ulicznymi klonami młodego człowieka, czekającego na swą wybrankę. Wtedy to, kryjąc się za firanką, Wuj wołał tajemniczym i ponurym głosem: *Ona już nie przyjdzie!*, czym peszył lub doprowadzał do wściekłości czekającego. Taka była wujowa fantazja. Kiedy już podrośliśmy, zabierał nas często do kina, przeważnie do „Palace”, „Cassino”, najnowocześniejszego „Europa”, gdzie oglądaliśmy takie wspaniałe filmy, jak *Suez*, *Wielki Walc* lub *Zeznanie szpiega*. Ten ostatni, oglądany w lipcu 1939 r., pokazywał fabularnie wyczyny Gestapo. Pamiętam, jak Wuj powiedział wtedy, jeszcze abstrakcyjnie, że gdyby Niemcy wkroczyli do Lwowa, to mieliby gotowe listy proskrypcyjne. Była to wizjonerska uwaga, która się już wkrótce u nas sprawdziła.

Wuj był wysokiej klasy specjalistą w swym inżynierskim zawodzie oraz pedagogiem, ale też erudytą i koneserem sztuki w każdej postaci, intelektualistą wysokiego lotu, w sumie człowiekiem wolnym i niezależnym, z duszą epikurejczyka oraz rozdającego szczęście i radość. Nigdy nie pił alkoholu, nie palił, nie uprawiał gier hazardowych. Nie krążył po kawiarniach lub restauracjach, nie zajmował się polityką. Lubił bardzo towarzystwo ładnych, koniecznie jednak mądrych i wykształconych kobiet. Urzekał je swym naturalnym, eleganckim

(dokończenie na s. 61)

PROZA

Bolesław Jan Solak

RWD-10

W latach trzydziestych Polskie Zakłady Lotnicze w Warszawie rozpoczęły seryjną produkcję samolotu myśliwskiego konstrukcji inżyniera Zygmunta Puławskiego. Przez kilka lat ten samolot był najlepszym myśliwcem Europy, dopóki lepsze silniki niemieckie nie wyprzedziły całego świata.

Samoloty serii P – całkowicie metalowe – miały jastrzębie skrzydła, które za granicą nazywano *Puławski* albo *Polish*. Te jastrzębie nadały samolotowi drapieżny wygląd, który polscy myśliwcy pokochali. Silnik 600 KM musiała Polska kupować od Francji. [...] Brak dewiz na zakup silników francuskich lub angielskich zapoczątkował ideę budowy małego samolotu o polskim silniku 100 KM wyłącznie do treningu. Samolot musiał mieć charakterystykę pilotażu taką, jak kosztowny samolot myśliwski.

W roku 1932 zakłady RWD zbudowały taki samolot. W roku 1933 samolot RWD-10 z angielskim silnikiem 105 KM wystartował w Warszawie. W późniejszych latach polski silnik 110 KM zastąpił angielskiego Cirrusa. Konstruktor Jerzy Drzewiecki dał mu piękne, bardzo krótkie skrzydła o obrysie zbliżonym do skrzydeł samolotów Puławskiego. Samolot miał być zbliżony charakterystyką lotu do myśliwskiej maszyny bojowej. Miał się stromo wznosić w górę, miał być czuły na stery, niewybaczający błędów pilotażu, łatwo dający rzucić się w korkociąg czy szybką beczkę. Miał mieć dużą szybkość lądowania. Miał być trudnym, rasowym myśliwcem. Drzewiecki wypełnił te warunki. Jak mi potem opowiadał, omal się nie rozbił przy oblatywaniu prototypu, bo nie mógł opanować czułości sterów.

Ale ja o tym wszystkim nie wiedziałem.

Samolot kupił Aeroklub Lwowski. Stał w kącie hangaru warszawskiego, pomalowany na srebrny kolor. Spody skrzydeł miał pomalowane na czerwono, by łatwo było widać z ziemi, czy leci na plecach, czy normalnie. Na stateczniku miał namalowany znaczek

Aeroklubu Lwowskiego. Nazywał się SP-ALC i był tym samym prototypem, z którego Drzewiecki usunął zbytnią niestateczność. Czekał na pilota, który miał go zabrać do Lwowa. A Aeroklub Lwowski też nie wiedział o tym, że samolot jest rasową, przewrażliwioną na stery maszyną myśliwską. Spodziewano się normalnego samolotu szkolnego, wzmocnionego do akrobacji, i to wszystko.

Od kilku miesięcy pracowałem w Warszawie, bezpośrednio po ukończeniu pilotażu podstawowego i wylataniu kilkudziesięciu godzin samodzielnie. Od kilku miesięcy nie latałem i polowałem na pierwszą lepszą maszynę ze Lwowa, aby się na niej przelecieć. Od warszawiaków dowiedziałem się, że mój klub kupił SP-ALC. Tego samego dnia zadepeszczałem do Lwowa, prosząc o pozwolenie latania na tym samolocie. Na drugi dzień serce biło mi mocno z radości. W kieszeni niosłem na lotnisko krótką odpowiedź:

– Wolno latać bez akrobacji.

Kapitan K. długo trzymał w ręku moją depeszę. Wreszcie przeniósł wzrok z depeszy na mnie i zapytał:

– Czy latał pan już na *dziesiątce*?

– Nie, panie kapitanie... ale to jedno-miejscówka, więc o dublu trudno myśleć...

Zamyślił się znowu. Wreszcie zdecydował:

– Maszyna nie moja, klub nie mój, pilot nie mój – nie mam nic do powiedzenia. Niech pan każe wytoczyć maszynę i niech pan leci.

Gdy ubrany w spadochron szedłem do samolotu stojącego przed hangarem, ktoś z tyłu orzekł:

– Miał Lwów *dziesiątkę*!

Ale ja dalej nie domyślałem się, o co chodzi. Stałem obok maszyny i po raz pierwszy obejrzałem jej smukły kształt i krótkie drapieżne skrzydła. Gdy wsunąłem się w ciasną gondolę, ogołoconą z wszelkiego luksusu oprócz dużego i dziwnie lekko chodzącego drażka sterowego, gdy spojrzałem do przodu i zauważyłem, jak dużą część długości skrzydeł zajmuje śmigło, jak blisko są lotki mej gondoli, a stery prawie że za plecami, zrozumiałem po raz pierwszy, że tym razem wdałem się w awanturę.

Łyknałem ślinę i zaczęła się taka, zawsze ta sama, rozmowa z mechanikiem:

– Wyłączone – mały gaz.

– Wyłączone – mały gaz – powtórzył i zaczął przerzucać śmigło przez kompresję silnika.

– Kontakt!

– Kontakt! – powtórzył.

Strześlił dym z rur wydechowych i silnik ruszył. Silnik ruszał się i drgał od nadmiaru mocy

Archiwum

NIEDOSZLI ZDOBYWCY PRZESTWORZY

[...] **ledwie 19 września 1783 roku bracia Montgolfier puścili w Wersalu swój pierwszy balon, już w kilka miesięcy potem próbowano podobnego eksperymentu w Polsce.**

1 kwietnia 1784 r. w Krakowie w ogrodzie botanicznym na Wesołej – staraniem Jaśkiewicza, Jana Śniadeckiego i innych, czyniono *doświadczenia z banią powietrzną*. Eksperyment został opisany w sławnej broszurze pod takimż tytułem i jest stosunkowo dobrze znany szerokiej P.T. publiczności. Mniej wiadomym jest, iż krakowską próbę poprzedziła podobna, podjęta kilka tygodni wcześniej we Lwowie. O niej opowiemy [...].

Jedno z najdawniejszych polskich czasopism – „Lwowskie Pismo Uwiadamiające” – z początkiem roku 1784 poinformowało swych czytelników o pierwszym wzlocie Montgolfiera i o decyzji dwóch znamienitości lwowskich szykujących się do powtórzenia tego niesłychanego wyczynu pod lwowskim niebem. Tymi śmiałkami okazali się profesor fizyki tutejszego uniwersytetu Martinovics i lekarz dr Hermann.

Martinovics, z pochodzenia Chorwat, choć urodził się w Peszcie i podawał się za Węgra, był pierwszym dziekanem i dyrektorem studium filozoficznego uniwersytetu lwowskiego. Podawał się za doktora teologii i filozofii, członka wielu towarzystw naukowych, choć dowodów na to nikomu nie przedstawił. O jego przeszłości wiadziano w ogóle niewiele. [...] We Lwowie wykładał do roku 1791, potem z protekcji cesarza Leopolda wyjechał do Wiednia, zabierając ze sobą wiele dzieł z gabinetu fizycznego. [...]

Drugi nasz aeronauta Nepomucen Antoni Hermann w roku 1777 został sprowadzony z Pragi przez Stanisława Małachowskiego na

w porównaniu z jego wymiarami. Nagrzewałem silnik, patrząc ustawicznie po lotniku i horyzoncie, aby oczy przyzwyczaić do wyglądu ziemi przy lądowaniu. Wreszcie wskazówka temperatury oliwy ruszyła z miejsca i kiwnąłem głową, by wzięto spod kół podstawki.

Kołując na start nie mogłem dogadać się z samolotem. Uciekał mi z kierunku za najmniejszą niedokładnością użycia steru. Musiałem pilnować go jak przestępca. Trochę większy gaz, a rozpędzał mi się nadmiernie, gdy przymykałem gaz, uciekał mi z kierunku. Wreszcie dobrnąłem do chorażewki startowej. Stary, siwy choraży, prowadzący start, podszedł do mnie:

– Panie inżynierze! Pan na *dziesiątce*?

– Tak. Albo co? – odpowiedziałem spokojnie, ale zrobiło mi się trochę niewyraźnie.

– No nic, nic! – zachnął się – Niech pan leci, tylko niech pan uważa.

I odszedł do grupy, zostawiając mnie moim myślom. A dziesiątka gadała niskim basem silnika i drgał mi ster w rękę. Wreszcie znak do kołowania na start. Stoję na kierunku. Patrzę w lewo, w prawo. Przede mną równia lotniska, na lewo grupa i stary choraży patrzą na mnie. Odetchnęłem głęboko:

– Gaz!

Takiego zrywu nie spodziewałem się. Głowa uderza lekko w poduszkę, samolot

pochyla się gwałtownie, jakby chciał stanąć na śmigle. Ściągam trochę nerwowo... i jestem w powietrzu. Maskę wychodzi nad horyzont, a szybkość rośnie. Patrzę w dół. To nie jest błąd zegarów. To samolot prze w górę jak rakieta. Poda mną brzeg lotniska niezwykle nisko. A szybkość dalej rośnie. Odważam się zdrzeć maskę jeszcze bardziej. Samolot prze w górę jak pocisk, skrzydła leżą wysoko nad horyzontem. Przymykam delikatnie gaz i staram się dogadać z lotkami i sterem wysokości. Ster kierunku jest tak czuły, że zacisnąłem nieruchomo nogi.

Powoli, powoli zaczyna mnie samolot słuchać. Próbuję zakrętu w lewo. Pochyla się gwałtownie. Prostuję samolot i jeszcze raz kładę go powoli, spokojnie i lekko ściągamy. Gna prawie że w pionowym zakręcie, lekko, chętnie. Skrzydła przez chwilę zalane są blaskiem, a za chwilę już tylko czerwone spody palą się i znowu krąg śmigła mija linię słońca. Dziesiątka leży w zakręcie idealnie i gna za samym sterem wysokości. Przekładam w prawy zakręt. Ta sama zwinna reakcja, natychmiastowe słuchanie sterów i zwrotność niesamowita.

Rozprężają się mięśnie. Opieram głowę na poduszce i prowadzę spokojnie samolot z zakrętu w zakręt. Jest mi wesoło. Próbuję

stanowisko nadwornego lekarza. W 1783 r. osiadł we Lwowie i otworzył praktykę lekarską, podając się za *nadwornego konsyliarza Najjaśniejszego Jegomości Króla Polskiego*. Czy był nim istotnie – wątpliwe.

Obaj dzielni mężowie postanowiwszy puścić się w powietrze, w pierwszym rzędzie, jako ludzie praktyczni, zadbali o odpowiednie fundusze drogą publicznej zbiórki. Zaapelowali do czytelników „Pisma Uwiadamiającego”, by wszyscy *lubiący wglądanie w naturę dopomagać do nakładu na taką machinę się oświadczyli*. Przedstawili szczegółowy kosztorys, dzięki któremu wiemy, iż ich „mongolfiera” (kula o średnicy 15,8 m, objętości 2000 m³ i wadze 595 kg) miała być zrobiona z mocnej tkaniny, zwanej wtedy *kitajką*, i „popokoszczona”, tj posmarowana po wierzchu olejem i woskiem. Nie chcąc uchodzić za wydrwigroszy, projektanci zapewnili, iż *jeśli pożądaný skutek się nie pokaże, każdy nazad swoje pieniądze odbierze*.

Ilu *lubiących wgląd w naturę* zechciało wesprzeć pomysł, nie wiadomo. Prawdopodobnie

nie było ich wielu albo wcale, bo do planowanego lotu ostatecznie nie doszło. Ścisłej, do lotu załogowego, bo sam balon, wykonany z papieru, jednak poszybował – 4 marca 1784 roku o godzinie 5 po południu w ogrodzie Biłskiego. *Ta machina składała się z 2 papierowych czworograniastych skróconych szyszaków i niosła z sobą ognisty cylinder. Bania wzniosła się prosto w górę, w minucie wysoko na co najmniej 360 stóp. Gdy cylinder zgasł i zaczęła opadać, znów zapalili go czym prędzej przyspieszający fizycy i znów ją do pierwszej wysokości wzniesli. Ale przy tym powtórzeniu sama zapaliła się; straciwszy wagę, spadła przez połowę spalona na ziemię – napisało nazajutrz „Lwowskie Pismo Uwiadamiające”.*

Sukces był więc, powiedzmy, połowiczny. Martinovics i Hermann nie weszli do historii aeronautyki, ale przynajmniej uszli z życiem. Choć złośliwi twierdzili, iż tchórz ich obleciał. [...]

Jan Rogóż, *Zdobywcy przestworzy*
„Dziennik Polski” 52/02

przeciagnąć samolot. Zdawało mi się, że lecę pionowo w górę i przelecę przez plecy, a samolot dalej trzymał się powietrza jak kot pazurami i nie chciał się zwalić. Po raz pierwszy ciepła fala uczucia do samolotu przeleciała mi przez myśl:

– Ależ to maszyna!

Przymykam gaz. Cichnie szybko i nie przepadając ani trochę zwija się w korkociąg. Wyprowadzam po pół zwiłki i robi mi się gorąco. Co będzie z lądowaniem? Jeszcze raz próbuję małej szybkości, tak jak na samolocie szkolnym. Znowu korkociąg. Próbuję jeszcze raz. To samo nieomylnie i zawsze. Na stu kilometrach na godzinę jest w korkociągu.

Będę lądował na stu dziesięciu kilometrach na godzinę i tykam ślinę na myśl o moich dotychczasowych lądowaniach na sześćdziesięciu kilometrach na godzinę. Przypominam sobie krótkie lotnisko i starego chorążego. Jeszcze raz przeciągam samolot śledząc każdy jego ruch. Przychodzi na mnie ogromne skupienie, które później poznałem dokładniej. Wszystko znika mi z myśli oprócz samolotu, który idzie cicho po horyzoncie na przymkniętym gazie i nagle zwija się jak drapieżne zwierzę. Kładę maszynę w spiralę i zwyczajem uczniów usiłuję ściągnąć ster do końca. Ogromna siła wgniata mnie w siedzenie, a w następnym ułamku sekundy horyzont rozmazał mi się w ogromne kolisko. Szybka becзка. Równam stery, samolot natychmiast wraca do normy.

Co ja złego zrobiłem?

Próbuję jeszcze raz. Doprowadzam do pionowej spirali. Spirala idzie szybko jak wir. Cała ziemia gna w koło, prasuje mnie mocno w maszynę. Ale drążek prawie że nie ściągnięty. Ściągam powoli dalej. Ogromny ciężar siada mi na barki i... już! Znowu ten histeryczny młyniec po niebie i dziesiątka zwija się w szybkiej beczcze jak łyżwiarz w piruecie. Zaczynam rozumieć. Stopniowo uczniowskie łuski opadają mi z oczu. To nieważne, gdzie jest ster. Skup się cały na zachowaniu się maszyny. Nie tylko myśl. Po prostu cały. A wtedy samolot płynie posłusznie, szybki, nerwowy i piękny jak jastrząb.

Podchodzę do lądowania. Kładę maszynę w ślizg. Idzie w ślizgu przez powietrze jak nóż, sterowna i posłuszna. Równam nad ziemią i nie zadzierając maski doprowadzam do samej ziemi. A gdy trawa zaczyna gnać jak jedna szara droga metr lub półtora od

mojej wychylonej twarzy, zaczynam ściągać. Równo na stu kilometrach na godzinę dziesiątka siada na trzy punkty. Siada sama. Pilnuję jej na wybiegu, by mi nie uciekła w bok, wreszcie pęd maleje i dziesiątka zatrzymuje się. Oddycham głęboko i kołuję do grupy, spokojny i szczęśliwy.

Od grupy oddziela się kapitan K. i podchodzi do maszyny. Podnoszę okulary i patrzę na niego milcząc, zadowolony z siebie. A kapitan zaczyna mnie rugać:

– Tak się nie robi, panie inżynierze. Klub dał panu samolot do latania, a nie do zabawy. Zamiast ćwiczyć lądowania, poleciał pan gdzieś w krajobraz i diabeł wie, co pan robił...

Nie słyszę, co mówi dalej. W myśli przypominam sobie cały mój lot i mam ogromną ochotę powiedzieć mu, że się myli, że gdybym podszedł w normalnej rundzie do lądowania, zamiast dogadać się z samolotem wysoko i daleko, ja byłbym teraz w sanitarce w drodze do szpitala, a z dziesiątki byłaby kupa śmiecia. Ale coś się we mnie zmieniło. Coś dorzewa szybko. Siedzę w całej maszynie, szybkiej, czulej i pięknej. Kapitan na pewno jeszcze na niej nie latał. Nagle zdaję sobie sprawę, że to ja mam rację, a nie on, że coś we mnie dojrzało i że wobec tego wszystko inne nie ma znaczenia, nie wyłączając kapitana opartego o burtę i dalej prawiącego mi kazanie.

– Co mam zrobić, panie kapitanie?

Mój ton podoba mu się. Jest bez złości, bez zarozumiałości, jestem zbyt szczęśliwy na to. Kapitan uspokaja się.

– Niech pan zrobi parę lądowań, a potem odprowadzi maszynę do hangaru.

– Tak jest, panie kapitanie.

Wykołowuję na start. Chorąży machnął chustką i kiwnął głową. Powoli otwieram gaz, nie oddając steru. Nawet nie wiem, kiedy jestem w powietrzu. Przymykam nieco gaz i czekam na brzeg lotniska. Powoli kładę maszynę dość płytko, aby mnie kapitan nie zawiesił w lataniu za *amerykana* i wyciągam w górę zakręt czysty, spokojny, stromy jak raca. Jest mi dobrze, jestem u siebie, a dziesiątka jest cudem.

Opowiadanie pochodzi z książki J.B. Solaka pt. „Joga słońca. Wspomnienia pilota i podróżnika”, którą omawialiśmy w CL 1/96. Dokończenie w jednym z następnych numerów.

Krystyna Angielska

Cracovia- -Leopolis



**Całe życie dojrzałe w Krakowie,
ale serce zrodzone we Lwowie.
Często pamięć w te strony wyrusza,
gdzie lwy nadal strzegą ratusza,
tam Orleńta i Zamek Wysoki,
Stryjski Park swe roztaacza uroki.
Dusza zdrzży, zabłyśnie tza gorzka,
kiedy zabrzmie melodia swojska
o batiarach, o Kaiserwaldzie...
Wtedy nie wiesz, co wzrusza cię bardziej:
czy dźwięk dawnej piosenki, czy słowa,
czy dzieciństwa wizja kolorowa.
Takie piękne są Planty i Wawel,
ołtarz Stwosza i Barbakan stary,
wieże świątyn w wodzie Wisły odbite,
urok baśni i pradawnych mitów.
Lecz wspomnienia o lwowskiej młodości
czasem w zmierzchu srebrnoszarym zagoszczą,
niby ptaki wracające wiosną.
I te chwile mają miodu smak, zapach jaśminu,
tylko...
Fala żalu wszystko unosi,
bo ten czas bezpowrotnie – przeminał.**

Krystyna Angielska ukończyła studia na Politechnice Lwowskiej i podjęła pracę projektanta, ale zainteresowania techniczne nie przeszkadzają jej w pisaniu – i to nie do szuflady. Wiersze i proza pani Krystyny były drukowane w „Gazecie Lwowskiej”, „Magazynie Wileńskim”, „Głosie Pomorza”, „Semper Fidelis”, „Strychu Kulturalnym” (Przemysł), „Krynicy” (Kijów). Jest laureatką III Polonijnego Konkursu Poetyckiego w Węglanach, zdobyła także kilkakrotnie laury, startując w przemyskim Konkursie im. K. Wierzyńskiego. W minionym roku ukazał się we Lwowie tomik poezji Krystyny Angielskiej pt. Jesienny nokturn. Zawarte w nim wiersze cechuje prostota i szczerłość w wyrażaniu uczuć. Pisarka pogrupowała je według tematyki. Na przykład: część poświęcona ojczyźnie nosi tytuł: „Tak cię Kocham”.

KRYSZYNA ANGIELSKA, ur. 1934 we Lwowie. Ukończyła polską szkołę i studia architektoniczne na Politechnice Lwowskiej. Pracowała w biurach projektów, obecnie na emeryturze. Swoje utwory poetyckie drukowała w wielu czasopismach po obu stronach kordonu oraz w antologiach *Gdzie jesteś Ojczyzno* (1996) i *Habemus Papam* (2001). Wydała dwa własne tomiki wierszy: *Jesienny nokturn* (1998) i *Nostalgia* (2000). Jest kilkakrotną laureatką konkursów literackich. Tłumaczy poezję z jęz. francuskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Mieszka we Lwowie.

Tak cię Kocham
jak Julia kochała Romea.
Gotowam walczyć
pełna wiary jak Joanna d'Arc,
taj jak ona
bym za ciebie na stosie spłonęła
i nie spadłaby
żadna skarga z mych ściśniętych warg.
O mój kraju,
czemuż los mnie od ciebie oderwał?
Powiedz czemu
nieustannie o tobie myślę?
Cierń nostalgii
rani serce moje bez przerwy,
by ją uspić
jak Ofelia utonąłabym w Wiśle.

„Pory roku – pory życia” to wiersze o przemijaniu:

...

W życiu ludzi też wiosna przemija najszybciej,
zaledwie się oglądniesz – i lato już mija,
jesień czasem zatrzyma parę złotych liści,
tylko zima całunem resztę dni okrywa.

Wiersze poświęcone rodzinemu miastu znajdzie czytelnik w części pod hasłem „Siedem wzgórz”. Poważne i na lżejszą nutę: „Lwowska babka wielkanocna”.

Funt białej mąki kulikowskiej,
Pięć deka drożdży, szklanka cukru
i jaj piętnaście – prosto z wioski.
Oddzielić żółtka, wziąć makutkę,
ucierać cukier wraz z żółtkami,
aż się przemieni w lekki puch,
wymieszać z mąką i drożdżami
ścierając skórę z cytryn dwóch.
Dodać wanilię, troszkę mleka,
następnie masło wlać topione,
wyrabiać ciasto szybko, lekko,
aż będą was bolały dłonie.
Teraz trzeba dać przyprawę,
bez których babka nie ma smaku.
Można je sypać bez obawy,
bo są drogimi dla lwowiaków:
garść polnych kwiatów z Pohulanki,
Stryjskiego parku aromaty,
z Cytadeli – jasność poranka,
z Katedry – chłodną biel ornatu.
Troszkę wdzięku Władę Majewskiej,
szczyptę dowcipów Tońka, Szczepka,
dźwięk pieśni znanej od oseska,
bo Łyczaków jest jej kolebką.
Cwiartkę „tajoków”, „całujrączek”,
pół szklanki batiańskiej swawoli,
którymi babkę się nasączy
i pod na świątecznym stole.

Irena Suchanek

Z KS. KRZYSZTOFEM PANASOWCEM

rozmawiają
**Romana Machowska
i Andrzej Chlipalski**



AC. Przed niespełna dwoma laty – w lecie 2000 roku – byłem po raz pierwszy w Dolinie, „przyczepiony” do krakowskiej Telewizji, bo z Doliną łączą mnie więzy rodzinne (choć nie własne korzenie). Był to okres wakacyjny, ekipa TV miała nagrać organizowaną tu oazę. To co wtedy zobaczyłem, usłyszałem i poznałem, było dla mnie budujące. Chciałbym bardzo, by nasi Czytelnicy czegoś się o tym dowiedzieli. Korzystamy więc z krótkiego pobytu Księdza w Krakowie. Pierwsze pytanie: od kiedy i skąd przyjeżdżają tam dzieci na oazowy wypoczynek?

KP. Systematyczne, coroczne turnusy oazowe datują się od 1994 roku, ale już rok wcześniej przyjechała tu młodzież na rekolacje. Tak to się zaczęło. A teraz stanowi-

my Archidiecezjalne Centrum Ruchu Oazowego. Skąd przyjeżdżają? Z daleka i z bliska. Ze Lwowa, Żółkwi, Rawy Ruskiej, Jaworowa, Janowa. Z Rohatyna i Halicza, ale także z moich trzech parafii...

RM. Ksiądz obsługuje duszpastersko – oprócz Doliny – parafie w pobliskim Bolechowie i niewiele odleglejszym Katuszu. Ja tu już jestem zorientowana, a nawet więcej – prawie zadomowiona, bo byłam parokrotnie w ramach akcji charytatywnej pomocy krakowskiej „Wspólnoty Polskiej”.

AC. Czy to są dzieci polskie?

KP. W zasadzie tak, bo to przecież dzieci z rodzin rzymskokatolickich, choć narodowościowo mieszanych. Czasem nie tylko ich narodowość jest nieokreślona, także religia, bo przyjeżdżają również dzieci, które dotychczas miały z nią bardzo luźny kontakt. O Bogu wiedzą najwyżej z kazań. Nie wszędzie jest katecheza, bo w miejscowościach bardziej odległych, gdzie jest mało Polaków, nie ma kto nauczać. Księża mają kilka miejscowości do obsłużenia i dojeżdżają od czasu do czasu by tylko odprawić mszę świętą.

AC. Ile dzieci przewijają się rocznie przez tutejszy ośrodek? Kto je tu kieruje?

KP. Przez trzy miesiące wakacyjne – bo tu nauka w szkołach kończy się w maju – mamy sześć 14-dniowych turnusów, czasem nawet siedem. Na turnus przybywa 50 dzieci ze swoim księdzem, z siostrami i wolontariuszami – *animatorami*, i oni prowadzą swoją grupę. Ksiądz Marek Niedźwiecki zaprasza animatorów z Krakowa, Lublina. Ale przyjeżdżają nawet z Ameryki, z Syberii. Ja często w tym czasie jadę gdzie indziej, na inny teren moich parafii, i tam prowadzę zajęcia z tymi dziećmi, które tu przyjechać nie mogą.

AC. Ja akurat spotkałem tu dziewczynę z Moskwy, Rosjankę. Całkiem dobrze mówiła po polsku. Czy może ksiądz opowiedzieć, jaki jest porządek dnia?

KP. Młodzież ma różne obowiązki, oczywiście na zmianę: dyżury, sprzątanie, pomoc w kuchni, robienie kanapek, mycie naczyń. Z innej dziedziny: przygotowanie programu na wieczór, dyżur liturgiczny...

RM. Na czym to polega? Służenie do mszy? Czy dziewczęta też służą?

KP. Nie tylko służenie do mszy, także śpiew i czytanie w czasie nabożeństw, pro-

cesja z darami itd. Dziewczęta też służą – kiedy nie ma chłopców.

AC. Czy są wycieczki? Zauważyliśmy, że nie tylko dzieci na obszarach postsowieckich nie znają nawet własnych okolic. Nie zapomnę swojego przeżycia – gdy jechaliśmy autokarem w stronę gór, zapytałem młodego, wykształconego Polaka z jednego z miast niedaleko gór, co to mający na horyzoncie: Gorgany czy Czarnohora? On popatrzył na mnie jak na nieuka i wyjaśnił: ależ to Karpaty, proszę pana.

KP. W czasie każdej oazy urządzamy trzy wycieczki całodzienne – w pobliskie górki, nad rzekę. Ich program jest oczywiście określony. Obok zabaw i kąpieli w rzece mamy takie zajęcia, jak *szukanie Boga w przyrodzie, czy wyprawę otwartych oczu*. Podczas modlitwy porannej ustala się patrona i *tajemnicę dnia* według różańca. Dla wielu dzieci to zupełna nowość.

RM. Czy wszystkie dzieci reagują na to pozytywnie?

KP. Różnie. Niektóre *nowe* wzywają rodziców, żeby je zabrać. Ale za parę dni chcą wracać na oazę! W następnym roku znowu się proszą, żeby przyjechać, ale to nie zawsze możliwe, bo musimy zapraszać młodsze roczniki. Oczywiście część przyjeżdża powtórnie, a po paru latach sami stają się animatorami dla następnych „pokoleń”.

AC. Wracam do wycieczek – w prawdziwe góry?

KP. To nie wychodzi. Tutejsza młodzież nie ma tego nawyku, nie miał kto ich tego nauczyć. Nie ma zresztą ścieżek, wytyczonych szlaków, oznakowania.

AC. A przecież te góry były pięknie przygotowane do turystyki letniej i zimowej. Były szlaki, schroniska, schrony. Czytamy o tym w niezliczonych przedwojennych wspomnieniach, przewodnikach, oglądamy w rodzinnych albumach. I jeszcze żyje wielu takich, którzy po tych górach chodzili. Przemineło z wiatrem...

RM. A jednak sporo młodzieży z tej strony granicy jeździ we wschodnie Karpaty. Spotykamy ich w pociągu, w autobusie, na dworcu autobusowym we Lwowie. Studenci, studentki, objuczeni plecakami większymi niż oni sami... Jeszcze jedno mnie ciekawi: jak to się stało, że Ksiądz trafił właśnie do Doliny?

KP. Pochodzę spod Lubaczowa, a tam, jak wiadomo, rezydował do niedawna jesz-

cze ks. arcybiskup Marian Jaworski. Po ukończeniu studiów teologicznych w Lublinie ks. Arcybiskup poprosił mnie o wyjazd na rok *na tamtą stronę*. Zgodziłem się z ochotą, pojechałem do Lwowa. Znajomy ksiądz zawiózł mnie do tej nieznanej Doliny. Dotychczas dojeżdżał tu raz w tygodniu ksiądz ze Stanisławowa – 70 kilometrów.

RM. Jak ksiądz tam przyjęto?

KP. Ludzie z początku traktowali mnie z pewną rezerwą, bo oczekiwali starszego kapłana, doświadczonego, a pojawił się młodziak. Musiałem najpierw ich rozpoznać i zrozumieć, a większość wtedy to byli starsi ludzie. Nawet to ich raziło, że odprawiam tyłem do ołtarza, a nie jak dawniej – przodem. Ale powoli zostałem zaakceptowany. Z jednego roku zrobiło się już dziesięć. No i teraz w szkołach parafialnych i w kościele mam w Dolinie już ponad 120 dzieci, w Bolechowiu to samo, a w Kałuszu trochę poniżej setki.

AC. A kościół w Dolinie? Czy jest ksiądz sam?

KP. Kościół zastałem w opłakanym stanie, bo miejscowa władza zamieniła go na salę sportową i nie dbała o obiekt. Był zawilgocony, zagrzybiony. Wspólnymi siłami doprowadziliśmy do stanu używalności. Potem otworzyłem parafie w Bolechowiu i Kałuszu. Na szczęście nie jestem sam: jest ze mną starszy ksiądz, rezydent.

AC. Jakie ma ksiądz stosunki z władzami?

KP. Dobre. Są przychylni, wspomagają nas. Dzięki temu możemy rozbudowywać nasz ośrodek. Będzie nowa kaplica, stołówka, sale lekcyjne. Życie jest tu intensywne. Od półtora roku działa chór parafialny – urządzamy nawet co roku festiwal kolęd z udziałem naszych trzech parafii. Organizujemy bibliotekę i aptekę darów.

AC. To piękne. Trzeba kończyć tę rozmowę, bo ksiądz musi wracać do Doliny. Na zakończenie opowiem jeszcze własne przeżycie z kościoła w Dolinie: kiedy w czasie mszy św. odmawialiśmy *Ojciec nasz*, Ksiądz wyszedł zza ołtarza i wszyscy wierni wraz z Nim wzięli się za ręce, tworząc jeden wspólny modlitewny krąg. Dla mnie to niezapomniane wzruszenie.

RM. Bardzo Księdzu dziękujemy za tę rozmowę, ale jeszcze bardziej za to, co Ksiądz czyni.

SYLWETKI

JERZY POLACZEK

Badacz lwowskiej konspiracji

Minęło 5 lat od śmierci Jerzego Polaczka, którego przypomnieli w obszernym wspomnieniu w „Gazecie Wyborczej” (z 14 VI) Iwona Bator.

Nie był lwowianinem – ze Lwowem łączyły go zaledwie dwa lata (1942–44), ale ten krótki okres w dużym stopniu zaważył na wielu latach jego życia. Urodził się w Tęczynku k. Krzeszowic w r. 1919, maturę zdał w Krakowie przed samą wojną. Zaraz po jej wybuchu zaangażował się w działalność konspiracyjną, a w 1942 r. skierowano go do Lwowa. Został tam szefem wywiadu NSZ, potem kontrwywiadu w AK. Brał udział w akcji „Burza”, uczestniczył w koncentracji w szkole Marii Magdaleny. Niestety – po powtórnym wkroczeniu Sowietów do Lwowa został aresztowany, uwięziony w piwnicach przy ul. Kadeckiej 20, a w końcu wywieziony i osadzony kolejno w kilku obozach, m.in. w Charkowie i Brześciu n. Bugiem. Wypuszczony w 1949 r., zamieszkał w Krakowie. Ukończył studia ekonomiczne i przez lata pracował w różnych przedsiębiorstwach, wykładał na WSE. Zmogła go bezlitosna choroba w 1997 r.

Już na emeryturze (w 60. roku życia) rozpoczął zbieranie materiałów dotyczących działalności AK Obszaru Lwowskiego i losów jej żołnierzy, internowanych po akcji „Burza” we Lwowie. Niestety zamierzona książka dotąd się nie ukazała, Polaczek opublikował jedynie kilka artykułów w czasopiśmie (wygłosił też referat na zebraniu TMLiKPW we wczesnych latach 90.)

Pana Jerzego Polaczka miałem okazję poznać osobiście. Poszukiwał wtedy śladów płk. Henryka Pohoskiego, który podobno uciekł z budynku, w którym go przetrzymywano, przy ul. Kadeckiej 20 (gdzie również trzymano Polaczka). Ktoś mu powiedział, że ja w czasie wojny mieszkałem tuż obok, mógłbym więc wyjaśnić topografię tego terenu. Istotnie (ale jeszcze dziecko) mieszkałem

wtedy przy Kadeckiej 28, a czas spędzałem w ogrodzie moich wywiezionych do Kazachstanu dziadków przy ul. Kosynierskiej 7. Z p. Polaczkiem spotkaliśmy się na przełomie lat 80/90.: chodziło mu o to, którędy mógł uciekać Pohoski.

Problem jednak w tym, że – dobrze ten teren pamiętając – nie potrafiłem (i nadal nie potrafię) zidentyfikować domu nr 20 przy ul. Kadeckiej. Numeracja po prawej stronie kończy się na nrze 18 (i tak jest też dziś), a po przerwie w zabudowie i wlocie ul. Kosynierskiej stoi „moja” kamienica nr 28. Ponad wspomnianą przerwą (są tu duże różnice poziomów terenu) stała – ale już przy Kosynierskiej – kamienica, którą podobnie jak kamienicę Kadecka 18, wzniesiono przed wojną, ale wykończyli Niemcy. W tej ostatniej mieszkali rodziny niemieckie, a co było w tej pierwszej (z olbrzymią płaskorzeźbą orła ze swastyką na bezokiennej elewacji) – nie pamiętam. Gdyby gdzieś było więzienie, to chyba właśnie w tej, choć na zewnątrz nie rzucało się to w oczy (może w oczy dziecka?). Czy kamienica ta mogła mieć adres Kadecka 20 – nie wiem, wejście było z Kosynierskiej. Od strony Kadeckiej był (i jest) stok.

W sprawie tej napisała także pani Anna Fabiańska: *Więzienie w willi koło Kadeckiej było! Moja koleżanka Czartoryska [żona p. J. Polaczka] w 1945 r. siedziała w piwnicy i kumiku, przesłuchiowano ją na piętrze. Siedziała tam z kontrwywiadu. Prawie nikt nie kojarzył tej willi z więzieniem.*

A którędy mógł uciekać Pohoski? Sądzę, że zalesionym stokiem, ciągnącym się pomiędzy ulicami Kadecką (za kamienicami) i Wulecką, od Kosynierskiej na górę (gdzie stała wtedy drewniana willa pp. Olszewskich) aż do remizy tramwajowej przy Pełczyńskiej na dole. Wjazd na ten obszar był przez ul. Śliwińskiego (boczna Kadeckiej) – znajdowało się tam „Morskie Oko”.

Nie wiem, czy p. Jerzy Polaczek doszedł do jakichś ustaleń, czy opisał to w swych niewydanych materiałach. Czy ktoś jeszcze to pamięta? Może napisze?

Andrzej Chlipalski

CHÓR „HEJNAŁ” I JEGO KIEROWNICY

Krakowski amatorski chór „Hejnał” obchodził niedawno swoje półwiecze. Założył go w 1948 roku Jacek Miklaszewski, prezes Spółdzielni Transportowej, ale zarazem entuzjasta śpiewu, propagator muzyki chó-

ralnej, doskonały organizator i animator zespołów śpiewaczych.

JACEK MIKLASZEWSKI urodził się w 1902 r. w Podkamieniu k. Brodów w uzdolnionej muzycznie rodzinie chłopskiej. W Brodach ukończył gimnazjum ogólnokształcące. Od lat dzieciennych grał na skrzypcach i występował z rodzinnym zespołem na uroczystościach i weselach. W Brodach prowadził przed wojną chór strzelecki i orkiestrę. W 1944 r. osiadł w Krakowie. Swoją pięknie rozwijający się chór prowadził przez lat trzydzieści, jeździł z nim po kraju i za granicę, zdobywał liczne nagrody. Zmarł w 1975 r.



Jacek Miklaszewski



Władysław Kotschy

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

DORA

Wieś huculska w pow. nadwórniańskim, woj. stanisławowskim; przystanek kolejowy na linii (Stanisławów–) Nadwórna–Worochta, 7 km na płd. od Delatyna i 4 km na płn.wsch. od Jaremcza. Położona nad górnym Prutem, u podnóża Gorganów (zob. CL 3/97), na wys. ok. 500 m n.p.m. W latach międzywojennych liczyła ok. 1700 mieszkańców. Miejscowość letniskowa o walorach klimatycznych dla chorych na płuca.

Pierwsza wzmianka o Dorze pochodzi z 1618 r. Cerkiew w typie huculskim pw. Cudu św. Michała zbudowana w XVIII w., przebudowana w 1844 r. Z Dory w XIX w. wyodrębniło się Jaremcze (zob. CL 2/97).

DUPA

(nazwa popularna, spotykana w literaturze; na mapach i w przewodnikach występuje jako Duba, Dębna, Dupla, Tupa, a nawet Tępa). Rzeczka w woj. tarnopolskim, prawy dopływ Seretu. Źródła znajdują się ok. 9 km na zachód od Jagielnicy. Jako potok płynie najpierw ku płd.wsch. przez dolinę zw. Kaplichową, a w pobliżu Jagielnicy (którą opływa od płd.) zmienia kierunek, płynąc jarem wprost na płd. (ok. 30 km). Zbliżając się do Dniestru na odległość paruset metrów, płynie dość równoległe na płd.wsch., by koło wsi Kasperowce ująć do Seretu (parę km od jego ujścia do Dniestru). Cała długość D. wynosi ok. 42 km. Mniej więcej w połowie biegu D. leży miasteczko Tiuste. (AC)

JAWORÓW (miasto)

Położenie. Miasto powiatowe w woj. lwowskim, 48 km na płn.zach. od Lwowa, przy linii kolejowej Lwów–Jaworów. Leży po płd. stronie wzgórz Roztocza (zob. CL 2/98), na wys. 173 m n.p.m., nad stawem utworzonym przez rzekę Szkło (zob. CL 2/2000). W okresie międzywojennym liczył 9 tys. mieszkańców. Czynne były młyny, cegielnie, przemysł drzewny.

Historia. Najstarszy dokument odnoszący się do Jaworowa pochodzi z 1408 r. i zezwala cechowi szewskiemu na utrzymywanie 10 jatek. W poł. XV w. Jaworów był w posiadaniu Wacława Piasto-

„Hejnał” zaczął od 14 śpiewaków, dziś ma ich 35, ale w latach osiemdziesiątych było ich ponad 70! To była też zasługa następcy Miklaszewskiego, prof. Władysława Kotschy, który kierownikiem i dyrygentem Chóru był w latach 1974–76, 1980–83 oraz od 1992 do dziś.

WŁADYSŁAW KOTSCHY urodził się w 1915 r. we Lwowie. Tam ukończył szkołę muzyczną i pracował najpierw jako nauczyciel gry na skrzypcach w Seminarium Nauczycielskim, potem jako dyrygent Chóru Legionistów. W czasie II wojny był organistą i prowadził chór kościelny. W 1945 r. przyjechał do Krakowa i podjął pracę jako nauczyciel muzyki w Liceum Pedagogicznym oraz w Studium Nauczycielskim. W tym czasie dopełnił swoje studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie.

W mieście tym prowadził kilka chórów: przy DOKP, Chór Cecyliański i ten – „Hejnał”. Podobnie jak J. Miklaszewski, wyjeżdżał z nim do wielu miast i za granicę, a w przeglądach i konkursach zdobywał z chórem nagrody i wyróżnienia.

Lata 90. nie były dla „Hejnału” łaskawe, jednak wysiłki Profesora uratowały Chór od zagłady. W nieco uszczuplonym składzie mógł on jednak świętować swój półwiekowy jubileusz, zaś Profesor 60-lecie pracy artystycznej i pedagogicznej.

A na marginesie: Chór „Hejnał” – jak wyżej. Chór Cecyliański przy krakowskim kościele Franciszkanów i chór Rorantystów Katedry Wawelskiej stworzył i prowadził wiele lat organista wawelski – dawniej organista lwowski Michał Woźny. Chórem „Amicus” kieruje lwowianka prof. Danuta Degórska-Czubek.

Tak to jest w Krakowie...

Naszym zdaniem

Tu słusznie, a tam niesłusznie?

20 czerwca 1922 roku oddział kawalerii WP pod dowództwem gen. Stanisława Szeptyckiego, wjeżdżając na most graniczny w Szopienicach, rozpoczął przejmowanie skrawka Górnego Śląska. Polskim argumentem za przyznaniem tej ziemi Polsce – aż po Opole – był fakt zamieszkiwania go przez większość polską. Jednak za sprawą Wielkiej Brytanii (wbrew stanowisku Francji) ogłoszono tam w 1921 r. plebiscyt.

Pamiętamy z tradycji rodzinnych, jak wielu młodych lwowian, solidarnych z całą Ojczyzną i polskim narodem, wyjechało wtedy na Śląsk, by agitować za jego powrotem do Macierzy. Niestety za Polską opowiedziało się tylko 40% głosujących, 60% było za Niemcami. Pomimo trzech powstań Polska uzyskała tylko wschodnie rubieże Górnego Śląska z Katowicami, Tarnowskimi Górami i Lublińcem, Mikołowem, Rybnikiem, Wodzisławiem i Pszczyną. Tuż za granicą niemiecką pozostał Bytom i Racibórz, nie mówiąc o Opolu,

Strzelcach Opolskich, Kędzierzynie, Kluczborku i wielu innych.

Nieodzyskane wówczas ziemie i jeszcze o wiele, wiele dalsze – praktycznie odcięte od Polski od czasów Kazimierza Wielkiego – otrzymała Polska wtedy, gdy nie liczyło się już zdanie mieszkańców, ani naszych, ani nie naszych, tylko wojenna przemoc. Taki rodzaj sukcesów pozwolił *politykom* PRL-u wytykać Polsce międzywojennej, że zamiast w 1919 roku się ją odebrać Śląsk wdano się w *a w a n t u r ę* na Kresach Wschodnich.

Cóż, sprawa punktu widzenia. Śląsk byłby oczywiście niezwykle Polsce przydatny ze względu na swe bogactwa i przemysł, ale tam – jak się okazało – nas nie chciano.

Czegoś jednak nie rozumiemy. Skoro to, co uczynił gen. Szeptycki na Śląsku było sprawiedliwe i słuszne, to dlaczego nie było słuszne i sprawiedliwe to, co uczynił gen. Żeligowski na Wileńszczyźnie? Tam nie było takich bogactw mineralnych, ale było bogactwo co najmniej równorzędne: miazdząca większość polska i tam nas *c h c i a n o*. Tam było arcy-polskie Wilno (z dwoma procentami Litwinów), jeden z głównych ośrodków polskiej kultury, jak Kraków, Warszawa i Lwów. Był to więc zwykły obowiązek.

Maria Godlowsky

Z TAMTEJ STRONY

Wydarzenia

◆ **Dom Polski w Czerniowcach** obchodził w br. swoje 100-lecie. Prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza jest obecnie dr Władysław Strutyński, profesor uniwersytetu czerniowieckiego. O życiu polskim na Bukowinie pisała w CL 4/01 tamtejsza działaczka polonijna Wanda Kuczabińska.

◆ Działacz środowiska polskiego w Drohobyczu, muzyk, **p. Alfred Schreyer**, obchodził swoje 80-lecie. Był uczniem Bruno Schultza. Od lat prowadzi polski Młodzieżowy Chór „Odrodzenie” w Drohobyczu. Nasze najlepsze życzenia, Panie Profesorze!

◆ Kościół Grekokatolicki (zwany Cerkwią Bizantyjsko-Ukraińską) powołał do życia we Lwowie **Ukraiński Uniwersytet Katolicki (UUK)**, pierwszą tego typu uczelnię w b. ZSRR.

POLACY z POLAKAMI

SPRAWY POLAKÓW NA WSCHODZIE

30 kwietnia 2002 r. miało miejsce wydarzenie o historycznym znaczeniu: Senat Rzeczypospolitej swoje 15. posiedzenie piątej kadencji poświęcił całkowicie debacie na temat polityki Państwa Polskiego wobec Polonii i Polaków za granicą. Stenogram tego posiedzenia jest niezwykle cennym dokumentem. W niniejszym artykule poruszamy tylko niektóre sprawy, zasygnalizowane w tej dokumentacji.

Posiedzeniu przewodniczył Marszałek Senatu Longin Pastusiak, obecny był



wicza, księcia opolskiego i raciborskiego, który w 1454 r. erygował parafię rzym.kat. i ufundował pierwszy drewniany kościół. Uposażenie parafii zwiększył w 1470 r. następny zarządca miasta i całego klucza okolicznych wsi Piotr z Szamotoł, kasztelan poznański. Po nim Jaworów przeszedł w ręce Górków. W 1512 r. Łukasz Górka dał mieszczanom pewne przywileje i ulgi ze względu na zniszczenia powodowane przez częste najazdy nieprzyjacielskie. Za czasów Zygmunta Augusta Jaworów wszedł w skład królewszczyzn jako starostwo niegrodowe. Prawo magdeburskie otrzymał w 1569 r. wraz z przywilejem na dwa jarmarki w roku. Na pocz. XVII w. osiedli w Jaworowie dominikanie, którym Piotr i Łucja Milewscy ofiarowali dwór na klasztor, a drewniany kościół przyklasztorny pw. św. Mikołaja wybudował Filip Rykowski. Nieco później założony został monaster bazyliański, które prowadziły dom dla sierot. W 1618 r. przeniósł do Jaworowa swoją oficynę z Dobromila znany ówczesny drukarz Jan Szelliga. Władysław IV zezwolił mieszczanom jaworowskim na wybieranie rajców, z których trzech miało być katolikami rzymskimi, czwarty zaś grekokatolikiem. W 1637 r. gmina żydowska ufundowała beneficjum dla duchownych posługujących w kościele parafialnym.

W 1639 r. starostwo jaworowskie przynoszące 20 tys. czerwonych złotych rocznego dochodu, nadane zostało Jakubowi Sobieskiemu, z prawem dziedziczenia do trzeciego pokolenia. Po jego śmierci w 1647 r. objął je syn jego Jan, późniejszy król. Rok później, w czasie rebelii Chmielnickiego, splądrowany został kościół parafialny, w czym udział brało trzech miejscowych Rusinów, skazanych później na karę śmierci. Jaworów był ulubionym miejscem pobytu Jana Sobieskiego po obiorze na króla. Istniejący tu drewniany zameczek, rozbudowany i upiękaszony, otoczony parkiem, stał się letnią rezydencją królewską. Król przyjmował tu polskich dostojników i zagranicznych posłów. Dla pomieszczenia jego gości pobudowano w pobliżu zameczku małe pawilony i dworki. W 1684 r. przybyli tu posłowie z krajów koalicji antytureckiej,

Prezydent RP, Marszałek Sejmu, Prymas Polski, przedstawiciele Rządu. Co jednak nadało posiedzeniu charakter zupełnie wyjątkowy, to obecność licznych zaproszonych przedstawicieli Polonii i Polaków, na czele z prezesami i delegatami wszystkich większych organizacji polskich z całego świata. Zachęcamy do sięgania do stenogramu obrad, natomiast tutaj pragniemy zasygnalizować wybrane tematy, dotyczące Polaków za wschodnią granicą III RP.

Bolesny problem **Polaków w Kazachstanie** poruszany był przez wielu mówców. Prezes Związku Polaków Kazachstanu p. Jan Zinkiewicz zwrócił uwagę na słabo uświadamiany sobie w Polsce fakt, że Kazachstan po uzyskaniu niepodległości zdecydował się budować państwo jednolite etnicznie, a swoją politykę państwową, naro-

downą i kadrową na podstawach kultury tu-recko-muzułmańskiej i języka kazachskiego. W konsekwencji tego ludność nierdzenna, szczególnie Słowianie, Niemcy i Żydzi, dobrze orientując się w sytuacji i nie mając życiowych perspektyw, wyjeżdża do swoich krajów ojczystych. Konieczność opuszczenia Kazachstanu dotyczy również Polaków, których w roku 1991 było tam jeszcze 69 000. Dziś jest ich już tylko 48 000, ale z tych 21 tys., które opuściły Kazachstan, zaledwie 4 tysiące znalazły dla siebie miejsce w Polsce, 17 tysięcy musiało wyjechać do Rosji i innych krajów gotowych przyjąć przesiedleńców. Profesor Stelmachowski w swojej wypowiedzi ujawnił, że grupa około 200 rodzin polskich osiedla się w obwodzie kaliningradzkim, o 20 km od granicy z Polską, w miejscowościach Oziersk i Gu-

POLSKA MA W NAS SILNE OPARCIE

Wypowiedź Pani Prezes Federacji Polskich na Ukrainie w czasie posiedzenia Senatu Rzeczypospolitej w dniu 30 kwietnia 2002. Słowa to bardzo ważne.

Wielce Szanowny Panie Marszałku! Pani Marszałek! Wysoka Izbo, Drodzy Rodacy!

W sprawach ogólnie znanych powiem nieco inaczej. A więc zabieram tu głos z pozycji człowieka przypominającego... linoskoczek, który przemieszcza się po rozpiętej linie między dwoma budowlami, nie tracąc przy tym równowagi.

Z pewnością nie rozstrzygniemy na raz wszystkich problemów polskiej mniejszości narodowej za wschodnią granicą. Tym niemniej, ażeby lepiej to zrozumieć, należy wprowadzić – uświadomić – kilka krótkich pojęć:

1. *Nacjonalizm ofensywny lub bolszewizm jaskiniowy*, które występują w parze, w zależności od miejsca zamieszkania Polaków za wschodnią granicą, a którzy przecież byli i są u siebie.
2. Główną naszą cechą jest niestety u b ó s t w o – z biednym nikt się nie liczy, biednym jest łatwo manipulować. Dalej, najważniejszym naszym dążeniem jest odnalezienie złotego środka – w danym przypadku dotyczy to stopnia rozumienia nas w Kraju:
 - przez organizacje kresowe, które nas rozumieją najlepiej, ale... są biedne,
 - przez zmieniające się ekipy rządowe i opcje polityczne.

My nie wiemy, kto złoży nas jako ofiary na swoim ołtarzu. My nie możemy dać się rozerwać między opcjami politycznymi.

3. Ważne jest uświadomienie w Macierzy, że Polacy na tak zwanym Wschodzie są naprawdę żywą społecznością.
4. Czy przyszłość Polaków za wschodnią granicą zależy tylko i wyłącznie od nich samych? Spóbulmy ująć ten wątek w trzech równie krótkich aspektach:

- Dobrze rozumiemy, że Państwo Polskie ma możliwości ograniczone zarówno pod względem politycznym jak i ekonomicznym. Rzecz jednak w tym, iż w ramach tych możliwości można zrobić więcej lub mniej. Uważamy, że powinno zrobić maksimum tego, co możliwe.
- To uwrażliwianie społeczeństwa w kraju na problemy Polaków i Polonii na świecie – zarówno w szkołach, w środkach masowego przekazu, w różnych formach działalności kulturalnej i społecznej.
- My ze swojej strony zapewniamy, że Polska ma w nas silne oparcie, ponieważ jesteśmy bliżej tego, co się dzieje poza granicami Kraju, zarówno w sensie doradztwa, jak i dbałości o tradycje, ale również dbałości o współczesne interesy Polski – polityczne, gospodarcze, kulturowe.

Jeśli chodzi o politykę Państwa Polskiego w stosunku do Polaków zamieszkałych poza Krajem, stoimy na pozycji, iż polityka musi być j e d n a, ponieważ uprawianie polityki własnej przez instytucje, które się nami opiekują, nie wróży niczego dobrego.

Emilia Chmielowa

siewo. Profesor zadał pytanie: jak to się stało, że Federacja Rosyjska gładko przyjęła tych ludzi, że znalazły się mieszkania i praca, a w Polsce tylko powoli i z trudem osiedla się nieliczni Rodaków z Kazachstanu? Czy potrzebne są niestęchanie zbiurokratyzowane formalności repatriacyjne, które już same w sobie stanowią poważną barierę dla powrotu do Polski? Obliczono, że przy istniejącym tempie repatriacji ostatni Polak z Kazachstanu dostanie się do Polski za 2000 lat! Sprawa jest niezwykle poważna i wymagająca pilnych działań.

Wiele uwagi – w tonie alarmującym – poświęcono zbliżającemu się szybko problemowi **obowiązku posiadania wiz** przy przejazdach przez wschodnią granicę, zarówno dla Rodaków ze Wschodu, jak i odwiedzających ich Polaków z Kraju. Prezes Zjednoczenia Polskiego w Wlk. Brytanii Andrzej Moravich nazwał to *kurtyną wizową na granicach wschodnich*, kurtyną, która *oddzieli naszych rodaków od kraju*. O sprawie tej mówił również obszernie prezes „Wspólnoty Polskiej” prof. Stelmachowski, twierdząc, że zamykanie czy „przymykanie” granicy wschodniej jest błędem politycznym. Według Profesora, to nie jest dokładnie tak, że *tego wymaga Unia Europejska*. Wymaga tego układ z Schengen, który nie został podpisany przez wszystkie kraje Unii, np. wyłamała się z tego Wlk. Brytania, chcąc zachować więzi ze swymi dawnymi krajami Commonwealthu i *jakoś nie słycać narzekania, aby z tego powodu miały być jakieś większe trudności*. Należy tę sprawę przemyśleć również w Polsce. Jaka jest skala problemu kontaktów poprzez granicę wschodnią, podał prezes Związku Polaków na Białorusi, p. Tadeusz Kruczkowski, mówiąc o liczbie Polaków w tym państwie: oficjalnie 400 tysięcy, nieoficjalnie rzędu 2 milionów. Zdaniem Prezesa, ci Polacy są niedoceniani przez Polskę, co stwierdził z żalem.

O niedostateczności kontaktów mówiła również prezes Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego w Bułgarii, p. Urszula Milczewska.

Ograniczyliśmy się tutaj tylko do wspomnienia najsilniej akcentowanych spraw, związanych z Polakami i Polonią na Wschodzie. Mówiono również o wielu poważnych problemach na Zachodzie, jak np. stale

by złożyć królowi gratulacje z racji zwycięstwa pod Wiedniem. Jedna z uczt wydanych wówczas przez króla na cześć dostojnych gości uwieczniona została na zachowanym do dzisiaj obrazie anonimowego malarza, znajdującym się obecnie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu.

W czasie pobytu zagranicznych gości miał miejsce malowniczy epizod: na zamku zjawili się miejscowy wójt z uczestnikami odbywającego się właśnie w Jaworowie wesela, prowadząc w darze dla króla trzy pary białych wołów. Wójt, którym był Jerzy Szymonowicz – ojciec Jerzego Eleutera Szymonowicza Siemiginowskiego, jednego z największych malarzy polskiego baroku – wystąpił ze stosowną oracją, sławiącą wiktorię wiedeńską, a następnie rozpoczęła się wspólna zabawa. Król tańczył ze starościna wesela, żoną miejscowego kowala. Tradycja przechowała królewską przyspiewkę: – *A skądżeś ty?* – *Z Jaworowa!* – *A czyjaś ty?* – *Kowalowa!*.. itd.

W 1678 r. w Jaworowie chrzczony był król ewicz Aleksander Sobieski. W 1688 r. Jaworów spustoszony został przez Tatarów. W 1691 r. król Jan III przebywał tu po raz ostatni przez okres 6 tygodni. Po jego śmierci starostwo jaworowskie zostało dożywotnio przyznane Marii Kazimierze, która opuszczając Polskę w 1698 r. oddała je najstarszemu synowi, Jakubowi. Król ewicz Jakub rzadko gościł w Jaworowie, lecz tu właśnie podejmował swoich królewskich gości: Augusta II w 1703 r., a w roku następnym Karola XII szwedzkiego. Także brat Jakuba, Konstanty, wybrał Jaworów na spotkanie z carem Piotrem Wielkim w 1717 r. Dekretem królewskim z 1716 r., po śmierci Marii Kazimierzy, starostwo jaworowskie zostało odebrane królewiczowi Jakubowi i nadane Mniszchom, którzy utracili je w 1772 r. na rzecz państwa austriackiego. W 1856 r. część dawnego klucza jaworowskiego dostała się w rząd austriackiego Banku Narodowego. W 1861 r. Jaworów oraz kilka sąsiednich wsi zakupił na licytacji Zbigniew Lanckoroński. Przed 1890 r. odkupił od niego Jaworów Ludwik Zygmunt Dębicki. Ostatnim właścicielem Jaworowa do 1939 r. był jego syn Leon Hieronim Dębicki (zm. 1952).

Jaworów był miastem o bardzo dobrze rozwiniętym rzemiośle. Lustracja z 1765 r. wymienia 33 szewców, 42 garbarzy, 26 krawców, 25 stolarzy, 24 garncarzy. Wyrabiano tu także w tym czasie sery twarde. W XIX w. Jaworów zasłynął z rzemieślniczych wyrobów z drewna (naczynia, sita, fujarki, zabawki i in.) oraz ze słomy i wikliny (ozdobne koszyczki na owoce, na damskie robótki, tacki, wycieraczki). Tkano tu także różnej grubości płótna lniane. Szeroko znane były również tutejsze wyroby wędliniarskie: szynki i wędzonki.

pogarszająca się sytuacja Polonii niemieckiej. Wszystkich zainteresowanych odsyłamy do bezcennego dokumentu – stenogramu obrad, zajmującego 67 stron dużego formatu. Jeszcze raz wypada wyrazić głę-

boką wdzięczność Władzom Senatowi za zorganizowanie spotkania, a Przedstawicielom Polonii Światowej – za przybycie i głęboko przemyślane głosy w dyskusji.

Jacek Walczewski

Kto zna?

Zwrócił się do nas młody człowiek, Polak zamieszkały w Londynie, pan Robert Miazek, który poszukuje swoich krewnych, wywodzących się ze Lwowa. Chodzi o znaną niegdyś rodzinę lwowską MONNÉ – tę właśnie, z której wywodziła się Wanda Monné, narzeczona Artura Grotgera. Po śmierci malarza wyszła ona za mąż za Karola Młodnickiego, także malarza lwowskiego, a jej córką i wnuczką były poetki Maryla Wolska i Beata Obertyńska.

Jednak nie o tę znaną linię chodzi. Ojcem Wandy był Karol Monné, a ten miał kilku braci: Michała, Ludwika i Albina. Nasz korespondent wywodzi się od tego ostatniego, ale niestety innych członków tej rodziny nie zna.

Kto wie o potomstwie trzech wyżej wspomnianych braci Monné? Żyli oni – lekko licząc – przed 150–100 laty, od ich czasu więc urodziło się pięć do sześciu pokoleń! Ich potomkowie mogą być bardzo liczni, nosić wiele różnych nazwisk polskich i obcych, rozproszeni po całym świecie (przykładem nasz korespondent – w Anglii). Może ktoś z potomnych ma ich drzewo genealogiczne?

Jeżeli ktoś posiada jakieś informacje na ten temat, proszony jest o nawiązanie kontaktu pod adresem:

Mr Robert Miazek
49 East Dulwich Grove, East Dulwich
SE22 8PR London, England

A swoją drogą, my – Redakcja CL – bylibyśmy też ciekawi wiadomości o potomkach tej znanej rodziny lwowskiej. Włączylibyśmy je do naszego Indeksu Wschodnich Małopolan.

W Krakowie i dalej

SESJA O BŁOGOSŁAWIONYM

Z początkiem czerwca (4–5) odbyła się w Auli Collegium Novum **Sesja Naukowa** pt. *Błogosławiony arcybiskup Józef Bilczewski. Epoka i dzieło*, zorganizowana wspólnie przez UJ i PAT.

Po otwarciu konferencji przez Rektora UJ prof. Franciszka Ziękę krótkie wypowiedzi wygłosili dwaj kardynałowie. Franciszek Macharski i Marian Jaworski. Wprowadzając referat przedstawił ks. prof. Andrzej Pankowicz: *Bł. abp Józef Bilczewski w perspektywie Kościoła Powszechnego*. Dalej mówiono o tle politycznym rządów Bilczewskiego we Lwowie, o organizacji terytorialnej, o zakonach oraz o duchowości i życiu religijnym w archidiecezji lwowskiej tamte-

go czasu. Rozpatrywano wkład Arcybiskupa w badania nad starożytnością chrześcijańską, o teorii i praktyce sztuki sakralnej w archidiecezji za Jego czasów. Referat o eklezjologii Józefa Bilczewskiego wygłosił biskup-nominat lwowski, ks.dr Leon Mały.

W Muzeum Archidiecezji Krakowskiej przy ul. Kanoniczej otwarto wystawę biograficzną poświęconą Błogosławionemu, przygotowaną przez księży J. Nowobilskiego oraz J. Wołczańskiego.

Na dzień przed sesją obchodzono uroczyste na UJ odnowienie po 50 latach doktoratu ks. Kardynała M. Jaworskiego.

PIERWSZA ROCZNICA BEATYFIKACJI

W związku z przypadającą w czerwcu pierwszą rocznicą beatyfikacji abpa Józefa Bilczewskiego odbyła się 12 VI w Wilamowicach k. Kęt – Jego miejscu urodzenia – uroczysta msza św. z udziałem całego Episkopatu Polski, koncelebrowana przez Prymasa kard. Józefa Glempa, kardynałów Franciszka Macharskiego i Henryka Gulbinowicza oraz kilkudziesięciu biskupów,

Po Mszy św. na Rynku w Wilamowicach. Na pierwszym planie kard. Jaworski, w głębi po lewej kard. Glomp, po prawej kard. Macharski



a także kard. Mariana Jaworskiego, który przybył ze Lwowa na uroczystości krakowskie, o których mowa wyżej.

Msza św. została odprawiona na wilamowickim Rynku, szczelnie zapelnionym przez mieszkańców i przybyłych, głównie z Bielska, Kęt i innych okolicznych miejscowości, a także z Krakowa – w tym delegacja krakowskiego Oddziału TMLiKPW. Ze Lwowa przybył Chór Katedralny pod dyrekcją Bronisława Pacana. Zwraçały uwagę delegacje wiernych z Żywiecczyny i Śląska Cieszyńskiego, przebrane w swoje wspaniałe stroje ludowe. Obecnych było wiele członków rodziny Bilczewskich.

Homilię poświęconą modlitwie wygłosił ks. kard. M. Jaworski. Po mszy wysłuchano wspomnienia 94-letniego ks. Illickiego, urodzonego w Kamionce Strumiłowej, bierzmowanego przez bł. Józefa.

Warto wspomnieć, że w czasie modlitwy wiernych jedną z prośb wygłoszono w zamierającym już dziś języku o korzeniach flamandzkich, używanym w Wilamowicach przez osadników, założycieli osady, przybyłych tu w XIII w., oraz ich potomków przez siedem wieków.

Aldona Duch

PANTEON NARODOWY

26 maja odbyła się w Krakowie patriotyczno-religijna uroczystość poświęcenia Panteonu Narodowego Żołnierzy Armii Krajowej Polskich Kresów Wschodnich, założonego przez Ogólnopolski Okręg Żołnie-

Zabytki. Kościół pw. śś. Piotra i Pawła, zbudowany ok. 1645 r. dla dominikanów, a po ich kasacie w 1786 r. zamieniony na parafialny (dawny drewniany kościół został wówczas rozebrany). Murowany z cegły i kamienia, tynkowany, jednonawowy z nieco niższym i węższym prezbiterium, zamkniętym trójbocznie. Od zachodu przylega do nawy niska prostokątna wieża mieszcząca kruchtę. Zachowany obraz św. Anny Samotrzeciej z XVI/XVII w., pochodzący z dawnego kościoła parafialnego, obraz M. Boskiej z feretronu z 1. poł. XVII w., obraz świętych dominikańskich również z feretronu z XVIII w. oraz kilka rzeźb z głównego ołtarza.

Dwór Dębickich przerobiony z jednego z pawilonów zamkowych, zwanego „dworkiem myśliwskim Sobieskiego”. Drewniany, od zewnątrz obmurowany cegłą, na planie prostokąta, parterowy, nakryty czterospadowym dachem gontowym. Wnętrze domu urządzone było przez Dębickich stylowymi meblami i dziełami sztuki, przewiezionymi z Krakowa, których dużą część zrabowały w 1914 r. wojska rosyjskie. Reszta przepadła w 1939 r.

Skarbiec murowany, położony kilkadziesiąt metrów od dworu, zawierający dwie sklepione sale, stanowiące część pierwotnego zamku, i znajdujące się pod nim głębokie piwnice. Rozbudowany przez Austriaków i przeznaczony na więzienie. Funkcję tę pełnił również w okresie międzywojennym.

Cerkiew parafialna greckokat. pw. św. Jerzego (1588–1633). Przy końcu XVIII w. w ołtarzu głównym umieszczono słynącą łaskami ikonę M. Boskiej ze skasowanego monasteru bazylianów w Lisku k. Czernilawy. Na przedmieściach były jeszcze dwie cerkwie drewniane.

Czasy obecne. Kościół parafialny oddany do kultu w 1989 r., odrestaurowany.

W r. 2001 powstał w Jaworowie oddział Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

JAWORÓW (wieś)

Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim. Położona na obszarze Beskidu Huculskiego (zob. CL 3/97), nad potokiem – dopływem Rybnicy (zob. CL 2/2000), przy drodze z Kosowa (zob. CL 2/01)) w kier. pld.zach. przez przełęcz Bukowiec do Krzyworówni (zob.). W latach międzywojennych liczyła niespełna 2,5 tys. mieszkańców, którzy pracowali m.in. w 10 młynach i kilku zakładach tkackich.

Pierwsza wzmianka o Jaworowie pochodzi z 1694 r. Cerkiew pw. Zesłania Ducha Św. w typie huculskim z lat 20., zbudowana w miejscu starszej z 1865 r.

W Jaworowie żyła znana rodzina rzeźbiarzy huculskich Szkrzyblaków.

rzy AK Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich. Panteon mieści się w dolnej kondygnacji krakowskiego kościoła św. Jadwigi Królowej.

Uroczystą mszę św. odprawiono w intencji Ojczyzny oraz Żołnierzy Kresowych AK, poległych, pomordowanych, zmarłych na *nieludzkiej ziemi* i w kazamatach służb bezpieczeństwa PRL. Koncelebrze przewodniczył kapelan Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego, ks. prałat Jan Dziasek, gospodarz tutejszej świątyni, który w okolicznościowej homilii podkreślił, iż uroczystość ta uczy miłości do Ojczyzny i prawdziwego patriotyzmu, a Panteon winien nie tylko utrwalać wysiłek, ale i czyn zbrojny tych, którzy oddawali swoje życie dla Polski.

Inaugurując uroczystość w samym Panteonie, prezes Zarządu Okręgu Lwowskiego SZŻ AK kpt. Jan Sura (ps. *Szczepan*), który po powitaniu przybyłego ks. Kardynała Franciszka Macharskiego, przedstawicieli władz państwowych i samorządowych, pocztów sztandarowych i wszystkich uczestników spotkania, wygłosił przemówienie, przedstawiając 10-letnią działalność Okręgu, którego efektem było m.in. założenie tego Panteonu (wypowiedź tę drukujemy poniżej).

Po wystąpieniu prezesa ks. kardynał Macharski dokonał poświęcenia Panteonu Narodowego, po czym obecni uczcili minutą ciszy pamięć poległych, zakatowanych

w więzieniach i łagrach oraz zmarłych Żołnierzy AK Polskich Kresów Wschodnich.

Kolejnym punktem uroczystości było przekazanie Panteonu Narodowego pod wieczystą opiekę Oddziału Akcji Katolickiej. Nastąpiła wymiana aktów przekazania i przyjęcia przez prezesa Okręgu Lwowskiego SZŻ AK oraz

prezesa Parafialnego Oddziału Akcji Katolickiej pana Jerzego Edera. Prezes OL przekazując Panteon Narodowy oświadczył, że Żołnierze Armii Krajowej do końca swoich dni traktować będą to miejsce jako święte, jako Pomnik Wierności Bogu i Ojczyźnie, poświęcony Kolegom, którzy oddali swoje życie za wolność i niepodległość Ojczyzny oraz przynależność do niej Ziemi Lwowskiej i całych Kresów Wschodnich.

Uroczystość zakończyła się koncertem pieśni wojskowych i lwowskich, wykonanych przez Międzyparafialny Chór „Amicus” pod dyktando pani Danuty Degórskiej-Czubek.

Była również możliwość zakupu najnowszej książki, wydanej przez Okręg, autorstwa prezesa OL SZŻ AK Jana Sura pt. *Panteon Narodowy Żołnierzy Armii Krajowej Polskich Kresów Wschodnich. Folder-przewodnik* [patrz *Książki-Czasopisma* w tym numerze].

Jan Sura, kpt rez. WP
kapral podch. AK, ps. *Szczepan*

Eminencjo, Księżo Kardynale, Przewielebni Księża oraz Szanowni Państwo! Zebraliśmy się dzisiaj w tym Panteonie Narodowym, aby uczestniczyć w uroczystości jego poświęcenia oraz oddać hołd tym, którzy wierni złożonej przysiędze z honorem wypełnili swój żołnierski obowiązek, podejmując ostatni w ubiegłym tysiącleciu i oby ostatni w historii bój o wolność i niepodległość Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Poszli w bój *dla świętej miłości kochanej Ojczyzny*, wierząc że jej rozwój i pomyślność jej obywateli są nie do pomyślenia bez wolności, niepodległości i suwerenności.

Panteon Narodowy Żołnierzy Armii Krajowej Polskich Kresów Wschodnich, w którym obecnie się znajdujemy, jest efektem dziesięcioletniej działalności Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich w Krakowie. 57 lat temu, 8 maja 1945 roku, cały świat uroczyście świętował dzień zakończenia II wojny światowej. Jedynie Polska, która przez cały okres wojny była najwierniejszym sojusznikiem aliantów, nie mogła cieszyć się efektami zwycięstwa; zostaliśmy bowiem zdradzeni przez zachodnich sojuszników i oddani we władanie sowiektów.

Wojska sowieckie już 4 stycznia 1944 roku przekroczyły przedwojenną granicę Polski w okolicy miasta Sarny na Wołyniu, kresowe zaś okręgi Armii Krajowej rozpoczęły realizację „Burzy”. Jako



pierwsze do walk przystąpiły oddziały w okręgu AK Wołyń, nawiązując współpracę z oddziałami sowieckimi, tocząc walki z cofającymi się wojskami niemieckimi oraz oddziałami nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA. Niestety pierwsze kontakty polsko-sowieckie ujawniły rzeczywiste zamiary Rosjan. Dał temu wyraz komendant Okręgu AK Wołyń i jednocześnie dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK ppłk Jan Wojciech Kiwerski ps. *Oliwa* w meldunku do Naczelnego Wodza z dnia 29 IV 1944, w którym pisał: *Niczego dobrego z tamtej strony nie oczekujemy, nie łudzimy się też możliwą ich lojalnością współpracy z niepodległymi czynnikami polskimi.*

Kolejno do „Burzy” przystąpiły oddziały AK na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, a w dniu 22 lipca 1944 rozpoczęła się operacja zbrojna AK kryptonim „Burza” we Lwowie. Przygotowanie, rozpoczęcie i działania zbrojne operacji charakteryzował ogromny entuzjazm patriotyczny żołnierzy Armii Krajowej, a także ludności cywilnej, nie biorącej bezpośredniego udziału w operacji. Napływające jednak do Lwowa doniesienia z Wołynia i Wileńszczyzny o zachowaniu się Sowietów po wkroczeniu na te tereny napawały szczególnie młodych żołnierzy AK obawą przed jawnym wystąpieniem, mimo że zdawali sobie sprawę z konieczności zademonstrowania obecności Polski na ziemiach południowo-wschodnich. Obawy te nie były bezpodstawne.

23 lipca 1944 r. wojska sowieckie w pościgu za Niemcami dotarły do Lwowa. Miasto wkraczające wojska sowieckie powitało flagami biało-amarantowymi, młodzi żołnierze Armii Krajowej z opaskami w tych samych kolorach współpracowali zaś ściśle z oddziałami sowieckimi. Jednak początkowa sielanka szybko się skończyła. Już 6 sierpnia konspiracyjne „Słowo Polskie” w nrze 41 pisało: (...) *Władze bolszewickie aresztowały przed kilkoma dniami cały sztab Armii Krajowej, NKWD przybyło do Lwowa i urzęduje (...)*, a w nrze 43 z 13 VIII.: (...) *Weszliśmy w trzeci tydzień powtarzanej sowieckiej okupacji. Wbrew nadziejom i złudzeniom, które żywiłiśmy jeszcze niekiedy na przekór faktom i rzeczywistości – musimy powiedzieć sobie jasno i otwarcie, bez żadnych już wątpliwości, że jest to najazd sił zdecydowanie wrogich, brutalna wbrew woli ludności przeprowadzona okupacja (...).*

We Lwowie i na terenie całego Obszaru 3 AK rozpoczęły się **masowe aresztowania żołnierzy** Armii Krajowej, których po brutalnym śledztwie skazywano na długoletnie zsyłki do sowieckich łagrów, a tych, co uniknęli aresztowań i zsyłek,

KRZYWORÓWNIA

Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim, położona nad Czarnym Czeremoszem (zob. CL 2/2000) na obszarze Beskidu Huculskiego (zob. CL 3/97). Leży u zbiegu drogi z Kosowa (zob. CL 2/01) przez przeł. Bukowiec, z drogą Kutry (zob. CL 3–4/95) – Żabie (zob.), biegnącą wzdłuż Czarnego Czeremoszu. Miejscowość letniskowa, uczęszczana w latach międzywojennych, liczyła ok. 1850 mieszkańców.

Pierwsza wzmianka o Krzyworówni pochodzi z 1654 r. Drewniana cerkiew typu huculskiego pw. Narodzenia NMP, zbudowana w XVIII lub XIX w. Dwór z pocz. XIX w. został spalony przez Rosjan w czasie I wojny światowej. W XIX i XX w. wieś należała do rodziny Przybyłowskich (synem Przybyłowskiej był pisarz Stanisław Vincenz).

ŁANCZYN

Wieś huculska w pow. nadwórniańskim, woj. stanisławowskim, przy drodze i linii kolejowej Kołomyja–Delatyn, w odl. 18 km na płd.wsch. od Nadwórnej (zob. CL 2/01). Leży nad Prutem (zob. CL 2/2000). We wsi znajdowały się słone źródła, funkcjonowała warzelnia soli, a w XX w. solankowy zakład kąpielowy (leczono reumatyzm, artretyzm i otyłość). W latach międzywojennych wieś liczyła ponad 4100 mieszkańców.

Pierwsza wzmianka o Łączynie pochodzi z 1515 r. W czasach staropolskich należał do nadwórniańskich dóbr koronnych.

MAJDAN

Trzy wsie – Majdan Górny, Średni i Graniczny, w pow. nadwórniańskim, woj. stanisławowskim, położone o kilkanaście kilometrów na wsch. od Nadwórnej (zob. CL 2/01).

Majdan G., gdzie znajdowała się huta szkła z rozbudowanymi obiektami fabrycznymi i mieszkalnymi fabrycznymi, miał charakter miasteczka. Była tu cerkiew gr.kat. i kościółek rzym.kat. Okoliczne lasy zostały w 2. poł. XIX w. wycięte.

W Majdanie Ś. działała huta szkła i tartak parowy. Znajdowała się tu kaplica rzym.kat.

W Majdanie G. urodził się Teofil Wiśniowski, działacz narodowy, stracony (wraz z J. Kapuścińskim) we Lwowie w 1847 r. Staraniem wdowy wystawiono w Majdanie kościółek.

MIKULICZYN

Wieś huculska w pow. nadwórniańskim, woj. stanisławowskim, przy drodze i linii kolejowej Stanisławów– (Nadwórna–) Worochna. Położony nad górnym Prutem (zob. CL 2/2000), u stóp Gorganów, był znaną miejscowością letniskową i leczniczą. Przed II wojną liczył 6,5 tys. miesz-

zmuszono do opuszczenia rodzinnych stron, lecz również i ci wysiedleni nie uniknęli dalszych prześladowań, tym razem przeprowadzanych konsekwentnie przez służalcze władze PRL-u, całkowicie podporządkowane sowietom.

Przez 45 lat żołnierze AK – żołnierze wyklęci – nazywani zapłutymi kartami reakcji, byli prześladowani, aresztowani i po barbarzyńskich przesłuchaniach w kazamatach służb bezpieczeństwa PRL skazywani na wieloletnie więzienia, niejednokrotnie na karę śmierci oraz zsyłki do sowieckich więzień i łagrow, ci zaś, którzy tego uniknęli, w życiu prywatnym traktowani byli jako obywatele drugiej kategorii.

W roku 1990 również dla Żołnierzy Kresowych zajaśniała jutrzenka nadziei i wolności. Mogli oni już bez obaw o swoje życie działać jawnie i rozpocząć ponownie działalność już w wolnej i niepodległej Ojczyźnie. Powstał Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej (SZŻ AK), a w rok później uchwałą jego Zarządu Głównego powołano Ogólnopolski Okręg Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich, z siedzibą w Krakowie.

Nowo powołany Okręg w uchwalonym w dniu 17 marca 1992 r. programie swojej działalności stwierdził, że nadrzędnym jego obowiązkiem jest przekazanie pokoleniom wychowanym w PRL oraz następnym, rzetelnym i uporządkowanym materiałów źródłowych o walce i przelanej krwi Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego, walczących o wolność i przynależność ziem południowo-wschodnich do Polski oraz obrona naruszanej i poniewieranej godności i dobrego imienia Armii Krajowej i jej żołnierzy. Stwierdzono również, że mamy obowiązek przeciwstawiać się cynicznym próbom fałszowania historii, a pierwszoplanowym elementem naszej działalności oraz obowiązującym zadaniem winno być przywracanie świadomości etosu Polskiego Państwa Podziemnego i jego zbrojnej siły Armii Krajowej oraz całego wysiłku niepodległościowego Polski Walczącej.

Rozpoczęliśmy wydawanie „Biuletynu Informacyjnego” oraz emisję książek z cyklu *Na Kresach Południowo-Wschodnich 1939–1945*, realizując w ten sposób nasz nadrzędny obowiązek, jakim jest przekazanie rzetelnym i uporządkowanym materiałów źródłowych. Z kolei postanowiliśmy uczcić i oddać hołd tym, którzy oddali życie w walce o wolność Lwowa i Ziemi Lwowskiej, w obronie ludności polskiej przed zbrodniczą OUN-UPA, a także ofiarom zbrodni sowieckich i hitlerowskich oraz zamęczonych w PRL.

Zamysł ten zrealizowaliśmy dzięki Kolegom ze Środowiska Żołnierzy 27 WDP-AK, którzy jeszcze w latach 1984–1992 wmurowali i poświęcili w pomieszczeniu pomiędzy Kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej i Salą im. Jana Pawła II – cztery tablice pamięci. Za ich więc przykładem oraz za zgodą proboszcza ks. prałata Jana Dziaska postanowiliśmy również uczcić pamięć naszych bohaterskich dowódców oraz bohaterskie Oddziały Leśne tablicami pamięci. Rozpoczęliśmy od poświęcenia w dniu 18 IV 1993 tablicy poświęconej ostatniemu komendantowi OL AK ppłk. Władysławowi Filipkowskiemu. W miarę upływu czasu odstoniliśmy kolejne tablice, epitafia i innego rodzaju dowody czci, hołdu lub dziękczynienia za doznane łaski. Utworzyły one łącznie jednoznaczny w swej wymowie historyczno-religijny Panteon Narodowy, jedyny w tym określonym zakresie na terenie Kraju. Stał się on miejscem uroczystości religijno-patriotycznych oraz stanowi wyraz pamięci i sprawiedliwości dla tych, co polegli w walce o Niepodległą Polskę, zmarli lub dożywają swoich dni. Stał się wychowawczym przekazem dla współczesnych i przyszłych pokoleń.

Jan Sura

Postscriptum od Redakcji

W obrębie Panteonu znajduje się również tablica pamiątkowa, poświęcona Lwowskim Orłętom, odsłonięta w 75-lecie Obrony Lwowa w 1993 r. Jej zdjęcie pokazaliśmy w CL przed kilku laty.

DZIESIĄTY ZJAZD BRODZIAN

Odbył się w ostatnich dniach maja, jak zawsze w Wiśle. Przybyło prawie 60 osób – to niezwykle, biorąc pod uwagę położenie tego uzdrowiska na samym skraju rozległego przecież kraju i rosnące ceny biletów kolejowych, ale także fakt, że Brody przecież nie były wielką metropolią, a od wypędzenia minęło prawie sześć dziesiątków lat...

Jest więc wielką zasługą organizatorów z p. dr S. Valis-Schyleny na czele, że tradycja dorocznych zjazdów jest niezmiennie szeroko podtrzymywana. Że organizatorzy potrafią w satysfakcjonujący sposób kultywować historię, kulturę i tradycję kilkunastoletniego ośrodka polskości, którego rola była w naszych dziejach trojaka: obronna – pięk-

ny przykład renesansowych fortyfikacji, oraz handlowa – na pograniczu Zachodu i Wschodu, a wreszcie kulturowa – stąd wszak wyszedł pisarz Józef Korzeniowski, tu rozwinął się znakomity ród Hausnerów. W naszych czasach z Brodów wyszedł ks. biskup kamieniecki Jan Olszański – czy to już ostatni, którego można naprawdę kochać?

O rocznej działalności Koła Przyjaciół Brodów mówiła S. Valis-Schyleny, o gospodarowaniu wspólną kasą Koła Danuta Bazieliłchowa, a Wacław Fastnacht podsumował wszechstronną pomoc dla rodaków w Brodach i tę, przekazaną za pośrednictwem „Caritasu” na budowę kościoła. Oto relacja Pani Prezes:

[...] Organizatorka Zjazdów [...] sama podjęła się rozprowadzania apelu TMLiKPW podanego w kwartalniku „Cracovia-Leopolis” w celu opracowania indeksu wschodnich małopolan, wysłała do kresowian około 100 listów. Do brodzian skierowała dodatkową prośbę o nadsyłanie na wiślański adres jak najwięcej danych o brodzkich korzeniach, na podstawie których miały powstać Brodzkie Zeszyty Biograficzne. Opracowaniem materiału do pierwszego zeszytu zajął się znany z prac o przeszłości Brodów Zbigniew Kościów. I tak z okazji jubileuszowego Zjazdu ukazał się pierwszy zeszyt z 60 hasłami. [...]

Z Brodów nadeszła dobra wiadomość o rozpoczęciu nauki języka polskiego w dwóch szkołach! Nawiązany został kontakt z nauczycielką – wykształconą polonistką z Lublina, która pracowała już sześć lat w Kazachstanie i rok w Kamieńcu Podolskim. Teraz uczy równocześnie w Złoczowie i w Brodach. Od Koła Brodzian otrzymała zamówione podręczniki, słowniki i pomoce szkolne. Niestety, wśród uczniów i rodziców brak motywacji do nauki języka polskiego. Temu problemowi poświęcono dłuższą dyskusję.

Jednym z punktów programu działalności Koła było od początku zadbanie o brodzkie cmentarze. W roku 1995 pp. W. Popławski i T. Peszek, działacze Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, nawiązali korespondencję z Kołem Brodzian. Korzystali z dostarczonych im informacji i przekazali całkowitą inventaryzację wszystkich żołnierskich mogił oraz sporo zdjęć różnych fragmentów

kańców, przyjmował ok. 3 tys. letników. We wsi działały młyny, tartaki, elektrownia, a wcześniej huta szkła.

Pierwsza wzmianka o Mikuliczynie pochodzi z 1412 r. Cerkiew typu huculskiego pw. św. Trójcy zbudowano w II poł. XIX w., obok była dzwonnica z XVIII w. Z końcem XIX w. wieś należała do hr. J. Rozana. W Mikuliczynie działało sanatorium akademickie uczelni lwowskich.

ZABŁOTÓW

Miasteczko w pow. śniatyńskim, woj. stanisławowskim, położone przy linii kolejowej Stanisławów–Kołomyja–Śniatyn (–Rumunia), w odległości 20 km na wsch. od Kołomyj (zob. CL 1/95) i 15 km przed Śniatynem (zob. CL 2/2002). Leży nad Prutem (zob. CL 2/2000), na wys. 227 m n.p.m. W latach międzywojennych liczył ok. 3600 mieszkańców. Była tu fabryka tytoniu.

Parafię rzym.kat fundował w 1605 r. dziedzic Zabłotowa Stanisław Wołucki. Kościół drewniany pw. Św. Trójcy z 1833 r. nie istnieje, a na jego miejscu powstał w 1902 r. murywany, obecnie czynny. Nie istnieją cerkiew z 1788 r. i synagoga z 1860 r., obie drewniane.

ŻABIE

Wieś huculska w pow. kosowskim, woj. stanisławowskim, uważana za stolicę Huculszczyzny (zob. CL 3/97). Była największą wsią w Polsce (a przed I wojną w całej monarchii austro-węgierskiej, 600 km²). Przed II wojną liczyła ponad 8 tys. mieszkańców. Położona wśród gór, między pasmem Czarnohory a Beskidem Huculskim (obie zob. CL 3/97), nad Czarnym Czereмосzem (zob. CL 2/2000). Składa się z dwóch części: Ilci i Słupiejki oraz licznych przysiółków, rozrzuconych po poloninach. Dojazd do Żabiego trójstronny: od Worochty (32 km, zob. CL 2/97) przez Ardżeluzę, od Kosowa (zob. CL 3/97) przez przełęcz Bukowiec (818 m n.p.m.) lub od Kut (30 km, zob. CL 2/01) wzdłuż Czarnego Czereмосzu. W Żabim działało kilkanaście młynów wodnych.

Od lat 80. XIX w. Żabie – dzięki malownicze-mu położeniu i górskiemu klimatowi – było znaną miejscowością letniskowo-turystyczną (ok. 700 letników). Działało schronisko PTT „Dworek Czarnohorski”. Była tu Wysokogórska Szkoła Rolnicza, Muzeum Huculskie. Była tu siedziba zarządu Fundacji hr. Skarbka z kolonią wakacyjną dla sierot.

W Żabim istniały dwie cerkwie drewniane typu huculskiego (ok. 1800 i 1900 r.) oraz kościółek rzym.kat., zniszczony w czasie II wojny.

cmentarza, z unikatowymi fotografiami odkopywania po pół wieku kamiennej tablicy z grobu nieznanego żołnierza. W roku 1996, prawdopodobnie z braku funduszy, prace wstrzymano. Toteż dużym zaskoczeniem była wiadomość w Radiowym Magazynie Wojskowym, podana przez polskiego pułkownika, o odkryciu tego cmentarza (!) i o tym, jak to dzięki jego przyjaźni z ukraińskim kolegą płk. Wiktorem Melnyczenką, przyczynił się do uporządkowania zabytkowego cmentarza. W rzeczywistości uporządkowanie to ograniczyło się do spionowania kamiennej tablicy i oparcia jej o jakiś głaz oraz do skoszenia odrastających chwastów. Na zdjęciach widać ślady przekopywania cmentarza i świeże groby z płot-

kami i ławeczką. O kwaterze powstańców styczniowych nikt już nie pamięta. Sprostowanie wiadomości podanych przez pana pułkownika, wysłane do redakcji RMW, podobnie jak ubiegłoroczne listy w sprawie tego cmentarza wysłane do min. Przewoźnika – pozostają bez odpowiedzi. [...]

Wacław Fastnacht, opiekujący się w Krakowie Jarkiem Olszewskim, opowiedział o pierwszych jego sukcesach na pianistycznych konkursach i o koncercie estradowym. Wysłuchano kilkuminutowego nagrania fragmentu *Preludium* C.A. Debussy'ego w wykonaniu Jarka. Teraz potrzebny mu jest do występów smoking i na ten cel wykorzystane zostaną hojne datki H. Bućko, E. Muzyńskiej i innych darczyńców.

Ks. Biskup Jan Olszański, brodzianin z urodzenia, nadesłał z Kamieńca Podolskiego list do uczestników X Zjazdu Brodzian – jego fragmenty cytujemy (podkreślenia pochodzą od Redakcji):

[...] Najpierw najserdeczniej wszystkich Was i każdego z osobna pragnę objąć swoją miłością i swoim sercem i wyrazić radość z tego powodu, że podtrzymujecie tradycję zjazdów Brodzian u Pani dr Valis-Schyleny.

Dziesięć lat to czas krótki na tworzenie historii, ale emocje nie pozwalają zapomnieć wszystkiego, co się wydarzyło. Niestety, wspomnienia przyćmiewają wszelki optymizm. Przynajmniej przed moimi oczami stoją tłumy zapłakanych, zrozpaczonych, porzucających swoje zagrody, dorobek całego życia oraz swoich najbliższych i najukochańszych nie pogrzebanych, pozostawionych na łaskę wiatrów, które wtrąca do jamy: w końcu brak optymizmu z faktu, że dziś, przy lepszej atmosferze międzynarodowej, niemożliwe odnaleźć kości matki, ojca, dziecka swojego.

Gdy ostatni transport kolejowy oddał się od Lwowa i zaczęły znikać za horyzontem wieże kościołów [...] – lud jakby w szale nie tylko zalał się łzami, ale zaczął rozpaczliwie krzykiem wyrażać swój ból, rozstanie ze świętościami rodziny i narodu. Żal tylko, że z ust ludzi odpowiedzialnych nie padło dotychczas ani jedno słowo: p r z e p r a s a m.

Datego każdy z nas wierzący w Jednego Ojca, który jest w niebie, musi przebaczyć. Tego pragnie i żąda od nas Pan Bóg, jako od swoich dzieci.

Wprawdzie za 10 lat istnienia Koła Brodzian padło niejedno słowo żalu, skargi, wspomnienie

przeszłości, dzisiaj jednak chcemy raczej posłyszeć o czymś, co jest niezmiernie piękne i wielkie brzemieniem treści – o Miłości, czyli Panu Bogu, bo Pan Bóg jest Miłością. Nie odpycha nikogo od siebie i za wszystkich oddał na krzyżu swoje życie. Tylko na tej płaszczyźnie możliwe jest pojednanie. Ponieważ jest ono na horyzoncie i oddala się im bardziej zbliżymy się do niego, trzeba nam konieczności cierpliwości.

Z okazji jubileuszowego Zjazdu kieruję najpierw najserdeczniejsze podziękowania do Pana Boga za łaski, których udzielił nam podtrzymując życie wielu i dając możliwość przyjazdu do Wisły, tym razem już dziesiąty raz. Pragnąłbym, by Koło powiększało się, a nie zniknęło. [...]

Z głębi serca ślę swoje pasterskie błogosławieństwo. [...] Bardzo serdecznie pozdrawiam Kolegów z ław gimnazjalnych: Tadeusza Marszałka, Jana Bolesława Mikołajewicza, Antoniego Reguckiego, Wacława Fastnacha i innych. [...]

Niech Maryja, której poświęcamy najpiękniejszy miesiąc w roku – maj, otacza płaszczem macierzyńskiej opieki w dalszym ofiarnym trudzie oddania się swojej rodzinie, a tym samym Sprawom Bożym i Ojczyźnie, specjalnie pomagając wychowywać swoje wnuki ku ich dobru duchowemu i patriotycznemu umiłowaniu swojej Ojczyzny, by *nie zginęła dopóki żyją*, ale też, by powoli nie zagubiła się wśród mrocznych i fałszywych ideologii, bo *nie rzucim ziemi* jest ciągle aktualne – właśnie w Polsce i właśnie teraz.

Z najgłębszym uszanowaniem dla wszystkich osobyście

Bp Jan Olszański

Budowa kościoła w Brodach opóźnia się z braku potrzebnych na wykonanie zadania większych funduszy. Datki od brodzian i innych ludzi dobrej woli wpływają stale na konto „Caritasu” w Lubaczowie – koniecznie z dopiskiem: *Na budowę kościoła w Brodach.*

Koło Przyjaciół Brodów prosi o kierowanie datków na kościół tylko tą drogą. Pieniądze te są okresowo przekazywane przez ks. kan. B. Gwoźdźcia brodzkiemu proboszczowi w obecności przedstawiciela lwowskiej Kurii Biskupiej, z potwierdzeniem odbioru, co zapewnia wykorzystanie ich zgodnie z intencją ofiarodawców. Proboszcz brodzki przysyła niekiedy rozliczenia z otrzymanych kwot. Dokładniejszy w rozliczeniach jest ks. Igor Korzydło i siostra sercanka Gabriela Woźniak, którzy otrzymują pieniężne wsparcie kilka razy do roku dla dzieci i starców zamiast paczek, z których wysyłaniem było sporo kłopotu, szczególnie na granicy. Większy datek otrzymali także rodzice pierwszego ochrzczonego w kaplicy chłopczyka.

W ostatnich miesiącach, na prośbę siostry sercanki opiekującej się chorymi dziećmi, wysłano trzy paczki leków, zakupionych za fundusze wolnych datków, a także ofiarowane przez instytucję charytatywną z Krakowa. Trzykrotnie, z wielkimi trudnościami i kłopotami, przekazane zostały do Brodów bogate paczki z odzieżą, przysłane do Wisły przez brodzianina Henryka Hawrana z USA.

Suma datków na budowę kościoła – od początku zbiórki do dziś – wynosi 74 893,51 zł, 1 783 USD i 263 funtów bryt. Darczyńcy nie kryją obaw, aby wobec postępującej *ukrainizacji* Kościoła rzym.kat., nowo wybudowanego kościoła nie spotkał podobny los, jaki spotkał zabytkowy XVI-wieczny kościół parafialny w Brodach. Długo zastanawiano się nad sposobem pobudzenia zainteresowania dzieci i ich rodziców nauką ojczystego języka i historii. Były propozycje nagradzania dzieci za osiągnięte wyniki, urządzania konkursów recytatorskich i innych, urządzania przedstawień, organizowania pod fachową opieką kolonii dla dzieci uczących się po polsku.

Zbigniew Grata nie ustaje w staraniach o wzniesienie pomnika Józefa Korzeniowskiego w Brzegu. Uzyskane dotąd fundusze są ciągle bardzo skromne. [...]

Na zakończenie obrad próbowano zastanowić się nad dalszymi losami Koła Przy-

jaciół Brodów i corocznych zjazdów. [...] Dotychczasową organizatorkę zapewniano, że może być spokojna o przyszłość Koła. Dyskusję skwitowano odśpiewaniem zjazdowej piosenki autorstwa śp. Tadzika Skupienia:

Jak długo tutaj w Wiśle stoi Stasieński dom, tak długo my brodziane przyjeżdżać będziemy doń... [...]

Stanisława Valis-Schyleny

NIECHĘTNY LWÓW

Z krakowskiego „Dziennika Polskiego” 79/02 (z 4 IV) przepisujemy w całości notatkę, zmieniając tylko jedną literkę w tytule. Dlaczego? Bo LWÓW oznacza całkiem coś innego i nie wolno tego mylić.

Ponosimy duże koszty na współpracę ze Lwowem. A jedynie Rada Miasta Lwowa stoi na przeszkodzie, by Cmentarz Orłąt Lwowskich został w końcu otwarty – mówi Jacek Zieliński. Radny zapowiada, że na przyszłej sesji RMK będzie się starał wprowadzić projekt rezolucji w tej sprawie pod obrady. Parę miesięcy temu próbowano już to zrobić, ale nie udało się przekonać większości radnych, którzy uznali, że taka rezolucja może bardziej zaszkodzić niż pomóc.

Teraz projektodawcy powołują się na pismo od Andrzeja Przewoźnika, sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który zaakceptował tekst rezolucji, skierowanej do Rady Miasta Lwowa. Zawarty jest w niej apel o uszanowanie naszej wspólnej historii poprzez honorowanie wynegocjowanych warunków polsko-ukraińskiego porozumienia w sprawie cmentarza. Radny Jacek Zieliński złożył interpelację w sprawie podsumowania kosztów współpracy z ukraińskimi partnerami.. Okazało się, że są one znaczne. W roku 1998 delegacje służbowe krakowskich radnych i pracowników magistratu na Ukrainę kosztowały 14 tys. złotych, w 1999 – 24 tys. zł, w 2000 – 8 tys., a w 2001 – 23 tys. złotych. Natomiast pobyt delegacji lwowskich w Krakowie od 1998 do 2001 roku to wydatek prawie 170 tys. złotych. Do tego doliczyć należy m.in. koszty budowy pomnika żołnierzy

ukraińskich na cmentarzu Rakowickim (180 tys. złotych). – *Z naszej strony jest duża wola współpracy* – mówi radny Jacek Zieliński, wskazując na wydatki, które Kraków poniósł na utrzymywanie stałych kontaktów ze Lwowem i uczczenie pamięci ukraińskich żołnierzy, którzy zmarli w obozie na Dąbiu. – *Ze strony Lwowa natomiast nie widzimy takich starań, aby dokonać przełomu w sprawie cmentarza.* (WT)

Z ostatniej chwili: w związku z katastrofą na lotnisku skniłowskim krakowskie władze i Lekarze Nadziei podążyli z pomocą dla poszkodowanych – głównie w zakresie leków.

Notatki

◆ **Ojciec Adam Studziński** otrzymał nagrodę Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa w uznaniu Jego prac odkrywco-konserwatorskich w krakowskim kościele i klasztorze dominikańskim.

Przypomnijmy, że o. Adam (Franciszek) urodził się w Strzemieszynie w pow. żółkiewskim w r. 1911 (w ub. roku obchodził swoje 90-lecie, o czym donosiliśmy). Nowicjat odbył u Dominikanów w Krakowie, studia teologiczne we Lwowie. Tam otrzymał święcenia kapłańskie w 1937 r., do II wojny pracował w Czortkowie. Potem było Monte Cassino – ten rozdział życia o. Adama nasi Czytelnicy znają doskonale. Po powrocie do Polski w roku 1947 podjął studia na krakowskiej ASP, po których został konserwatorem zabytków dominikańskich. Jego dokonania w zakresie odkryć i renowacji są nie do przecenienia. Obecnie tworzy muzeum przy klasztorze krakowskim.

O innych wątkach działalności Ojca Adama można przeczytać w CL 3/96, 2/97 i 3/01.

◆ Bardzo życzliwy dla pamięci o Lwowie i dla naszego środowiska **ks. infułat Stanisław Małysiak** otrzymał od Miasta Krakowa medal „Cracoviae Merenti” W skład komisji, która podejmuje decyzje o odznaczeniach, wchodzi m.in. prezydent Krakowa prof. Andrzej Gołaś, ks. kardynał Franciszek Macharski oraz rektor UJ prof. Franciszek Ziejka.

Ks. Infułat bierze chętnie udział także w uroczystościach *lwowskich* w Krakowie i corocznie przewodniczy listopadowym

mszom św. koncelebrowanym za dusze Obrońców Lwowa. Księdzu Infułatowi składamy serdeczne gratulacje i życzenia wszelkich Łask Bożych.

◆ W ostatnich dniach kwietnia zmarł nagle – przejazdem przez Lwów – **Tomasz Marek Leoniuk**, konsul generalny RP w Kazachstanie, a w latach 90. konsul generalny we Lwowie. W czasie swojej dwuletniej kadencji w naszym mieście, a wcześniej w Kijowie, zasłużył sobie działalnością i postawą na powszechne uznanie wśród Polaków po obu stronach Zbrucza. Uczynił bardzo wiele dla szkolnictwa polskiego. Jego niespodziewana śmierć wywołała we Lwowie szczerzy żal. Miał lat niespełna 40. Pochodził z Warszawy.

◆ Honorowym konsulem generalnym **Japonii w Krakowie** został Krzysztof Ingarden. Z zawodu architekt, był współpracownikiem znakomitego architekta japońskiego Arata Isozaki przy projektowaniu krakowskiego Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”.

K. Ingarden jest wnukiem znakomitego lwowsko-krakowskiego filozofa, profesora UJK i (po wojnie) UJ, Romana Ingardena (1893–1970).

◆ W Tarnowie, gdzie osiadło po II wojnie wielu ekspatriantów, powstała idea postawienia **pomnika Ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów** z lat czterdziestych. Zabiegał o to od dłuższego czasu społeczny komitet. Projekt pomnika przedstawia polskie dzieci przywiązane do drzewa drutem kolczastym.

Niestety Rada Miasta Tarnowa nie zgodziła się na ten pomnik. Przypomina się wypisz-wymaluj incydent sprzed kilku lat we Wrocławiu, kiedy to w analogicznej sytuacji pojawił się tam Mirosław Czech, Ukrainiec, b. dziennikarz osławionego „Naszego Słowa”, ale ówczesnie sekretarz generalny Unii Wolności (!), doprowadzając do rozmyślenia idei. Powstaje więc pytanie, kto zainteresował tym razem?

W jednej z gazet krakowskich notatce na ten temat nadano tytuł: *Tarnowianie nie chcą pomnika.*

Czy rzeczywiście tarnowianie? Czy nie przekonaliśmy się już w wielu okolicznościach, że radni a społeczeństwo to dwie

całkiem różne rzeczy? Pociesza nas, że niebawem będzie ich o wiele mniej. I oby mniej pazerni.

◆ W marcu '02 **zmarła w Anglii Maria z Piątkiewiczów** 1° Dereniowa 2° Łęska, historyczka sztuki, związana 1952–78 z Wawelem. Jej specjalnością badawczą była zabytkowa ceramika, w szczególności kafle starych pieców. Przy jej naukowym udziale zrekonstruowano słynny piec w gdańskim Dworze Artusa oraz piece w Zamku Królewskim w Warszawie.

Urodziła się we Lwowie w 1925 r., szkołę zaczynała w Drohobyczu. Studia ukończyła na UJ. Od 1978 mieszkała w Anglii. Obszerne wspomnienie pośmiertne zamieścił w „Gazecie Wyborczej” 108/02 dyr. Jerzy Petrus z Wawelu.

Antypody

Przypomnijmy, że rubryka ta poświęcona jest szczególnym wydarzeniom i problemom po drugiej, zachodniej, stronie dzisiejszej Polski, gdzie swoje miejsce do życia znalazła większość Polaków wyrzuconych z własnych małych ojczyzn na Wschodzie. Tamtejsze sprawy nie mogą więc i nas nie interesować.

W „Gazecie Wyborczej” 84/02 znalazł się obszerny reportaż Aleksandry Klich pt. *Wiatr od Hitlersee*, a poświęcony nieustannym nieporozumieniom, wybuchającym na Opolszczyźnie między członkami mniejszości niemieckiej a polskimi władzami i polską ludnością. Zaczyna się najczęściej od pomników żołnierzy armii niemieckiej, poległych w II wojnie – z napisami wyłącznie w języku niemieckim i ozdobionych „Żelaznym Krzyżem”. Potem *dyskusje* przechodzą na szersze tematy, także co do przynależności Śląska... Cytujemy za GW:

Przyczyn złego samopoczucia Niemców nie rozumie też senator Dorota Simonides: – Jak mogą się czuć w Polsce źle, skoro od 12 lat mają istotny wpływ na życie społeczne? Uczestniczą w sprawowaniu władzy w województwie opolskim na każdym szczeblu – w 28 gminach spośród 72, w 5 powiatach z 11, a także są nadreprezentowani w sejmiku wojewódzkim dzięki zdyscyplinowanemu elektoratowi. Mają swoich burmi-

strów, wójtów, starostów, wicemarszałka województwa i członka zarządu, wiceprzewodniczącego sejmiku. [...]

Opolszczyzna przeżyła w XX w. dwie wielkie zmiany nazw. W latach 30. Niemcy zmieniali słowiańskie nazwy na niemieckie, po wojnie Polacy przemianowali je na polskie. Jeśli Sejm i Senat zaakceptują ustawę o mniejszościach (prace nad nią trwają), na drogach Opolszczyzny pojawią się drogowskazy z dwujęzycznymi nazwami: niemiecką i polską, ale nazwa niemiecka nie będzie mogła pochodzić z lat 30. Język niemiecki zostanie uznany na Opolszczyźnie za język urzędowy – będzie można się z nim posługiwać w biurach, sądach, prokuraturach. [...]

Jeżeli dojdzie to do skutku, to spodziewamy się, że Rząd Polski drogą dyplomatyczną doprowadzi do podobnych rozwiązań w Małopolsce Wschodniej, na Wileńszczyźnie itd.

Z wielkim żalem pożegnaliśmy
na cmentarzu Batowickim w Krakowie

śp. MICHAŁA LASOCKIEGO

współzałożyciela i długoletniego prezesa Koła Tarnopolan przy Oddziale Krakowskim Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, członka Zarządu „Sokoła-Macierzy-Lwów” w Krakowie.

Urodził się w 1926 r. w Tarnopolu, zmarł 8 czerwca 2002 w Krakowie. Jako inżynier geodeta po studiach na AGH w Krakowie pracował w krakowskich instytucjach i przedsiębiorstwach. Przez wiele lat był ofiarnym i niestrudżonym działaczem na rzecz Polaków, polskiej młodzieży i Kościoła w Tarnopolu i na Podolu. Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek prawy, solidny, uczynny, szanowany i lubiany.

Koło Tarnopolan przy OK TMLiKPW
Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa
Miłośników Lwowa i Kresów Płd. Wschodnich
PTG „Sokół-Macierz-Lwów” w Krakowie

KULTURA NAUKA

CAPELLA CRACOVIENSIS NA TREMBOWELSKIM SZLAKU

W związku z tegorocznymi Dniami Krakowa we Lwowie udała się tam w trzeciej dekadzie maja Capella Cracoviensis Stanisława Gałońskiego. Ponad 60-osobowy zespół (orkiestra, chór i soliści: sopran K. Wiwer, tenor M. Krzywoń i bas-baryton Z. Grygielski) zagrał w sali Filharmonii oratorium *Stworzenie Świata* Haydna. Było to bardzo piękne wykonanie, nagrodzone przez słuchaczy (przy pełnej sali) owacją *na stojąco*.

Na drugi dzień dwa wielkie autokary z zespołem i całym transportem instrumentów wyjechały do Trembowli, by w tamtejszym kościele wykonać *Mszę Koronacyjną* Mozarta. Impreza ta dla dyr. Stanisława Gałońskiego miała znaczenie szczególne, ponieważ urodził się w pobliskim Ostrowczyku, a w Trembowli aż do ekspatriacji w 1946 r. uczęszczał do szkół. Mszę św., upiększoną grą Capelli oraz śpiewem chóru i solistów (sopran K. Romek, mezzosopran M. Sereśmet oraz M. Krzywoń i Z. Grygielski), odprawiał trembowelski ksiądz Michał Murygin. Kościół zapełnił się trembowelskimi wierzniymi, niestety niezbyt dziś licznymi (rzędu 100 osób, mało młodzieży).



Zaimprovizowany ołtarz w sali „domu kultury” w Trembowli

Warto przy okazji wspomnieć, że kościół parafialny w Trembowli pw. św. Piotra i Pawła został zbudowany w latach 30. wg projektu arch. A. Szyszko-Bohusza, konserwatora Wawelu i profesora Politechniki Lwowskiej. Jest to monumentalna budowla w stylu neoklasycyzyzm, niestety zaraz po wojnie zabrana i zamieniona na dom kultury (całe szczęście, że nie na fabrykę lub magazyn nawozów!), a przy okazji zniekształcona m.in. przez obniżenie dwóch wyniosłych wież. Od niedawna *sala domu kultury* jest używana wspólnocie rzymskokatolickiej, a z końcem tego roku kościół ma być formalnie zwrócony dla kultu. Po dawnym wyposażeniu, w tym po organach, nie pozostało śladu.

Należy mieć nadzieję, że po objęciu świątyni przez trembowelskich rzymskich katolików praca parafialna ruszy pełną parą i wspólnota zacznie się rozwijać. Sądzymy, że pomocne byłoby powołanie w tym mieście polskiego towarzystwa kulturalnego, podległego Federacji Organizacji Polskich nU., tą drogą bowiem mogą być nawiązane kontakty z instytucjami i organizacjami w zakresie oświaty, kultury i pomocy charytatywnej. Tym jednak powinni się zająć świeccy.

Przed odjazdem ze Lwowa cały zespół CC odwiedził cmentarze Łyczakowski



Stanisław Gałoński dyryguje w Trembowli

Kościół w Trembowli, stan obecny – por. wieże ze zdjęciem na okładce



i obrońców Lwowa, które – każdy wedle swego rodzaju – zrobiły wielkie wrażenie. W Trembowli widziano dawny kościół Karmelitów, ozdobiony ostatnio dwoma baniami na wieżach i koszmarnymi malowidłami we wnętrzu. Udano się też na ruiny trembowelskiego zamku, pamiętnego Obroną Trembowli z jej bohaterką Anną Dorotą Chrzanowską.

Wypada podać na koniec kilka informacji o lwowskiej Filharmonii. Mieści się ona w pięknym secesyjnym gmachu przy ul. Chorążczyzna nr 7, zbudowanym w 1907 r. przez arch. Wł. Sadłowskiego (autora lwowskiego dworca głównego) dla Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego i Konserwatorium. Również sala ma wystrój secesyjny, a organy tam po wojnie umieszczone pochodzą z kościoła Dominikanów, skonstruowane w roku 1880 w warsztacie Jana Śliwińskiego, z neobarokowym prospektem (informacje te zaczerpnęliśmy z nieocenionego przewodnika J. Biriulowa, o którym piszemy także w tym numerze).

Lwowska sala jest mniejsza (ok. 500 miejsc), ale o ćwierć wieku starsza od sali krakowskiej Filharmonii (z lat 30.), zaadaptowanej po II wojnie z kina *Świt*.

Andrzej Chlipalski



POWROTY DO KORZENI

Modne stały się w ostatnich czasach *powroty do korzeni*. Wojna i powojenne półwiecze nie sprzyjały utrzymywaniu związków i kultywowaniu rodzinnych tradycji. Ze zgliszcz podnoszą się więc wspólnoty wielkich polskich rodów (rozsypanych po całym świecie, w dużej mierze zdeklasowanych), rodziny o tradycjach ziemiańskich, potomków różnych wybitnych postaci i zwykłych rodzin tego samego nazwiska.

Do szczególnieńskich wspólnot w naszym społeczeństwie należy klan Duninów herbu Łabędź, legitymujący się średniowiecznym rodowodem, dawno podzielony na kilka bardziej lub mniej znanych gałęzi: Duninów Sulgostowskich, Dunin-Borkowskich, Dunin-Wąsowiczów, Dunin-Kozickich i jeszcze parę innych. Ich przedstawiciele skrzyknęli się w 1992 roku i od tego czasu spotykają się corocznie – ostatnio w Osieczanach k. Myślenic (V/VI '02).

Ze Lwowem i Małopolską Wschodnią było związanych wiele postaci tego rodu, a przede wszystkim Dunin-Borkowscy i Duninowie Sulgostowscy. Założycielem Stowarzyszenia Heraldycznego we Lwowie był Mieczysław Dunin-Wąsowicz, który stworzył monografię tego rodu. Dokumenty niestety przepadły. Dunin-Borkowscy byli majątną rodziną w Małopolsce Wschodniej (od Mościsk po Zaleszczyki) i wydali kilku wybitnych obywateli – jednym z nich był lwowski literat i polityk Leszek (Aleksander) Dunin-Borkowski (1811–96). O swoich korzeniach dowiedziała się jedna z pań tej gałęzi z... książki profesora Nicieja o Cmentarzu Łyczakowskim, w której wyczytała o licznych, istniejących tam dotąd grobach Duninów. Nie darmo traktujemy więc tę nekropolię jako skarbnicę polskiej historii i kultury.

Kronika

◆ W Krakowie i innych miastach wystąpił w październiku '01 (relacja dość spóźniona, przepraszamy!) zespół kabaretowy o nieco na wyrost przyjętej nazwie *Polski Instytut Teatralny w Ameryce*. Pięcioosobowy zespół odegrał w sali „Wspólnoty Polskiej” przy

Rynku Gł. program pt. **Kabaret Wielkiej Trójki podkasanej muzy emigracyjnej**, z tekstami Wiktora Budzyńskiego, Mariana Hemara i Feliksa Konarskiego (Ref-Rena). W programie znalazło się – co zrozumiałe przy takich autorach – sporo akcentów lwowskich, jednak do korzeni lwowskich przyznał się jedynie akompaniator Pablo Zinger, urodzony w Urugwaju (!), lecz z rodziców pochodzących ze Lwowa. Kierowniczką zespołu jest p. Janina Katelbach (Nina Polan), starsza dama, która ujęła wdziękiem i starą dobrą szkołą sztuki kabaretowej. Była uczennicą W. Budzyńskiego.

◆ W ostatnich dniach maja odbyły się we Lwowie czterodniowe „Dni Krakowa”. W programie znalazły się m.in. sesja poświęcona malarzowi Jerzemu Nowosielskiemu (profesor ASP w Krakowie, prawosławny), projekcja filmu *Quo Vadis* J. Kawalerowicza (ur. w Gwoźdźcu k. Kołomyi), koncert jazzowy Jarosława Śmietany, występy dzieci z krakowskiego Centrum Młodzieży im. H. Jordana, a przede wszystkim – co nam najbliższe – koncert symfoniczny Capellae Cracoviensis pod dyr. Stanisława Gałońskiego w lwowskiej Filharmonii, o czym piszemy wyżej.

Nasuwa się pytanie, czy wobec skandalicznego, antypolskiego zachowania, jakie zademonstrowała w tym samym czasie *rada miejska Lwiwa* w związku z zapowiedzianym otwarciem Cmentarza Orłąt, nie należało tego festiwalu odwołać? Po zastanowieniu jednak dochodzimy do wniosku, że – abstrahując od rozkręconej maszyny organizacyjno-finansowej, trudnej do zatrzymania w ostatniej chwili – trzeba odróżnić tamtejszą Bogu ducha winną i w większości nie akceptującą nacjonalistycznych wybrków społeczność ukraińskiego miasta (nie mówiąc o lwowskich Polakach), od nachalnej, hałaśliwej grupki oszołomów, nie wiadomo (a może wiadomo?) przez kogo podszczuwanej. O tym zresztą piszemy osobno.

Słusznie natomiast, że na otwarciu Dni nie stawili się we Lwowie krakowskie władze.

◆ W połowie kwietnia odbyło się w Krakowie już **XI Seminarium „Potrzeby kulturalne dzieci polskich na Wschodzie”**, na które przybyli – jak corocznie – nauczyciele i animatorzy kultury (ok. 80 osób), pracujący z dziećmi i młodzieżą w państwach litewskim,

białoruskim i ukraińskim oraz innych państwach sąsiednich, a także kilkadziesięcioro młodzieży z tamtych stron (nie zauważyliśmy nikogo ze Lwowa!). Seminarium zorganizowało, jak zwykle, Centrum Młodzieży im. H. Jordana w Krakowie, a program realizował działający w ramach Centrum Ośrodek Edukacji Dzieci Polskich na Wschodzie. Zajęcia odbywały się w sześciu grupach warsztatowych: teatralnej, plastycznej, jazzowej, dziennikarskiej, przedszkolnej oraz samorządowej (samorząd uczniowski). Seminarium towarzyszyły konkursy: literacki i plastyczny pt. *Polsko, jaką Ciebie widzę – Polsko, jaką Ciebie znam*.

Należą się niezwykle gorące wyrazy uznania i podziękowania inicjatorom i realizatorom tego wieloletniego już przedsięwzięcia, przede wszystkim panu dyrektorowi CM dr. Antoniemu Weyssenhoffowi oraz pani Irene Jasickiej.

◆ W maju odbyła się w Tarnowie sesja naukowa na temat: *Prawna ochrona dziedzictwa kulturowego Krakowa, Lwowa i Tarnowa. Aspekty prawno-porównawcze*. Stan w państwie ukraińskim – mówiąc m.in. o **2000 zabytków Lwowa** wpisanego na listę UNESCO – przedstawiła przybyła stamtąd doc.dr Halina Tkacz, informując o stworzonym w 1999 r. programie ochrony zabytków na obszarze tamtego państwa.

Przy okazji trudno nie wrócić uwagi na:

- katastrofalny stan wielu bezcennych zabytków, głównie poza Lwowem; przykładowo: kościół zamkowy w Brzeżanach (i cały zamek), kościoły w Podhajcach, Hodowicy i dziesiątkach innych miejscowości;
- systematyczne, bezkarne niszczenie zabytkowych obiektów Cmentarza Łyczakowskiego, nie mówiąc o innych cmentarzach na tamtych ziemiach;
- niekompetentne „odnawianie” zabytków, jak np. pomalowanie Czarnej Kamienicy przy lwowskim Rynku najpierw popielatą, potem czarną farbą, niszczącą unikalną naturalną patynę, a całkiem ostatnio zamalowywanie detali kamiennych na odbudowywanej kamienicy Bandinellich. I tak dalej...

◆ Niezwykle aktywny antykwariat krakowski „Rara Avis” urządza periodycznie akcje, na których spotyka się **wiele leopolitanów**.

Sprzed paru lat pamiętamy wystawione tam dokumenty i pamiętki po twórcach i pracowni *Panoramy plastycznej Lwowa* Janusza Witwickiego.

Z końcem maja odbyła się kolejna aukcja, a na niej największym *szlagierem* – jak się można zorientować z relacji w „Dzienniku Polskim” 122/02 – były lwowskie pocztówki. Zacytowano wypowiedź kolekcjonera z Warszawy: *Najpiękniejsze karty pochodzą z przełomu XIX i XX w. To były złote lata pocztówki: korespondowali wszyscy, w ogromnych rozmiarach, a poczta świetnie działała. Wysyłało się we Lwowie kartkę rano i po południu już dochodziła do adresata w tym mieście; dlatego pisano „O godzinie 17 będę u Was”!* Rzadkie pocztówki dokumentacyjne wyceniono za 110–210 zł, ale karty z serii przedstawiającej Obronę Lwowa, wyceniane po 70 zł, sprzedano po 480–500 zł.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Pękła bania z przewodnikami po Lwowie. Do dość licznych przedwójników sprzed I i II wojny doszło kilka powojennych, a całkiem ostatnio ukazały się – prawie równocześnie – trzy. Jeden omówiliśmy w CL S/01 (J. Czerwińskiego), drugi – poniżej, o trzecim będzie mowa w jednym z następnych numerów. O czym świadczy ten urodzaj? To oczywiście: podaż odpowiada na popyt, a popyt wynika ze wzrostu zainteresowania naszym niezwykłym miastem wśród współczesnych Polaków. Jesteśmy więc zadowoleni.

Przewodnik dzisiaj przedstawiany ukazał się we Lwowie i jest w zasadzie polskojęzyczną wersją przewodnika, który omówiliśmy w CL 3/99. Tamten był dwujęzyczny – ukraińsko-angielski, ten jednak nie stanowi mechanicznego przekładu tamtego. Jest różnica w objętości: pierwszy miał ok. 530 stron, drugi tylko 320, choć wcale nie został zubożony, przeciwnie – merytorycznie wzbogacony. O różnicach będzie mowa.

Tytuł brzmi: **Lwów. Ilustrowany przewodnik**. Wydawców ma dwóch: „Centrum Europy” Lwów oraz „Via Nova” Wrocław (2001). Jest opracowaniem zbiorowym pod redakcją **Jurija Biriulowa**, swój wkład ma także Borys Woźnicki. Teksty z języka ukraińskiego tłumaczył na polski Andrzej Otko. Warto nadmienić, że książka miała też czworo polskich konsultantów. Byli

nimi: Zofia Gunaris, Danuta Nespiak i Jan Ziembicki (wszyscy Wrocław) oraz ks. Józef Wołczański (Kraków). Nie wiemy, jaki był charakter ich uwag oraz czy zostały uwzględnione przez autorów i wydawców.

W edycji polskiej zdecydowanie poprawiono *kalendarium* (czy tylko na użytek użytkowników polskich?), które kwestionowaliśmy w wydaniu ukraińsko-angielskim. Dodano więc daty tam brakujące, m.in. powstania katedr ormiańskiej i łacińskiej (które zresztą wtedy katedrami jeszcze nie były), słowo *podbój* (przez Kazimierza Wielkiego) zastąpiono przez *włączenie* (Lwowa do państwa polskiego). W sumie liczbę 60 dat powiększono do 100, dodając też takie, jak ukazanie się „Gazety Lwowskiej” (1811, nb. najdłużej i nieprzerwanie ukazującego się – do II wojny – dziennika w Polsce, a także datę wznowienia w 1990 r.), powstanie „Sokoła” (1867) itd.

Do edycji polskiej nie stosują się naturalnie zarzuty co do braku wyjaśnień w wydaniu ukraińsko-angielskim w kwestii wybitnych Polaków tam wymienianych. Nasi użytkownicy przewodnika dobrze wiedzą, że Parandowski, Twardowski, Balzer czy Banach to Polacy. Sporo też dodano: przykładem zdjęcia A. Grottgera i Wandy Monne, prof. A. Sabatowskiego czy Jerzego Janickiego. W rozdziale Miasto Muzeów dodano



parę reprodukcji polskiej sztuki, ale i tak pozostała dysproporcja w stosunku do szerego potraktowanej sztuki rusko-ukraińskiej, starej i XX-wiecznej. W polskim wydaniu pominięto natomiast zdjęcie pięknej kafli huculskiej, wykonanej przez A. Bachmińskiego, nazywanego przez Ukraińców *Bachmatiukiem* (patrz artykuł J. Kamockiego w CL 1/02). Czy kwestia nazwiska i narodowości artysty odegrała tu jakąś rolę?

Powyższe uwagi nie podważają naszego przekonania, iż przewodnik – szczególnie w wydaniu polskim – pod redakcją J. Biriulowa przy współpracy edytorskiej Sergiusza Fruchta, jest najlepszy i najpełniejszy z tych, jakie się dotąd na temat Lwowa ukazały. Oczywiście w istniejącej sytuacji nie możemy wymagać, by umieszczono tam to wszystko, co znalazłoby się w przewodniku wydanym w RP, ale trzeba sprawiedliwie zauważyć, że np. Cmentarz Orłąt pokazano i pokrótce (taktownie) opisano.

Strona graficzno-drukarska jest bez zarzutu (lepiej niż w poprzednim wydaniu). Nic więc dziwnego, że przewodnik idzie jak woda.

Panom Biriulowowi, Woźnickiemu, Fruchtowi i wszystkim autorom tekstów, rysunków i zdjęć oraz znakomitemu tłumaczowi dr. Otko należą się wyrazy szczerzego uznania.

Andrzej Chlipalski

Post scriptum

Na s. 183 przewodnika znalazła się zaszczytna dla piszącego te słowa wzmianka, niestety niezbyt ściśła. Oto w kamienicy przy ul. Kadeckiej 28 nie mieszkała rodzina Chlipalskich, lecz rodzina mojej matki, i to do 1945 r. W domu tym,



u babci, mieszkałem w czasie II wojny. Natomiast do moich dziadków Chlipalskich należała willa przy ul. Kosynierskiej 7 (dziadków wywieźli sowieci do Kazachstanu w 1940 r.).

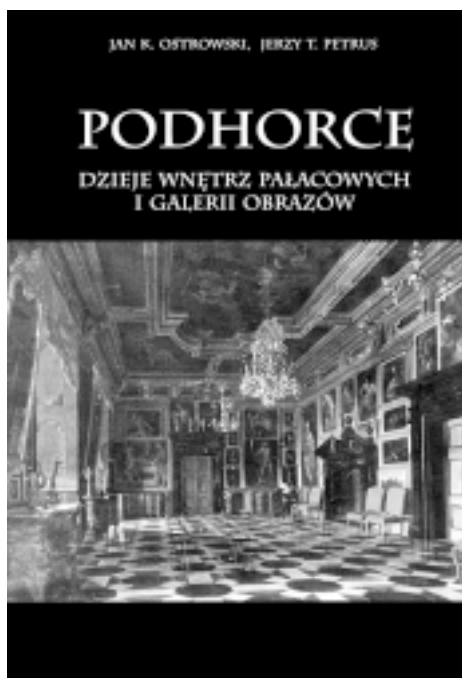
Ale problem bardziej istotny: w kamienicy na Kadeckiej 28 istnieje dotąd wykuty na marmurowej ścianie przedsionka łaciński, złożony niegdyś napis, zaczynający się od słów *Soli Deo Gloria!*, z którego wynika, że dom jest dziełem arch. J. Lewińskiego, podczas gdy w przewodniku przypisano go arch. Piątkowskiemu. Niewykluczone, że ten ostatni pracował u Lewińskiego, który projekt firmował.

Również co do willi przy Kosynierskiej 7 jest rozbieżność: w posiadanych przez rodzinę dokumentach budowniczym domu był arch. Noworyta w r. 1910, a wedle przewodnika arch. Kubisz w 1925 r. Czy o ten sam dom chodzi?

Może dla historycznej ścisłości należałoby to dokładniej zbadać?

📖 Pałac w Podhorcach wznosił w 1. połowie XVII w. Stanisław Koniępcowski, hetman wielki koronny. Jedną z najwspanialszych staropolskich rezydencji magnackich, otoczona rozległym parkiem, jest położona w pięknym krajobrazie na skraju tzw. płyty podolskiej, nieco ponad 60 km na wschód od Lwowa. Na temat tego niezwykłego, choć dziś zdewastowanego zabytku naszej kultury powstał piękny dokument – książka-album pt. ***Podhorce. Dzieje wnętrza pałacowych i galerii obrazów***. Opracowali ją najbardziej chyba kompetentni znawcy tego typu obiektów, gospodarze zamku wawelskiego: **Jan K. Ostrowski** i **Jerzy T. Petrus**. Książka liczy prawie 190 stron i zawiera 564 zdjęć i rysunków, które ilustrują w sposób niezwykle szczegółowy i nowatorski nie tylko dawny inwentarz artystyczny zamku, lecz także jego rozmieszczenie.

Po Koniępcowskich pałac przeszedł na własność Sobieskich, a następnie Rzewuskich i Sanguszków, w których posiadaniu pozostawał do czasu II wojny światowej. Jego bogato wyposażone wnętrza, niemal bez zmian, przetrwały do początku XX wieku, funkcjonując i jako wielkopolska rezydencja, i poczynając od połowy w. XIX jako prywatne muzeum, poświęcone osobie króla Jana III oraz zwycięstwom polskiego oręża. Wskutek nacjonalizacji przez władze sowieckie budowla użytkowana jako szpital i sanatorium była systematycznie dewastowana; zbiory uległy rozprosze-



niu, a pożar w 1956 r. zniszczył ostatecznie wyposażenie sal, kładąc kres istnieniu okazałych stropów z malowidłami oraz wielu elementów architektonicznych.

Omawiana książka jest obszerną monografią wnętrza pałacu podhoreckiego i wypełniającej je galerii obrazów. Jak informuje inwentarz z r. 1768, zbiór ten liczył wówczas około 900 obrazów. Autorom udało się zidentyfikować (na podstawie inwentarzy, opisów i dawnych fotografii) 492 obrazy, z czego 289 zachowanych i 203 zaginionych. W większości malowidła pochodzące z Podhorzec trafiły do Lwowskiej Galerii Sztuki i Muzeum Okręgowego w Tarnowie; pewna część znalazła się też w innych zbiorach lwowskich – Muzeum Historycznym i Muzeum Historii Religii. Kilkaście obrazów udało się zidentyfikować w muzeach i prywatnych kolekcjach w Polsce, Brazylii i USA.

Ukazanie się monografii galerii podhoreckiej należy uznać za wydarzenie ważne dla polskiej historii sztuki, zwłaszcza dla badań nad dziejami polskiego kolekcjonerstwa. Zakres i metoda badań przyjęte w tej pracy, a także posłużenie się techniką komputerową dla unaocznienia omawianej problematyki nie mają precedensu w rodzimej

literaturze naukowej. Tylko w pewnym zakresie odwołać się tu można do opublikowanej w 1932 r. monumentalnej pracy lwowskiego uczonego Tadeusza Mańkowskiego *Galeria Stanisława Augusta*.

Punkt wyjścia dla opracowania stanowiła identyfikacja każdego z malowideł w spisach inwentarzowych zamku z lat 1768, 1812, 1859, 1887 i 1939 oraz w zgromadzonej archiwalnej dokumentacji fotograficznej. Dane te pozwoliły nie tylko na idealną rekonstrukcję nieistniejącej już kolekcji, ale również umożliwiły, w oparciu o rysunkowy inwentarz z r. 1859, ukazanie rozmieszczenia obrazów (reprodukowanych we właściwej skali i wmontowanych w odpowiednie miejsca) we wnętrzach pałacowych, stwarzając niemal iluzję wędrówki po nieistniejących komnatach. Książka stanie się niewątpliwie również ważnym źródłem dla opracowania programu ekspozycji w salach pałacowych po zakończeniu rozpoczętych niedawno prac konserwatorskich, wspartych finansowo przez polskie Ministerstwo Kultury. Pałac bowiem jest obecnie oddziałem Lwowskiej Galerii Sztuki.

Książka o Podhorcach jest efektem wielu lat badań prowadzonych przez autorów w modelowej współpracy z ukraińskimi badaczami sztuki, której we Lwowie patronował dyrektor tamtejszej Galerii Sztuki Borys Woźnicki. Do jej powstania przyczyniły się pracownicy Galerii – Oksana Kozyr i Tatiana Sabodasz. Ze strony Muzeum Okręgowego w Tarnowie współpracowała Angela Sołtys. Dokumentacja fotograficzna jest dziełem St. Michy. Prowadzenie badań nad podhorecką galerią w znacznym stopniu wsparł Komitet Badań Naukowych, który wraz z Fundacją Lanckorońskich sfinansował wydanie książki. (PG)

📖 Okręg Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego w Krakowie wydał książkę-album pt. **Panteon Narodowy Żołnierzy Armii Krajowej Polskich Kresów Wschodnich. Folder-Przewodnik** (Kraków 2002). Autorem tekstu (przetłumaczonego na trzy języki) jest **Jan Sura**. Album zawiera kilkadziesiąt kolorowych zdjęć tablic pamięci. O Panteonie w krakowskim kościele św. Jadwigi Królowej piszemy szeroko w tym numerze, w dziale *W Krakowie i dalej*.

Album można nabyć w lokalu Okręgu przy ul. Senatorskiej 15 (poniedziałki 15–17 i czwartki 10–12) lub zamówić, wpłacając należność na konto Okręgu nr 10601389-320000474325 w IV O. Banku Przemysłowo-Handlowego, Kraków.

📖 Swoje zainteresowanie Lwowem (i – rzecz zrozumiała – całą Małopolską Wschodnią) objawiają obie główne humanistyczne uczelnie Krakowa – UJ i Akademia Pedagogiczna – m.in. przez coroczne sesje, a następnie wydawnictwa ich materiałów (niestety okres między sesjami a wydawnictwami dochodzi do paru lat, ale to nie wina organizatorów). Z satysfakcją zauważamy, że zainteresowanie *naszym* tematem istnieje na wielu uczelniach krajowych – do czołówki poza wymienionymi należy Uniwersytet Rzeszowski (dawna WSP), ale także wyższe szkoły w Kielcach, Częstochowie, Opolu. Jakoś nie docierają do nas wydawnictwa uniwersyteckie z Wrocławia, Warszawy i Katowic, ale to nie znaczy, że tam *lwowski* temat nie jest uprawiany.

Wydawnictwo Naukowe AP w Krakowie dało nam już IV tom z serii pt. **Lwów, miasto, społeczeństwo, kultura** (2002), ten pod redakcją **Kazimierza Karolczaka**. Jest on owocem sesji pod takim samym tytułem z maja 2000 r. Grube tomisko zawiera 26 referatów (w tym 12 podanych cyrylicą).

Referaty uszeregowano wedle czterech okresów historycznych: staropolski, XIX wiek, międzywojnie oraz II wojna i lata po niej. W tym ostatnim na pięć referatów aż cztery wydrukowano po ukraińsku. Szkoda, że nie uwzględniono tu współczesnych problemów Polaków i polskości, tym bardziej że wśród referatów wygłaszanych przez Ukraińców kilka dotyczyło ich nacji z trzech pierwszych okresów.

W pierwszej części szlagierem jest tekst Łukasza Walczego pt. *W sprawie początków Lwowa*. Nasi Czytelnicy pamiętają tego samego autora artykuł w CL 1/01, który wzbudził duże zainteresowanie. W części drugiej znalazły się dwa ciekawe teksty R. Wasztyla i Cz. Michalskiego na temat wychowania fizycznego i sportu. W trzeciej części uwagę zwraca artykuł W. Masiarza: *Lwów – opiekunem zesańców syberyjskich i więźniów caratu*, a w części ostatniej W. Bonusiaka *Radziecki aparat okupacyjny we Lwowie w latach 1939–1941*. Niestety nie umiemy ocenić tekstów wydrukowanych po ukraińsku.

Na marginesie: *primo* – referat wygłoszony przez Niemkę przetłumaczono na polski, a dlaczego nie czyni się tego z tekstami ukraińskimi?

Przecież duża ich część dotyczy naszej kultury, a cyrylica – jeszcze bardziej niż sam język – oddcina nas od ich poznania.

Secundo – szkoda, że nie uwzględniono współczesnych problemów Polaków i polskości, tym bardziej że wśród referatów ukraińskich kilka dotyczyło ich nacji i kultury.

Trzeba wreszcie dodać, że większość opracowań naszych autorów dotyczyła spraw rusko-ukraińskich. Wobec wielowiekowej historii polskiego Lwowa proporcja ta została mocno zachwiana, na co pozwalamy sobie zwrócić uwagę organizatorów sesji i wydawnictw.

📖 Starsi borysławianie uczynili to, co należało: wydali zbiorowy pamiętnik swojej niezwykle – niekoniecznie w całkiem pozytywnym sensie – miejscowości. Państwo **Lesław Będkowski** oraz **Adam i Bogusława Krupowie** (wspomagani przez parę jeszcze innych oddanych sprawie osób) dokonali czynu chwalebne, zbierając ogrom wspomnień, fotografii, wycinków prasowych, dokumentów i innych jeszcze materiałów, tworząc książkę-album pt. **Borysław w okrucach wspomnień**, wydaną i sponsorowaną przez firmę, która nie po raz pierwszy daje dowód szacunku dla historii i tradycji: Poszukiwania Nafty i Gazu w Krakowie (Kraków 2000, część pierwsza).

Wydawnictwo poświęcone jest nie tyle miejscowości w sensie przestrzennym i wytwórczym, co ludziom, którzy rodzili się, wzrastali i pracowali na tle tego zadziwiającego – ni to miasta czy osady, ni to rozległego zakładu kopalniano-przemysłowego, w którym – patrząc na zdjęcia – wszystko było pomieszane. Wydaje się, że przezwisko *polskie Klondike* było utracone, choć z upływem lat i dziesięcioleci dokonywano wysiłków, by i przemysłowi, i mieszkańcom utworzyć ramy normalnej egzystencji: cywilizowanego bytowania, sanitarnego porządku oraz komunikacji i transportu.

Uczynili więc autorzy słusznie, bo najbardziej ulotne jest ludzkie życie. Nie da się ukryć, że dożywa swych lat pokolenie, które ze swego całkiem młodego wieku może pamiętać t a m t e n Borysław: najpierw przemysłowców (którzy w Borysławiu przeważnie nie mieszkali, raczej w Drohobyczu i dalszych okolicach), potem jego elitę inżynierską,



urzędniczą, lekarską, adwokacką (czy tu można zaliczyć też nauczycieli?), średnią klasę fachowców-rzemieślników, drobnych kupców itp., a wreszcie marnie opłacaną, ciężko pracującą rzeszę robotniczą, różnych wyrobników, *łebaków*... Jego eleganckie wille, *kasarnie* i nędzne chałupiny. W żadnym chyba mieście nie było tak bolesnych kontrastów, jak właśnie w Borysławiu.

Autorzy nie zagłębiają się co prawda w takie socjologiczne tematy, ale już same liczne zdjęcia ujawniają szczególnie charakter stolicy polskiej ropy. Zdjęcia historyczne, bo tego krajobrazu już nie ma. Przede wszystkim dlatego, że sowieci dość szybko uwinęli się ze zmarnowaniem naturalnego bogactwa naszego zagłębia naftowego, a za tym poszła likwidacja szybów, instalacji, drewnianego budownictwa. Zniknęli liczni niegdyś w Borysławiu Żydzi.

Autorzy przeważnie wywodzą się i opisują życie owej klasy średniej. Obraz życia ich środowiska jest ciekawy, barwny, wielostronny. Piszą o życiu codziennym w swoich kasarniach, o pracy rodziców, o szkołach i nauczycielach. A potem – o wojnie, konspiracji. Parę osób wspomina Brunona Schulza.

W sumie wydawnictwo potrzebne, bo uzupełnia wcześniej wydaną literaturę, związaną zresztą głównie z wyższą warstwą przemysłowców i inżynierów.


Mamy tylko jedno zastrzeżenie: co do formy wydawnictwa. *Leżący* format jest niewygodny i w czytaniu, i w przechowywaniu. Za dużo też pseudografiki, zwłaszcza w doborze druku i rozmieszczeniu ilustracji, za dużo *białych plam*. Przy tej samej zawartości książka mogłaby być o wiele oszczędniejsza i tańsza dla wydawców.

📖 Nie tak dawno (CL 1/99 i 2/2000) anonowaliśmy dwa kolejne tomy autorstwa Władysława Wilgusiewicza o energetykach *lwowiakach* i *kresowiakach* na Górnym Śląsku. Obecnie otrzymaliśmy okolicznościowe opracowanie pt. **XXX-lecie Instytutu Techniki Ciepłej Politechniki Śląskiej** (Gliwice 2001) z dwoma aż podtytułami: *Lwowskie tradycje oraz Śląska szkoła termodynamiki i energetyki ciepłej*, a materiały zebrali i opracowali prof.dr inż. **Andrzej Ziębik** i dr inż. **Józef Szymczyk**.

W książce – poza krótkim omówieniem historii lwowskiej szkoły termodynamiki (którą tworzyło środowisko naukowe związane z katedrą Teorii Maszyn Ciepłych na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej) oraz wymienieniu czołowych postaci tej dyscypliny w latach przed II wojną – zamieszczono biogramy profesorów lwowskich: Tadeusza Fiedlera (Sanok 1858 – 1933 Mościce), Romana Witkiewicza (Stanisławów 1886 – 1941 Lwów, zamordowany na Wulce), Stanisława Ochęduski (Lesko 1899 – 1969 Gliwice), Kazimierza Szawłowskiego (Rostów 1898 – 1969 Kraków), Jana Szarguta (ur. Lwów 1923), Eryka Prugara (Lwów 1916 – 1989 Gliwice).


📖 **Ks. Tadeusz Zaleski-Isakowicz** nie tylko duszpasterzuje Ormianom w Krakowie i kieruje ośrodkiem dla *Muminków* w Radwanowicach. Znajduje jeszcze czas, by pisać naukowe książki. Niedawno otrzymaliśmy opracowany przezeń, a wydany przez Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne (Kraków 2001) **Słownik biograficzny duchownych ormiańskich w Polsce**. Taki tytuł widnieje na okładce, a na stronie tytułowej uściślono: *Słownik biograficzny duchownych ormiańskich oraz duchownych rzymskokatolickich pochodzenia ormiańskiego w Polsce w latach 1750–2000*. Zamieszczono życiorysy prawie 250 księży, w tym kilku arcybiskupów. Znajdujemy również w słowniku biogramy współczesnych, znanych nam księży, w tym ks. Cezarego Annusewicz z Gdańska, samego Autora, a także ks. Jana Abrahamowicza, dziś rzymskokatolickiego proboszcza parafii św. Krzyża w Krakowie.

Książka do nabycia u autora:
32-064 Rudawa, Radwanowice 1.

 **Małgorzata Balukiewicz** podjęła ciekawy temat badawczy, który rozszerza naszą wiedzę o życiu społecznym Lwowa i całej Małopolski Wschodniej w czasach przedrozbiorowych, w czasie zaborów i w latach międzywojennych. Tytuł książki brzmi: **Projektoraty lwowskie** (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000), a dotyczy ona działalności opiekuńczo-wychowawczej nad dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, podejmowanej przez władze samorządowe, stowarzyszenia i organizacje społeczne oraz fundacje. Autorka na wstępie wyjaśnia, że powodem podjęcia tematu był z jednej strony brak opracowań tych zagadnień w odniesieniu do Ziemi Wschodnich (na ową ponad półwiekową lukę w badaniach naukowych zwracamy uwagę w *Słowie od Redakcji* w niniejszym numerze), a z drugiej strony *było również bogactwo materiałów źródłowych, świadczących o dorobku społeczności ziemi lwowskiej w zakresie niesienia pomocy*.

W książce czytamy nie tylko o instytucjach, zajmujących się opieką, także o zasłużonych ludziach: Dawidzie Abrahamowiczu i jego zakładzie, ks. Zygmuncie Gorazdowskim i jego dziele, Józefie Torosiewicz, o zamożnych rodzinach, które świadczyły na cele dobroczynne, m.in. o znanym kupcu lwowskim Edmundzie Riedlu, który z końcem XIX w. ofiarował folwark Hołosko Wielkie na rzecz gminy z przeznaczeniem pod budowę sanatorium przeciwgruźliczego. Wśród dziesiątków nazwisk spotykamy dra Alojzego Juzwę, Józefa Swatonia, Mieczysława Kistryna, x. Wandę Czartoryską. Mowa także o koloniach urządzanych dla ubogiej młodzieży – padają nazwy Dobromila, Kosowa, Roźniatowa, Turki i wielu innych.

Na końcu zestawiono listę zakładów całkowitej i częściowej opieki nad dziećmi i młodzieżą, w tym poradni przeciwgruźliczych (było ich w województwie 25), ochronek (we Lwowie było ich 49), burs i internatów, stacji opieki i pogotowia opiekuńczego (stacje opieki nad matką i dzieckiem – to wcale nie wynalazek socjalizmu!), zakładów specjalnych, zakładów opieki całkowitej, przytulisk oraz osiedli dla bezrobotnych i bezdomnych.

 Ta książka z pewnością nie trafi *pod strzechy*, ponieważ jest zbyt specjalistyczna. Trzeba ją jednak odnotować, bo dotyczy bliskiego nam regionu: **Nazwy miejscowe**

we Tarnopolszczyzny (motywacja – geneza – struktura). Napisał ją **Edward Kłisiewicz** z krakowskiej AP, a opublikowało Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej (Kraków 2001).


Praca przedstawia stan onomastyki w tym granicznym województwie w czasie do II wojny, ponieważ od tamtego czasu jej obraz uległ całkowitemu zamazaniu. Autor kontynuuje prace prof. Jana Zaleskiego, który zebrał materiał nazewniczy i ogłosił w książkach *Nazwy miejscowe Tarnopolszczyzny* oraz *Polszczyzna Kresów Południowo-wschodnich...* (patrz CL 3/99). O tej pierwszej jedynie wspominaliśmy, nie było jednak okazji jej omówienia, ponieważ ukazała się na wiele lat przed powstaniem naszego pisma). Opiekunem naukowym autora był wschodniamałopolanin prof. Leszek Bednarczuk.

Autor nie daje jednoznacznej odpowiedzi na temat prymatu nazw polskich lub ruskich na obszarze Tarnopolszczyzny. Materia jest tam zbyt pomieszana przez historię, którą autor na wstępie charakteryzuje. Wspomina, że – jak pisze kronikarz ruski Nestor – ziemie te zostały zaanektowane w 981 r. przez księcia kijowskiego Włodzimierza. Już wtedy więc rozpoczął się napływ ludności ruskiej, a z nią chrześcijaństwa w wydaniu rusko-bizantyjskim, siłą rzeczy przeto powstające tam miejscowości otrzymywały nazwy ruskie. Ale od XIV w. przychodzi żywioł polski i analogiczne procesy w zakresie onomastyki, ale dotyczy to tylko w części nazewnictwa nowych jednostek osiedleńczych, w większości natomiast polonizacji nazewnictwa ruskiego. Procesy to niezwykle złożone, a ich opis jest zrozumiały tylko dla specjalisty. Dla nas dostępne są co najwyżej pewne ciekawostki. Na przykład: od nazwiska *Bawor* powstała nazwa miejscowości *Baworów*, a od tej nazwy pochodzi nazwisko hrabiów *Baworowskich* (Biblioteka Baworowskich we Lwowie!), ci zaś, zakładając folwarki lub osiedla nazywali je *Baworówka* lub *Baworowszczyzna* itd.


Nazwy miejscowe (tzw. *ojkonimy* lub *mikroojkonimy*) miały różne motywacje. Często charakteryzowały warunki terenowe oraz kulturę materialną i duchową ludności tam mieszkającej. Starsze nazwy były często związane z prawem osadniczym i administracyjnym, np. *Wola* (po polsku

lub *Słoboda* (po rusku). Autor załączył mapkę województwa tarnopolskiego, gdzie te właśnie nazwy zostały pokazane. Naliczyliśmy tam 15 miejscowości o nazwie Słoboda i 18 – Wola. Te pierwsze występują w powiatach pld.-wsch. województwa: wyłącznie w zaleszczyckim, borszczowskim i czortkowskim, a częściowo w buczackim, kopyczyńskim, trembowelskim i brzeżańskim. W czterech ostatnich znajdujemy równoległe nazwę polską, a w pozostałych, zachodnich i pln.-zach. powiatach występuje wyłącznie polska Wola (podhajecki, skałacki, tarnopolski, zbarraski, zborowski, przemysłański, zloczowski, kamionecki i radziechowski; nie występują w ogóle w pow. brodzkim).

Trudne, ale ciekawe.

 Krakowski Ośrodek Myśli Politycznej (działający od 1992 r.) przygotował swój kolejny tom *studiów i analiz* pt. **Państwo polskie wobec Polaków na Wschodzie** (wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2000) pod redakcją **Tomasza Gąsowskiego**. Jest to zbiór 25 referatów (różnego pochodzenia, w części z rozmaitych sesji), ujętych w trzy działy: *I. Instytucje państwa a Polonia i Polacy za granicą w historycznej perspektywie*, *II. Prawa mniejszości narodowych w Europie Środkowej i Wschodniej*, *III. Polacy na Wschodzie a kultura polska na wschód od Bugu oraz Aneks: Głosy z drugiej strony granicy*.


Zgromadzone w tomie opracowania przedstawiają ogólną sytuację Polaków w państwach po byłym ZSRR, respektowanie ich praw (czy raczej nierespektowanie – patrz *Naszym zdaniem* w tym numerze), kwestię Kościoła i języka liturgii, problematykę dostępu i uprawiania polskiej kultury itd. Żaden z referatów nie omawia oddzielnie najbardziej nas interesującej Małopolski Wschodniej, jednak wiele z rozpatrywanych tematów do niej się odnosi. Dla nas jedną z najciekawszych jest wypowiedź ks. Romana Dzwonkowskiego: *Polacy w Kościele na Wschodzie*.

 Do dość licznych już relacji lwowian (i w ogóle wschodnich Małopolan) z *czasu walki i cierpienia* doszedł kolejny tomik wspomnień, spisanych przez **Wandę Chwastowską-Bystram** pt. **W czepku urodzona**, z podtytułem: *AK Lwów, więzienie, łagry Uralu* (wyd. Światowy Związek Żołnierzy

Armii Krajowej, Okręg Polesie, Warszawa 2002). Przed tekstem zamieściła autorka (rocznik 1916) takie motto: *Jestem lwowianką i choć życie pozabawiło mnie tego przywileju, w sercu pozostanę nią na zawsze*.

Wymowa tytułu ma dwa odniesienia. Do wybuchu II wojny życie autorki było dostatnie i barwne. Ukończyła lwowski Instytut Sztuk Plastycznych i w tym zawodzie pracowała, jeździła na nartach i żeglowała. Potem jednak nadeszła wojna i normalne dzieje młodej Polki: w 1943 r. wstąpiła do AK, była łączniczką. Autorka opisuje akcje i swoje kombatanckie przygody, wymienia wiele osób i ich działalność (jest to więc dokument!). Jedną z osób dość szeroko opisywanych jest dobrze nam znana, dzielna kombatancka Czesława Hnatówna, potem Cydzikowa. W 1945 r. autorka została aresztowana i niebawem wywieziona. I tu znowu dostajemy wielką ilość informacji o wydarzeniach, łagrowym życiu i zesłańcach.

Na koniec drugie nawiązanie do *urodzenia w czepku*: Chwastowskiej udało się z nieludzkiej ziemi wrócić w 1948 roku. Osiedła w Warszawie.

 Książka **Stanisława Głębińskiego** juniora (ur. 1924) o Stanisławie Głębińskim seniorze (1862–1941) zaczyna się tak:

MIASTO ZE SNÓW

Mieszkaliśmy we Lwowie i do piętnastego roku życia byłem najgłębiej przekonany, że w tym mieście spędzę całe swoje życie. Gdyby mi ktoś powiedział, iż nie tylko nie będę tam mieszkał, ale że tego Lwowa, jaki znałem, w ogóle nie będzie, że zniknie zmieciony przez historię i chyba już nigdy się nie odrodzi, a w każdym razie nie za mojego życia, uznałbym to za bredzenie wariata. Ten Lwów, żyjący nadal w mojej pamięci, był prześlicznym, wyjątkowym, niepowtarzalnym miastem czysto polskim – bez najmniejszych polskich obsesji, bez cienia chorobliwego nacjonalizmu, pozabawionym uprzedzeń antyukraińskich czy antyżydowskich. Przeciwnie, miasto miało charakter międzynarodowy, pełne było Żydów, Ormian, spotykało się Węgrów, Rumunów, przybyszów ze Wschodu i Zachodu. Czciło się pamięć Lwowskich Orłąt i każdego roku na Zaduszki paliło się świeczki na ich cmentarzu na Łyczakowie, ale nie było w tym cienia antyruskiej czy antyukraińskiej nienawiści.

Życie ułożyło mi się tak, że przez wiele lat mieszkalem w Budapeszcie, Pekinie, Nowym Jorku i Waszyngtonie, a wreszcie oczywiście w Warszawie. Nie wymieniam nawet miast, które odwiedziłem. Nie widziałem jednak i nie znam miasta tak pięknego, o takiej atmosferze, tak chwytającego serce jak Lwów.

Przez lata byłem pewny, że pochodzimy ze Lwowa, a moi dziadowie i pradziadowie byli Lwowiakami. Nie miałem wątpliwości, że Lwowiakami będą kiedyś moje dzieci, wnuki i prawnuki. Cholemnie się myliłem. Kończyłem dziesięć lat, kiedy się dowiedziałem, że mój ojciec [...] urodził się w małym miasteczku o nazwie Skole, a dzieciństwo spędził w kilku galicyjskich miasteczkach – Brzozowie, Samborze i Czortkowie. W Samborze kończył gimnazjum, a we Lwowie zamieszkał dopiero w 1880 r., kiedy zaczął studia na wydziale prawa lwowskiego uniwersytetu. [...]

A nieco dalej:


[...] Patrząc na kopuły świątyń, spadziste dachy pałaców i staromiejskich kamienic, myślałem o ojcu i mieście, jakie znałem. Było w nim przecież coś bardzo szczególnego, co je odróżniało od innych miast w Polsce. Nie chodziło o to, iż było architektonicznie wyjątkowe, stało na pagórkach, miało tak wiele parków, ale że panowała w nim zupełnie wyjątkowa atmosfera. Nikt w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, nawet w Krakowie nie był tak dumny, że mieszka w tym właśnie mieście, jak Lwowiak z pochodzenia ze Lwowa i zamieszkania w nim. Dotyczyło to w takim samym stopniu zarówno Polaków, jak i Żydów, Ormian oraz Rusinów. Po wojnie prowadzono kampanię miłości do Warszawy, ale jej rezultaty nie umywały się nawet do tego, co czuli do swojego miasta Lwowiacy, mimo że nigdy nie organizowano kampanii miłości do Lwowa. Wiem, że zabrzmiało to śmiesznie, naiwnie, nawet infantylnie, ale Lwowiak to było słowo równoznaczne z określeniem narodowości. Polak ze Lwowa czuł się bardziej wartościowym Polakiem niż przeciętny warszawiak. [...]

Książka nosi tytuł *W cieniu Ojca* (wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa 2001), a jej bohaterami są obaj, ojciec i syn. Ojciec, ekonomista, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, był jednym z najwybitniejszych polityków II Rzeczypospolitej, przywódcą obozu narodowo-demokratycznego, posłem i senatorem, kilkakrotnym ministrem. Podobne stanowiska zajmował przed I wojną światową w Wiedniu, był prezesem Koła Polskiego w parlamencie austriackim, ministrem

– ale zawsze mieszkał we Lwowie. Zginął w więzieniu sowieckim, nie chciał bowiem opuścić Polski w 1939 roku.

Autor pisze też dużo o sobie. We Lwowie skończył szkołę powszechną, ale wstąpieniu do gimnazjum przeszkodziła wojna. Granicę węgierską przekroczył sam, uczył się w słynnej szkole polskiej w Balaton-Boglar. Potem różne przeżycia – niemiecki obóz koncentracyjny, studia w Kolonii, a po powrocie do Polski – dziennikarstwo, w którym zrobił karierę. Jej szczytem była akredytacja przy Białym Domu.

Może warto jeszcze dodać, że w latach 90. był Głabiński związany z Federacją Organizacji Kresowych w Warszawie, współpracując z jej prezesem Stanisławem Mitraszewskim.

 Horodenka, Kołomyja i Kosów – to nazwy przewijające się przez niezwykle ciekawe oraz serdeczne (i dobrze napisane) wspomnienia **Zygmunta Jana Jaworskiego Łuk białej drogi**, z podtytułem: *Wspomnienia z nad Prutu i Dniestru* (Wydawnictwo Biuro Tłumaczeń, Wrocław 2002). Przed oczami czytelnika najpierw staje pełne uroku, spokojne miasteczko powiatowe w południowo-wschodnim zakątku Polski, pełnym słońca, owoców i wspaniałych zabytków. Autor opisuje miejsca swojego życia z niezwykłym sentymentem – świadczy o tym już sam tytuł książki: Łuk drogi widziany z rodzinnego domu.

Nieco później mieszkał autor z rodzicami w Kołomyi, tam chodził do szkół, dojrzewał. Potem była wojna, sowiecka okupacja, czas niezwykłych wydarzeń – tragicznych, dramatycznych, komediowych. Warto zacytować taką scenkę:

[...] W naszej szkole, przemianowanej na Szkołę Średnią nr 3, dyrektorem został Rosjanin. Jakaś bliżej niesprecyzowaną funkcję pod nazwą „zawiedujuszczycy” pełnił rosyjski oficer o nazwisku Kołomyjec. Jedną z głównych postaci był profesor Hamer. Był to niski, przysadzisty i mocno przygarbiony Żyd, który tuż przed wojną zgłosił się na ochotnika jako tak zwana „żywa torpeda”. Był on oficerem polskim i należał do związku rezerwistów. Ten Hamer zmienił jednak teraz całkowicie skórę. Udawał wielkiego komunistę, a na lekcje przychodził z pistoletem pod marynarką. Zaraz też w pierwszych dniach zaczęło dochodzić do konfliktów z tym wykładowcą. Nie

znał mnie z czasów polskich, bo wówczas wykladał język niemiecki, którego nie uczyłem się. Dość szybko jednak zorientował się, że z tym czarnym, siedzącym w ostatniej ławce chłopakiem, nie będą łączyły go przyjazne stosunki.

I tak się dość szybko stało. Hamer uczył nas języka ukraińskiego i polskiego. Pewnego dnia, gdy w myśl rozkładu zajęć wypadały lekcje polskiego, wszedłszy do klasy, odezwał się do nas po ukraińsku. Jak już zaznaczyłem, siedziałem w ostatniej ławce, a sąsiadem moim był Zbyszek Dobrucki. Usłyszawszy wypowiedź Hamera, odezwałem się nie podnosząc z ławki: *Dziś jest lekcja języka polskiego!*

– Nie szkodzi – odpowiedział Hamer. – Będziemy przerabiać materiał z ukraińskiego. – A ja nie będę odpowiadał po ukraińsku. Ta moja wypowiedź była już wybitnie prowokacyjna. Hamer wstał z krzesła, trzasnął w stół dziennikiem i wbiwszy we mnie wzrok jak bazyliszek, zgarbiwszy się jeszcze bardziej, zaczął zbliżać się ku mojej ławce. Stanąwszy przy niej, wywołał mnie po nazwisku. Wstałem, mając tę satysfakcję, że patrzyłem na niego z góry. Zadał mi pytanie o literatury ukraińskiej. Milczałem. Zadał drugie. Również milczałem. Po trzecim i takiej samej reakcji, kazał mi siadać i wywołał Dobruckiego. Zbyszek wstał posłusznie, ale nie odezwał się ani słowem. Przed nami siedziały dwie koleżanki: Polka i Żydówka. One również zareagowały podobnie. Hamer wrócił na miejsce i rozpoczął lekcję języka polskiego. [...]

Potem okupacja niemiecka, udział w ruchu oporu, powrót sowietów, I Armia WP, a w tym wszystkim dość skomplikowany bieg wydarzeń, podany w sposób jakby skrótowy, pośpieszny. A szkoda, bo przeżycia autora warte byłyby szerszego opisu (jak w pierwszej części książki).

Opowieść Jaworskiego ma jeszcze jeden niezwykły i wzruszający wątek: jego miłość do

Ani – koleżanki, sympatii, narzeczonej. A potem przez lat kilkadziesiąt – ukochanej żony. Ale to już po ostatniej stronie opowieści...

Warto jeszcze podkreślić wartość dokumentacyjną tej książki. Autor wymienia

bardzo wiele nazwisk mieszkańców swoich stron, kolegów, współkomatantów, ich działania, postawy i losy.

Piotr Georgius (PG), Malwina Piskozub

Jest co czytać (29)

ROCZNIK Z RZESZOWA

W 1994 roku zaczął wychodzić w Rzeszowie „Rocznik Wschodni”. Redakcja napisała w pierwszym numerze:

Chcielibyśmy poruszać w „Roczniku Wschodnim” możliwie szeroką gamę zagadnień: politycznych, społecznych, religijnych, kulturalnych, gospodarczych. Chcielibyśmy je opisywać z n a s z e g o p u n k t u w i d z e n i a (podkr. CL), ale także zapraszamy do współpracy autorów ze Wschodu [...].

To słuszne założenie jest realizowane, potwierdzamy to z satysfakcją. Ostatnio dostaliśmy nr 6 z roku 2000, w którym Redakcja zapowiada rozszerzenie swoich zainteresowań na szerszy obszar Europy Środkowo-Wschodniej.

Obserwacja dotychczas poruszanej problematyki wskazuje na zdecydowaną przewagę tekstów na tematy n a m najbliższe: Małopolski Wschodniej oraz, z konieczności, państwa Ukraina. To nie zaskakuje, przecież Rzeszów z natury rzeczy, z racji swego położenia leży na odwiecznym europejskim szlaku do Lwowa, do wschodnich granic Europy zachodniej, której Lwów był ostatnim wielkim bastionem. Od wieków też był ze Lwowem związany – najpierw w ramach Ziemi Przemyskiej (której chcemy poświęcić jeden numer CL), potem w obrębie województwa lwowskiego. Wyrażamy więc nasze uznanie.

Oczywiście pisze się i o innych ziemiach zabrzanych – o Białorusi i Litwie. Co do tej ostatniej: w numerze 1/94 znaleźliśmy kapitalny skrót historii Litwy, o czym dotąd wielkiego pojęcia nie mieliśmy. Chętnie przedrukowalibyśmy część tego artykułu (pt. *Traktat polsko-litewski i co dalej?*), gdyby autor A. Dawidowicz i Redakcja RW się na to zgodzili. Myślimy bowiem o wydaniu – może jako *specjalny* – numeru poświęconego Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie, Polesiu, tak jak dwa numery „S” w 2000 i 2001 r. poświęciliśmy Wołyniowi.



Z kolei w nrze 6/2000 naszą uwagę zwrócił artykuł M. Figury pt. *Działalność metropolity A. Szeptyckiego w latach 1921–1923 w świetle prasy zachodniej i północnej*. Włos się jeży, gdy się to czyta. Ale co jeszcze nas zaskoczyło: ówczesnie serdeczne zainteresowanie prasy Poznania, Górnego Śląska, Bydgoszczy, Grudziądza śmiertelnym niebezpieczeństwem, wiszącym wtedy nad Lwowem i Małopolską Wschodnią. Sprawdziły się w całej rozciągłości słowa Marszałka Piłsudskiego (zacytowane w CL S/01), który zauważył, że *Polska jest jak obwarzanek* – takiej solidarności w Polsce centralnej trudno by oczekiwać...

Sporo – i zawsze z godnością – pisano w dotychczasowych numerach RW o gehennie Polaków na *nie ludzkiej ziemi* i o ich losie w państwach-sukcesorach ZSRR.

Jednego nie możemy darować Redakcji tego ciekawego czasopisma: okładki. Słowa *Rocznik Wschodni* wypisano jakby starocerkiewnym liternictwem, a obok umieszczono upiorną ni to postać, ni to mumię jakiegoś *świaszczennika*. Kto to wymyślił?

Kazimierz Selda

Wertując wydawnictwa

➔ Skandaliczna afera z wybrykami rady miejskiej *Lwiwa* spowodowały **kolejną fazę zainteresowania Lwowem i jego historią**. We wszystkich czasopismach ukazały się dziesiątki nie tylko bieżących wiadomości, ale i obszernych artykułów o wydźwięku zdecydowanie sympatycznym. Wyjątkiem był obrzydliwy wyskok niejakiego Kuronia – ale o tym piszemy osobno.

W „Dzienniku Polskim” 120/02 znaleźliśmy trzy obszerne artykuły na pełne dwie strony gazety: *Cmentarz Orłąt Lwowskich: umarli abyśmy wolni żyli*, *Galicja Wschodnia: wojna polsko-ukraińska 1918–1919* oraz *Obrona wiernego miasta* (wszystkie sygnowane PS). W pierwszym podano kalendarium wydarzeń, ilustrujące paranoiczną „huśtawkę” w negocjacjach z przedstawicielami władz państwowych oraz administratorami Lwowa (podobną, choć mniej spektakularną zdemonstrowali w kwestii szkół polskich w Mościskach i Strzelczyskach). Zamieszczono też odbitkę nekrologu pierwszego poległego obrońcy Lwowa, Andrzeja Battaglii.

➔ Ukazała się drukiem *Nowenna przez wstawiennictwo bł. Józefa Bilczewskiego...*, w redakcji ks. Jacka Waligóry (Lwów 2001). Tekst niewielkiego tomiku obejmuje 9 rozważań na tle odpowiednio dobranych fragmentów listów pasterskich, odezwo, kazań i mów okolicznościowych Arcybiskupa. Rozważania przygotowali – jak wyjaśnia redaktor – alumni IV kursu Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie-Brzuchowicach w ramach ćwiczeń z homiletyki.

Bardzo nam się spodobało wykorzystanie w medytacjach cytatu z *Listów* bł. Józefa w I dniu nowenny, zatytułowanej „*Poswzechność Kościoła*”:

[Kościół] ***Nikomiu nie zabiera jego języka rodzinnego, ale szanuje go, broni go, aby każde dziecko i dorosły mógł chwalić Pana Boga w najdroższej mu mowie ojczystej.***

Alumni reprezentują obie narodowości, polską i ukraińską (jak można się domyślić z brzmienia ich nazwisk, wymienionych na wstępie tej książeczki), a najpewniej pochodzą z rodzin mieszanych, dobrze więc, że pedagodzy uświadamiają im znaczenie języka ojczystego. Oczywiście pod warunkiem, że nie traktuje się tego pojęcia opacznie, jak czynią to niektórzy księża (głównie przybyli tam z RP), o czym przeczytaliśmy w artykule ks. Dzwonkowskiego w CL 2/02.

➔ **Beatyfikacja abpa Józefa Bilczewskiego** wywołała nie tylko w nas wdzięczność Bogu, radość i dumę, także – co oczywiste – u Jego rodaków w Wilamowicach i całej tamtej okolicy – małej ojczyzny Błogosławionego. Zalicza się do nich ks. prałat Jan Gasidło, proboszcz kolegiaty św. Anny w Krakowie, który ofiarował nam dwa ciekawe wydawnictwa związane z wyniesionym na ołtarze lwowskim Arcypasterzem.

Pierwsze – to pamiątkowy album pt. *Błogosławiony Arcybiskup Józef Bilczewski – rodak z Wilamowic*, zredagowany przez ks. prałata Michała Bogutę oraz Grzegorza Grzybka i Piotra Lorenca, wydany przez Parafię Rzymskokat. Trójcy Świętej w Wilamowicach (2001). Zawiera on część tekstową, złożoną z różnych wypowiedzi o bł. Józefie, widzianym przez duchownych, członków rodziny, naukowców i parafian. Część ilustracyjna obejmuje kilka serii zdjęć samego Błogosławionego i Jego rodzinnej miejscowości



(z różnych epok), z procesu beatyfikacyjnego, a następnie z uroczystości we Lwowie oraz w Wilamowicach.

Drugie wydawnictwo to mała książeczka pt. *Na ścieżkach modlącego się Arcypasterza*. Są to fragmenty pism abpa Bilczewskiego, wybrane i skomentowane przez ks. Józefa Wołczańskiego

(Wydawnictwo Bł. Jakuba Strzemię Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., Lwów 2000). Z tej właśnie książeczki wybraliśmy myśl Błogosławionego, którą zamieściliśmy na wstępie poprzedniego numeru CL (2/02, s. 1).

➔ Znany filozof katolicki, emerytowany dziś **profesor KUL Stefan Swieżawski** ukończył 95 lat. Był jedynym z Europy Wschodniej *audytorem* świeckim Soboru Watykańskiego II.

S. Swieżawski urodził się w 1907 r. w majątku k. Hrubieszowa, ale – jak mówi – *wychował go Lwów i dziś poza Lwowem nigdzie nie czuje się u siebie*. We Lwowie skończył gimnazjum w 1929 r. oraz filozofię na Uniwersytecie Jana Kazimierza, był uczniem prof. K. Ajdukiewicza, a po studiach został jego asystentem. Po wojnie osiadł w Krakowie, dojeżdżał do Lublina przez 30 lat. Na starość zamieszkał w Warszawie, w domu ss. Urszulanek.

Powyższe dane zacerpnęliśmy z rozmowy Ewy Berberysz z Profesorem, zamieszczonej w „Rzeczypospolitej” 46/02 (nie ze wszystkimi wypowiedziami Profesora możemy się zgodzić). Dodajmy, że poza całym cyklem dzieł o historii filozofii XV w. i innymi pracami naukowymi Stefan Swieżawski spisał (opublikowane przez Redakcję Wydawnictw KUL, Lublin 1989–1991–1993, 3 tomy wspomnień: *Wielki przełom 1907–1945*, *W nowej rzeczywistości 1945–1966* i *Owoce życia 1966–1988*).

➔ W tym samym piśmie **Erwin Axer, znakomity reżyser teatralny** ze Lwowa rodem

(ur. 1917), we wspomnieniu pt. *Rajd na południe*, spisany w niewoli niemieckiej (po powstaniu warszawskim), przywołuje ucieczkę ze Lwowa w 1939 r. – w kierunku Karpat, na Węgry. Padają swojskie nazwy: Bóbrka, Rohatyn, Kałusz, Stanisławów, Kołomyja, Nadwórna.

Przypomnijmy, że o trzech tomach wspomnień E. Axera (dużo później napisanych) pisaliśmy w CL 4/99.

➔ Rok 2002 został przez polskie sfery naukowe ogłoszony *Rokiem Steinhaus*. Znakomity ten matematyk urodził się 115, a zmarł 30 lat temu (1897–1972). Z tej okazji Marian Urbanik opublikował w „Polityce” 18/02 artykuł nie tylko o Hugonie Steinhausie, ale o całej **Lwowskiej Szkole Matematycznej**, ze szczególnym wyeksponowaniem postaci i dorobku najjaśniejszej gwiazdy tej konstelacji naukowej, Stefana Banacha. Znany z dowcipu Steinhaus mówił o nim: *geniusz – gen i już*.

Autor opowiada o słynnej *Księżdzie Szkockiej* (zeszyt podobno kupiony przez żonę Banacha, Łucję), która była przechowywana przez płatniczego w Kawiarni Szkockiej. Każdy z matematyków mógł ją wypożyczyć i wpisać tam zadanie dla innych albo swoje rozwiązanie cudzej kwestii. Autor twierdzi, że Łucja Banachowa przywoziła tę książkę do Wrocławia, ale kiedy indziej słyszeliśmy, że jest przechowywana w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. Jak jest naprawdę?

Urbanik przypomina rozmowę matematyka amerykańskiego J. von Neumanna z Banachem we Lwowie w 1937 r., kiedy to na życzenie prof. Norberta Wienera, nazywanego *ojcem cybernetyki*, Neumann usiłował ściągnąć naszego uczonego do USA. – *Ile daje profesor Wiener?* – zapytał Banach. Neumann wręczył mu czek z napisaną jedynką: – *Prof. Wiener prosił, żeby dopisać tyle zer, ile pan uzna za stosowne*. Banach odpowiedział: – *To za mała suma, aby opuścić Polskę*. Dopowiedzmy: aby opuścić dobrowolnie Lwów.

➔ Z dużym opóźnieniem nabyliśmy i dlatego dopiero teraz odnotowujemy, że numery 21–22/99 „**Przeglądu Wschodniego**” zawierają materiały z konferencji, która odbyła się we Lwowie w listopadzie 1999 r. pt. *Badania historyków sztuki nad zabytkami*

Ukrainy, Białorusi i Litwy. Nas szczególnie mogą interesować referaty:

Nr 21. A. Rudnicki, I. Dyda: *Problemy i metody ochrony historycznego dziedzictwa architektury po obu stronach granicy polsko-ukraińskiej*; P. Krasny: *Województwo ruskie jako region artystyczny w czasach staropolskich*; J. Paszenda: *Kościół Jezuitów we Lwowie w świetle źródeł archiwalnych*; O. Remszyło-Rybczyńska: *Uczestnictwo polskich historyków sztuki w badaniach architektoniczno-artystycznych w Podhorcach* (j. ukr.); O. Rybczyński: *Mitologia architektonicznej przestrzeni miasta Buska* (j. ukr.)

Nr 22. T. Zaucha: *Łukasz Zaydakiewicz – osiemnastowieczny snycerz drohobycki*; W. Bałus: *Grupa Ukrzyżowania na fasadzie kościoła św. Elżbiety we Lwowie*; R. Brykowski: *Odkryte fragmenty polichromii w kościele parafialnym w Dobromilu*; J. Wolańska: *Kilka uwag na temat ikonografii małowiekłej Jana Henryka Rosena*; A. Szczerski: *Ruch odnowy rzemiosł we Lwowie około roku 1900 i jego angielskie inspiracje*.

► Wiemy, jak jest dzisiaj: państwo ukraińskie składa się z kilku (sześciu) małych ze sobą związanych krain, które z łaski Związku Sowieckiego utworzyły Ukrainą SSR, a z chwilą upadku Sojuza stały się osobnym państwem. Ziemiąmi tymi są: całkiem zrusyfikowana Ukraina *lewobrzeżna* i nieco mniejszy (bo bliżej zachodu) zrusyfikowana Ukraina *prawobrzeżna*, z niemalym procentem ludności polskiej, oraz niegdyś tatarski Krym, całkowicie zrusyfikowany po wyrzuceniu stamtąd przez Stalina Tatarów, a Ukrainie przyznany dopiero przez Chruszczowa. Te trzy krainy od XVII–XVIII w. należały do carskiej, a potem sowieckiej Rosji. Kolejne trzy krainy zostały zaanektowane przez ZSRR pod koniec II wojny: nasze Małopolska Wschodnia i Wołyń, część rumuńskiej Mołdawii i Bukowina oraz węgierskie Zakarpacie. Pretekstem do okupacji stało się istnienie w nich ukraińskich mniejszości narodowych (każdy pretekst dobry, skoro do dziś nikt nawet nie zakwestionował prawa Rosji do części dawnych Prus Wschodnich – o tym piszemy osobno).

A jak było kiedyś? Pisał o tym w „Dzienniku Polskim” 248/99 Władysław A. Serczyk w felietonie *Zrozumieć Rosję*, opowiadając o przygotowywanych przez siebie *Najkrót-*

szych dziejach Rosji. Oto interesujące nas fragmenty tekstu Profesora, który pisze najpierw o Rusi Kijowskiej, średniowiecznej poprzedniczce państwa moskiewskiego:

Kłopoty zaczynają się już wówczas, gdy trzeba opisać wydarzenia pierwszych lat istnienia Rusi Kijowskiej. [...] Już wówczas próbuje się postrzegać jedno terytorium, jeden kraj, rozwijający się wedle tych samych reguł i borykający się z tymi samymi problemami. Tymczasem rozdrobnienie Rusi nie rozpoczęło się dopiero od testamentów podziałowych sporządzonych przez wielkich książąt kijowskich na początku XII stulecia, lecz istniało od samego początku ruskiej państwowości. Co prawda ziemie należały do jednej rodziny książęcej, tak jednak skłóconej ze sobą, że rzadko zdarzał się rok bez konfliktu, sporu czy nawet wojny, w której nader często odwoływano się do „pomocy sąsiedzkiej”, także – polskiej. Z wielkim trudem mobilizowano się do wspólnego stawiania oporu najeźdźcom zewnętrznym, czego dowodów nie brakuje, także w sławnym „Słowie o pułku Igora”, genialnie przyswojonym językowi polskiemu przez Juliana Tuwima. Sojusze takie nie trwały zresztą długo i wszystko kończyło się kląpą, zarówno w walkach z Pieczyngami, Połowcami, jak i najazdem mongolskim.

Późniejsze „zbieranie ziem ruskich” podejmowane przez kolejnych władców odbywało się często nie tylko wbrew woli książąt udzielnych, nie zamierzających łatwo rezygnować z panowania nad paroma grodami i kilkudziesięciu wioskami, lecz również wbrew woli mieszkańców przyłączanego terytorium. [...]

Wypisz-wymaluj jak dzisiaj. Władca-prezydent w Kijowie swoje, a udziałni książęta w miejskiej radzie *Lwiwa* – swoje. I wbrew woli mieszkańców...

► Mamy już drugie (poszerzone) wydanie dzieła traktującego o historii dziedziny nauki niezwykle – i to wielostronnie – ważnej w naszej dobie: **100-lecie geofizyki polskiej 1895–1995** (wydawnictwo „Arbor”, Kraków 2001). Napisał ją w formie *k a l e n d a r i u m* emerytowany już dziś profesor tej dyscypliny w krakowskiej AGH Jerzy Kowalczyk i zadedykował: *mojemu Miastu* (czytaj: Lwowowi) *i mojej uczelni* (oczywiście AGH).

O zastosowaniu geofizyki pisaliśmy już przy omawianiu I wydania (CL 2/2000). Warto tu natomiast opowiedzieć, że pierwsze obserwacje geofizyczne podejmowano niewątpliwie w starożytności, a w Polsce zaczęły się one w średniowieczu. Pierwsze na ziemiach polskich *in situ* obserwacje meteorologiczne (ta dziedzina też należy do geofizyki) rozpoczęto we Lwowie z końcem XVIII w., nieco później w Krakowie. W 1811 r. „Gazeta Lwowska” zaczęła publikować dane meteorologiczne.

Pierwsza katedra geofizyki powstała na Uniwersytecie Krakowskim w 1895 roku, ale jej twórca i pierwszy profesor Maurycy Prus-Rudzki (1862–1916) urodził się w Uhryńkowcach k. Zaleszczyk, studiował zaś wpierych w Uniwersytecie Lwowskim, potem w Wiedniu.

Rozwój nauki i badań oraz placówek i instytucji związanych z geofizyką był w ciągu XX wieku niezwykle intensywny. Zwróćmy jednak uwagę, że w latach międzywojennych jedyna katedra geofizyki była na UJK we Lwowie. Utworzono ją na wniosek prof. E. Romera, a na jej profesora powołano Henryka Arctowskiego (1871–1958). Katedra miała swoje stacje w Janowie k. Lwowa i w Daszawie k. Stryja. Druga wojna położyła kres tej znakomitej placówce.

W latach po II wojnie nastąpił dalszy rozwój dyscyplin geofizycznych. Na krakowskiej AGH działali m.in. profesorowie Henryk Orkisz, dawny współpracownik H. Arctowskiego, oraz Jerzy Kowalczyk.

➔ W „Dzienniku Polskim” 253/2000 Andrzej Bogunia-Paczyński przedstawił artykuł pt. *Misjonarze, nie fabrykanci*, poświęcony dwóm wybitnym twórcom polskiego kopalnictwa i przemysłu naftowego w zagłębiu borysławskim, związanym szczególnie ze Schodnicą: Stanisławowi Szczepanowskiemu (1846–1900) oraz Kazimierzowi Odrzywolskiemu (1860–1900) – los sprawił, że zmarli w różnych miejscach, lecz w odstępie jednego dnia! Ich współpracownikiem był inżynier konstruktor Wacław Wolski, a wszyscy trzej byli blisko ze sobą spokrewnieni. Nazwiska owych trzech pionierów naszej gospodarki związały się trwale z takimi miejscowościami, jak wspomniana Schodnica, Bitków, Słoboda Rungurska, Dżurów, a także Ropa k. Gorlic i parę innych.

Warto przy okazji wspomnieć, że w Schodnicy znajduje się – poza cmenta-

rzem – grób K. Odrzywolskiego z figurą, ale pozbawiony stosownego napisu. Został jednak zidentyfikowany przez młodego Polaka z Borysławia, Witolda Korbeckiego, który poczynił starania o jego odnowę i odtworzenie płyty.

➔ W niezbyt przez nas lubianej „Gazecie Wyborczej” ukazały się (28 III '02) **dwa ciekawe teksty o literaturze**. Pierwszy to W. Orlińskiego *Powrót do Drohobycza* – o Andrzeju Chciuku i jego *Atlantydzie*. Autor artykułu wysoko ocenia tę gawędę o „Wielkim Księstwie Bałaku”, które ciągnęło się od Zbrucza aż po Łańcut, a które we wspomnieniu Chciuka jawi się jako rajską kraina. Podaje też Orliński koleje życia Chciuka (1920–78), opierając się na książce B. Żongołłowicz (którą niżej odnotowujemy, jednak jej dotąd nie widzieliśmy).

Drugi tekst to artykuł I. Grudzińskiej-Gruss o odbiorze polskiej poezji w USA, a w szczególności o dwóch spotkaniach z tą poezją w Nowym Jorku. Najpierw 1200 osób wysłuchało wierszy czworga największych poetów: Cz. Miłosza i W. Szymborskiej oraz Zb. Herberta i A. Zagajewskiego. Zwróćmy uwagę: tych pierwszych dwoje to nobliści, dwóch następnych to poeci, którzy tej nobilitacji się nie doczekali, mimo iż przez wiele lat byli na liście kandydatów. Dlaczego tak się stało? Różnie mówią, my też parokrotnie o tym pisaliśmy.

W kilka dni potem 400 osób spotkało się z Adamem Zagajewskim. Nie musimy przypominać, że Herbert i Zagajewski to lwowianie. Dlatego o tym wszystkim napisaliśmy.

Na marginesie: A. Zagajewski otrzymał ostatnio nagrodę literacką niemieckiej Fundacji im. K. Adenauera z komentarzem, iż jego twórczość *jest mocno osadzona w historii, wykazując równocześnie dużą nowoczesność*.

Adam Zagajewski mieszka od lat w Paryżu, a okresowo dojeżdża do Houston w USA, gdzie na tamtejszym uniwersytecie prowadzi seminarium literackie.

Wiadomość z ostatniej chwili: Adam Zagajewski wrócił do Polski i osiadł w Krakowie. Z wykładów w Houston nie rezygnuje.

➔ W „Rzeczpospolitej” 138/02 znalazła się ciekawa rozmowa J. Bończy-Szablowskiego z **Dorą Kacnelson**, bywałą też w Krako-

wie historyczką i działaczką, zamieszkałą w Drohobyczu i Berlinie. Zasadnicza część rozmowy toczyła się wokół Brunona Schulza i afery związanej z wykradzeniem jego malowideł z Drohobycza – do tej sprawy wrócimy (wzmianki zamieściliśmy w CL 3/01 i 1/02). A oto końcowy fragment rozmowy na inny aktualny temat:

JBS: Do niedawna mówiło się, że stosunki polsko-ukraińskie są lepsze niż kiedykolwiek. Świadczyć o tym miały częste wizyty prezydentów i liczne deklaracje dobrej woli. Sprawa Cmentarza Orłąt wybiła nas jednak z tego optymistycznego nastroju.

DK: Mam wrażenie, że ten optymizm to, niestety, w dużej mierze gra pozorów. Częste wizyty w świetle reflektorów, zapewnienia o przyjaźni z jednej strony, a z drugiej bardzo mało konkretnych i nieliczenie się z racjami Polaków. Ciągająca się niemiłosiernie sprawa Cmentarza Orłąt i kompromitujące postępowanie ze spuścizną Schulza to dwa z wielu przykładów, na które przymyka się oczy. Myślę, że władze polskie dbając o dobre kontakty z Ukrainą zapominają o Polakach zamieszkałych na dawnych kresach. Kiedy w kwietniu przyjechałam do Polski, dowiedziałam się, że w Krasiczynie ma odbywać się konferencja na temat akcji „Wisła” i nie zaproszono na nią Polaków z Ukrainy. Wystosowałam w tej sprawie protest do polskich parlamentarzystów.

JBS: Strona polska zgodziła się niedawno na postawienie w Warszawie pomnika Tarasa Szewczenki. Może w drodze rewanżu warto by wspomnieć się o pomnik i muzeum Schulza w Drohobyczu?

DK: Pan w to wierzy?

JBS: Na wieczorach literackich w naszym kraju spotykała się pani z gorącym przyjęciem. Nie myślała pani, by zostać w Polsce?

DK: Moi rodzice, rosyjscy Żydzi, uciekli w 1920 roku przed bolszewikami do Białegostoku. Od dzieciństwa nasiąkałam polskością. Chodziłam do polskiej szkoły, słuchałam wierszy Mickiewicza i Słowackiego. Po wojnie zostałam w ZSRR, by badać ślady kultury polskiej na Wschodzie, opublikowałam świadectwa zesłańców na Syberię. Miałam wiele wzruszających spotkań z Polakami, którzy mimo złego stanu zdrowia i podeszłego wieku odmówili repatriacji. Chcieli ratować resztki kultury polskiej. Ja też postanowiłam trwać na placówce. Mam nadzieję, że moje archiwa wileńskie, syberyjskie, petersburskie, znajdują się w Polsce. Kiedy uda mi się to przeprowadzić, pomyślę o powrocie.

➔ W „Dzienniku Polskim” 180/02 K. Jakubowski przedstawia XVIII-wieczny kościół Bonifratrów przy ul. Krakowskiej na Kazimierzu w Krakowie. O tej dawnej świątyni trynitarzkiej pisze m.in. *Początkowo Trynitarze osiedlili się we Lwowie, a stamtąd przybyli – w roku 1688 – do Krakowa.*

Zapewne z winy niezbyt zręcznego sformułowania ktoś mógłby zrozumieć, że Trynitarze przenieśli się ze Lwowa pod Wawel. Nic podobnego – Lwów był główną siedzibą tego zakonu w Polsce i pozostał nią aż do kasaty tego zakonu przez Austriaków po I rozbiórce (1783). Lwów stanowił najlepszą lokalizację dla Trynitarzy, powołanych w Europie w XII wieku do celów wykupu jeńców z rąk *pogańskich* – tzn. islamskich, tam arabskich, a w naszym przypadku tureckich – ponieważ leżał najbliżej ziem, na które przez kilka wieków najeżdżali Tatarzy i Turcy (nie raz wspomagani przez Kozaków i Wołochów). Ze Lwowa wyruszały więc wyprawy na *redempcje*, czyli wykupy, które kierowały się głównie w rejon Stambułu i na Krym. Inne placówki – a było ich w Polsce kilkanaście – obowiązały do gromadzenia funduszy na te przedsięwzięcia.

We Lwowie były dwa kościoły Trynitarzy: dzisiejsza (od pocz. XX w.) cerkiew Przemienienia przy ul. Krakowskiej oraz kościół św. Mikołaja (zabrany na cerkiew prawosławną).

➔ W księgarniach, prasie i ulotkach znaleźliśmy informacje o książkach, które mogłyby nas zainteresować (ale ich nie czytaliśmy):

■ **Andrzej Rostworowski: *Ziemia, której już nie zobaczysz*** (wyd. „Czytelnik”, Warszawa 2002). Wspomnienia obejmują m.in. naukę w Zakładzie Naukowo-Wychowawczym w Chyrowie, działalność w POW, udział w wojnie z bolszewikami.

■ **Bogumiła Żongołowicz: *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*** (1999).

■ **Roman Drozd: *Ukraińska Powstańcza Armia*** (wyd. Burchard Edition, Warszawa 2000). Książka ta, jak przeczytaliśmy w „Myśli Polskiej”, nobilituje UPA i jest skandalicznym przykładem fałszowania źródeł i faktów w celu wybielenia i heroizowania tej przestępczej formacji.

■ **Piotr Mikietyński: *Generał Stanisław hrabia Szeptycki. Między Habsburgami a Rzeczpospolitą*** (Towarzystwo Wydawnicze „Historia Jagiellonica”, Kraków 1999).

Maria Klara Bohomolec

stylem bycia, nienaganną prezencją i zadbanie, wrodzonym, nie wymuszonym osobistym czarem. Cieszyła go ogromnie obecność przy nim odpowiedniej osoby, a cała taka znajomość przebiegała w dobrym stylu i nie mogła nikogo razić. Lubił i rozumiał doskonale młodzież, a ta lubiła go także i szanowała.

Za swą pracę został przez ówczesne władze polskie udekorowany Orderem Polonia Restituta, który wtedy był niezwykle daleko od jego socjalistycznej dewaluacji. Należy jeszcze wspomnieć, że był we Lwowie jedynym chyba lub jednym z bardzo niewielu prenumeratorów „Daily Mail”, przysyłanym mu systematycznie z Londynu. Umiał pięknie opowiadać dobrym i barwnym językiem i roztaczać przeróżne wizje, urzekające mnie jako młodocianego słuchacza. Wiele tematów dotyczyło jego osobistych przeżyć, wiele z nich było wykładnią lub komentarzem do historii oraz sztuki w każdej postaci. Oprócz mego ojca, kształtował moje zainteresowania i wyczuł na słowa Szekspira, nutę Beethovena, a także krasę gór, łoskot halnego wiatru, szum tatrzańskich potoków, a nawet ciepło kobiety. Wielka Mu chwala za to!

Wkroczenie bolszewików do Lwowa w 1939 roku przerwało piękne czasy, tak nierozzerwalnie łączące się z osobą Wuja Klaudiusza. Przez jakiś czas pełnił jeszcze swoje pedagogiczne obowiązki, zajmując służbowe mieszkanie w budynku PST. Pamiętam doskonale, jak jeszcze w jego dyrektorskim gabinecie nasłuchiwaaliśmy z potężnej, nowoczesnej superheterodyny wiadomości BBC z Londynu, poprzedzane charakterystycznym sygnałem V od *Victory* w alfabecie Morse’a. Cieszyliśmy się wtedy ogromnie z każdego sukcesu dzielnych Finów, był to więc listopad lub grudzień ’39. Bolszewicy nie zabierali odbiorników radiowych, zadowalali się tylko ich zagłuszeniem, co im się w dużym stopniu udawało. Nasłuch był faktycznie bardzo utrudniony, ale każde słowo audycji w języku polskim pozwalało choć na chwilę oderwać się od załamującej, bolszewickiej rzeczywistości i niosło pocieszenie.

Rodzina Filasiewiczów musiała w końcu opuścić mieszkanie służbowe i przeniosła się do mieszkania w kamienicy przy ul. Tarnowskiego 15, będącej własnością ciotki Juli. Przy okazji pragnę powiedzieć, że we Lwowie, odwrotnie niż w Krakowie, numery nieparzyste leżały po lewej stronie ulicy.

Jeszcze przed I wojną światową, gdzieś w latach 1912–14, ciotka Julia udzieliła doróżnej pomocy finansowej lub gościny nieznanemu emigrantowi politycznemu z Rosji. Stało się to zupełnie przypadkowo, nie było dyktowane sympatią galicjan do wrogów carskiego reżymu. Lata minęły, aż tu pewnego dnia, już po tamtej wojnie, nadeszła dla ciotki Juli przesyłka, w której znajdowała się piękna pozłacana szkatułka metalowa, ozdobiona misternie żyłkowanym malachitem. Dołączone były podziękowania za dokonaną niegdyś grzeczność, sformułowane na bilecie wizytowym z napisem *Wladimir Iljicz Ulianow*. Nic dodać, nic ująć, oprócz tego, że wizytówka ta pozwoliła na przetrwanie rodziny Filasiewiczów w mieszkaniu, tym właśnie, w którym została udzielona przypadkowa pomoc owemu, aż za dobrze potem znanemu panu. Oto jak się życie nieraz dziwnie układa.

Nasze kontakty z Wujostwem stały się w okresie wojny rzadsze, bo to ani warunków, ani ochoty do nich już nie było, aż wreszcie opuściłem Lwów z matką i siostrą na zawsze, pozostawiając aresztowanego przez NKWD ojca w dłуго nieznaney nam sytuacji.

Wuj Klaudiusz pojawił się zupełnie niespodziewanie w moim życiu jeszcze raz, zgoła w innym charakterze. Otóż będąc po II wojnie profesorem Politechniki w Gliwicach, był równocześnie wykładowcą obróbki plastycznej metali na Wydziałach Politechnicznych AGH w Krakowie, kiedy ja byłem studentem III roku. Podjąłem u niego nawet temat tzw. pracy przejściowej. Więzy rodzinne, moja osobista ambicja oraz autorytet Wuja wymagały szczególnego przyłożenia się do tej pracy oraz egzaminu, by się w jego oczach nie zhańbić. Na wykłady przybywał Wuj bodajże dwa razy w miesiącu

i przeważnie nas wtedy w domu odwiedzał. Niestety jego wada słuchu, rzekomo wynik służby w austriackiej artylerii, wzmogła się w międzyczasie i porozumiewanie się z nim wymagało natężenia głosu. Na tym tle krążyły wśród studentów różne wieści oraz „kawały”. Moim jednak zdaniem Wuj był doskonale świadomy swojej wady i dobrze panował nad studentami, a egzaminy przebiegały prawidłowo. Niezależnie od swej pracy

pedagogicznej był cenionym fachowcem w warunkach hutniczego Śląska.

Wuj zmarł w Gliwicach po śmierci swojej żony i tam został pochowany. Niestety nie pamiętam daty jego śmierci, wiem jednak, że był u nas w Krakowie jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Pozostał na zawsze wzorem chętnie wspominanym i ze szczerym podziwem uznawanym.

Listy do redakcji



Od Ks. biskupa Stanisława Padewskiego otrzymaliśmy – poza tym, który przytoczyliśmy w poprzednim numerze – jeszcze jeden list, skierowany do autorki notatki pt. Wywiad, a zamieszczonej w CL 3/01 na s. 35–36. Oto treść listu:

Proszę Pani, Stalin wysiedlił od Zbrucza 100 km aktywniejszych Polaków na Sybir, bojąc się piątej kolumny – po wojnie bolszewicko-polskiej zbudował szereg betonowych bunkrów tuż za Zbruczem, można to zauważyć jadąc do Chmielnicka.

Tym ludziom po śmierci Stalina (1953) nie wolno było wracać do swojej ojcowizny. Osiedlali się na innych terenach radzieckiej Ukrainy i dziś w każdym rejonie możemy odnaleźć „korzenie katolickie” byłych zesłańców.

Co też Pani pisze: „Pojęcie zsyłek nie ma z tą ziemią najmniejszego związku”. Skąd Pani wzięła takie stwierdzenie?!!! Jak tak można? To manipulacja!!!

Dziękujemy za potwierdzenie: nie było zsyłania na Ukrainę. To, że wracający ze zsyłek Polacy, deportowani w latach 30. z ziem ukraińskich, osiedlali się na powrót na Ukrainie, to już całkiem inna sprawa – przecież wracali do kraju, z którego ich wywieziono, choć nie do tych samych miejscowości. Nie mieszkamy więc tych rzeczy.

Zdanie w naszym tekście: „Pojęcie zsyłek nie ma z tą ziemią najmniejszego związku” odnosi się poza tym do pktu 2., gdzie mowa jest o Małopolsce Wschodniej. Przecież ani carat, ani Stalin nie mogli tam zsyłać Polaków – czy to nie jest jasne? Nato-

miast Polacy stamtąd wywiezieni w latach 1939–40 i po 1944 już tam wrócić nie mogli (może poza nielicznymi jednostkami), bo albo wyszli z ZSRR dzięki Andersowi przez Iran – na Zachód, albo po 1945 r. wrócili do powojennej Polski. Prosimy o dokładne przeczytanie notatki i nie zarzucanie nam manipulacji. Aż dziwne, że trzeba to tłumaczyć.

*Wszystkie więc zarzuty ks. Biskupa w kwestii naszego tekstu są nietrafne. A na marginesie: czy ludzie mający inne zdanie – przecież nie w *p r i n c i p i a c h* – muszą być oskarżani (cytujemy:) o beztroskę, apodyktyczność, arbitralność i demagogię (jak p. Kostecki za swój pełen troski, lecz wyważony list), a teraz jeszcze o manipulację? I skąd te generalnie nieprzyjemne uczucia do Polaków?*

Przyjemność sprawił nam list od p. dr Anny Makomaskiej z Anglii, której wiersze wydrukowaliśmy w poprzednim numerze.

[...] Bardzo dziękuję za tak piękny dar; jest to dla mnie zaszczyt mieć swoje wiersze wydrukowane w tak świetnym piśmie. Kwartalnik „Cracovia-Leopolis” czytałam jednym tchem, z wielkim zainteresowaniem, przyjemnością, ze wzruszeniem.

Artykuł „Skole, Skole, moja miłość” wzruszył mnie, mało wiedziałam o przeżyciach wojennych rodzin pozostałych w Polsce. Opisy miejscowości, dziś już nie naszych, przywołały mi na pamięć bardzo dawne, piękne lata dzieciństwa i młodości.

Inne artykuły: wiadomości ze Lwowa, wspomnienia, wywiady, recenzje nowych książek etc. były dla mnie niezwykle interesujące – lektura, której tu nie mam. [...]

Dziękujemy za miłe słowa.

Nadszedł list z Jaworowa. Ostatnio powstał tam (chyba osiemnasty) oddział Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Píše pani prezes Zofia Michniewicz:

Drodzy! Będąc w Warszawie natrafiłam na czasopismo „Cracovia-Leopolis”. Jestem zachwycona. Ile patriotyzmu, nostalgii do Lwowa, Kresów. Chcę przybliżyć i Jaworów. Czy mogę? Dla naszego TKP zbieram wspomnienia, materiały, pamiątki o Jaworowie.

Proszę o uwagi, pomysły, o pomoc na początku drogi. Życzę wszystkim zdrowia, wielu łask Bożych. Szczęść Boże!

Pani Zofio, cieszymy się z tego kontaktu. W tym numerze w naszym Słowniku zamieszczamy – dla Pani – hasło „Jaworów”. Będziemy zbierać wszystko, co dotyczy tego historycznego miasta, które sobie upatrzył król Jan III.

Zawstydzili nas Stryjanie! Oto list p. Teresy Olszańskiej, prezeski Oddziału Stryjan TMLiKPW w Gliwicach:

W numerze 4/01 „Cracovia-Leopolis” wydrukowano *Zapomnianą lwowską kolędę*. Uprzejmie informuję, że w numerze 9/2000 czteromiesięcznika „Z nurtem Stryja”, wydawanego przez Oddział Stryjan w Gliwicach, ukazała się pod tym samym (wymyślonym przeze mnie) tytułem odtworzona z pamięci owa kolęda, z tym że w CL opuszczono w ostatniej zwrotce słowo *łaską*. Dlatego przypuszczam, że kolęda owa została przez ową tajemniczą osobę przepisana z naszego czteromiesięcznika: ponieważ, jak wspomniałam wyżej, kolęda została odtworzona z pamięci, opuszczono w niej dwie zwrotki, których i w CL nie ma, poza tym nasze piśmię do Lwowa (i do Krakowa) też dochodzi.

W międzyczasie zdobyłam całą kolędę wraz z nutami, zamieściłam więc pełny jej tekst w numerze 11/12 „Z nurtem Stryja”, który to tekst Państwu nadsyłam. A kolędę skomponował Zygmunt Noskowski, warszawianin, który ze Lwowem nie miał nic wspólnego i chyba i ja, i Państwo mylimy się sądząc, że to jest *Lwowska kolęda*.

Serdecznie Pani dziękujemy za wyjaśnienia i za tekst kolędy. Rzeczywiście, nabrał się. Zawierzaliśmy bez reszty naszej lwowskiej korespondentce, jednak nie podejrzewamy jej o nierzetelność – przysłała to w dobrej wierze, a my nie wpadliśmy na to, że trzeba sprawdzić. Otwarty pozostaje jednak problem autorstwa tekstu, ponieważ Z. Noskowski skomponował muzykę. Co powstało wcześniej?

Chcemy na marginesie zwrócić uwagę, że bratanek kompozytora Witold Noskowski (1873–1939), słynny „Nos” z krakowskie-

go „Zielonego Balonika”, spędził we Lwowie lata szkolne i studenckie (1881–1900), uczył się muzyki u Stanisława Niewiadomskiego, chciał być śpiewakiem. W Krakowie poza dziennikarstwem udzielał się jako akompaniator i piosenkarz, twórca muzyki i autor wielu tekstów (wiadomości z PSB). Czy mógł więc Witold Noskowski mieć jakiś udział w powstaniu owej kolędy? Kto na to odpowie?

Pani Barbara Hetnał, wnuczka poety Lucjana Rydla (zamieszkała obecnie w Nysie) uzupełnia notatkę podaną w CL 1/02 na s. 48 na temat „Betlejem Polskiego” Rydla – w oparciu o książkę „Droga do Bronowic” Józefa Dużyka (nieżyjącego już wielkiego przyjaciela naszego kwartalnika; pisał o nim wielokrotnie w prasie).

... po raz pierwszy wystawione zostało przez dyrektora Solskiego „Betlejem Polskie” we Lwowie w sezonie 1904–5. I jak pisze autor [Rydel] w liście: ... *we Lwowie grane było Betlejem cudnie, a wystawione tak pięknie, że Ci opowiedzieć trudno*. W Krakowie wystawione zostało później w Teatrze Ludowym – cytuję autora: ... *W krakowskim teatryku Ludowym oczywiście o wielkiej wystawie nie mogło być mowy... i we Lwowie, i w Krakowie sztuka idzie raz po raz i ciągle jest pełno... Kotarbińscy teraz po niewczasie żałują, że nie wzięli jasełek*. Tyle autor.

Bardzo dziękujemy. Pani wspomnienie o Chodorowie idzie w tym numerze „inżyniersko-przemysłowym”.

Bardzo ciekawy list nadeszła p. dr Alina Chwalibogowska. Po wstępnych b. miłych dla nas słowach czytamy:

Artykuł Lepeckiego pt. *Marszałek w Zaleszczykach* [CL 1/02] jest dla mnie bliski, gdyż w sierpniu 1933 byłam na wakacjach w Zaleszczykach. Wraciałam do Lwowa 1 IX, a to właśnie z powodu przyjazdu Marszałka Piłsudskiego.



W sierpniu spędziłam wakacje w willi „Łada”, która znajdowała się dokładnie po drugiej stronie nasypu, prowadzącego do mostu na Dniestrze (zburzonego w 1918), o czym pisze Lepecki. Z powodu przyjazdu Marszałka wszystkim gościom z willi „Łada” polecono wyjechać, co i mnie dotyczyło.

Niemniej z owego nasypu można było widzieć ogród Marszałka. Mój kuzyn, wielbiciel Marszałka, wykorzystał okazję i zrobił zdjęcie, które zapewne jest unikatowe i którego powiększenie właśnie przesyłam.

W związku z *Archiwum* pt. *Zacząło się w Czarnohorze* mam również wiele wspomnień i fotografii gór, schronisk już nie istniejących. Może uda mi się nieco szerzej opisać swój pobyt na nartach w 1935 roku i przesłać [...]

Dziękujemy i czekamy na dalsze ciekawe wspomnienia.

Istotną informację biograficzną nadęstała nam p. Helena Dunicz-Niwińska, zamieszkała w Krakowie:

W numerze 4/01 w dziale *Listy do Redakcji* znalazłam wzmiankę o członkach rodziny Strońskich, a m.in. o Marii z Kornilowiczów Strońskiej i Zdzisławie Strońskim. Wzmianki te są bardzo skrótkowe i częściowo mylne.

Byłam uczennicą Marii Strońskiej w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie i przekorespondowałam z moimi koleżankami informacje dotyczące jej życiorysu. Nic nam nie wiadomo o jej pracy w Ossolineum we Lwowie.

Dość obszerne hasło dotyczące Marii Strońskiej zamieszczone jest w *Słowniku uczestniczek walk o niepodległość Polski 1939–1945* (PIW, W-wa 1988). W skrócie można powiedzieć:

Maria z Kornilowiczów Strońska, ur. w 1895 r. Po studiach polonistycznych i historycznych, nauczycielka w gimnazjum im. A. Mickiewicza i Królowej Jadwigi we Lwowie, a następnie dyrektorka Liceum Ogólnokształcącego w Stanisławowie, od r. 1936 nauczycielka gimnazjów w Warszawie.

W czasie I wojny żołnierz I Brygady Legionów. W czasie II wojny działaczka AK, szef kontrywywiadu (nazwiska okupacyjne: Wiśniewska, Sadowska). Aresztowana we wrześniu 1943, wywieziona 5 X 1943 do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie zmarła 7 II 1944. Major AK, Kawaler Orderu Virtuti Militari, Krzyża Niepodległości, Krzyża Walecznych.

Mąż Marii Strońskiej, Zdzisław, był w latach międzywojennych posłem na Sejm i jednym z wiceprezydentów Lwowa. Przypuszczalnie wymieniona w CL Zofia z Broniewskich była po II wojnie jego drugą żoną.

Bardzo dziękujemy, informacje tę wykorzystamy w naszym Indeksie Wschodnich Małopolan. A co do dalszych niejasności trzeba będzie poczekać na odpowiedni zeszyt PSB, który chyba za 2–3 lata się ukaże (ostatnio był nr 167 z nazwiskami na „So-”).

Serdecznie wszystkich pozdrawiamy

Na I stronie okładki: Trembowla przed II wojną światową

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS
został wydany przy pomocy finansowej

Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

W następnym numerze:

**O lwowskich lekarzach ❖ O zapomnianym źródle ❖ O Górze św. Jacka
❖ O „uniwersytecie na kółkach” ❖ Proza Jerzego Masióra**



W tym wieku, babciu, trudno wam tam wejść, prawda? (zdjęcie ze Stanisławowa)

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak,
Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka,
Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637-13-21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, fall@inetia.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od Redakcji		Sylwetki	
KIM PAN JEST, PANIE Ka?	II	JERZY POLACZEK	28
Felieton		CHÓR „HEJNAŁ” I JEGO KIEROWNICY	28
Barbara Czałczyńska		Słownik geograficzno-	
FELIETON W KOLORZE ŻŁOTA	I	-historyczny	
Piotr Biliński		DORA ♦ DUDA ♦ JAWORÓW (miasto)	
ARCYBISKUP WYGNANIEC	2	♦ JAWORÓW (wieś) ♦ KRZYWORÓWNIA	
Andrzej Pawłowski		♦ ŁANCZYN ♦ MAJDAN ♦ MIKULICZYN	
W SPRAWIE CMENTARZA ORLĄT		♦ ZABŁOTÓW ♦ ŻABIE	29
I NIE TYLKO	3	Naszym zdaniem	
Naszym zdaniem		Maria Godłowsky	
Barbara Kraśnicka		TU SŁUSZNIE, A TAM NIESŁUSZNIE?	30
DLACZEGO?	6	Z tamtej strony	
Barbara Ołasińska		WYDARZENIA	31
WIELKI NAFTOWIEC	7	Polacy z Polakami	
Marta Walczewska		Jacek Walczewski	
STARY LWÓW POMNIEJSZONY	10	SPRAWY POLAKÓW NA WSCHODZIE	31
Archiwum		Emilia Chmielowa	
Henryk Breit		POLSKA MA W NAS SILNE OPARCIE	32
PANORAMA PLASTYCZNA		W Krakowie i dalej	
DAWNEGO LWOWA	10	SESJA O BŁOGOSŁAWIONYM	34
Andrzej Chlipalski		Aldona Duch	
KTÓRĘDY DO WIEDNIA	13	PIERWSZA ROCZNICA BEATYFIKACJI	34
Maria Barbara Rydel-Hejnał		Jan Sura	
MÓJ CHODORÓW	17	PANTEON NARODOWY	34
Adam Trojanowski		Stanisława Valis-Schyleny	
WUJ KLAUDIUSZ	19	DZIESIĄTY ZJAZD BRODZIAN	38
Proza		NIECHĘTNY LWI/W	41
Bolesław Jan Solak		NOTATKI	42
RWD-10	21	Kultura ♦ Nauka	
Archiwum		Andrzej Chlipalski	
Jan Rogóż		CAPELLA CRACOVIENSIS	
NIEDOSZLI ZDOBYWCY PRZESTWORZY	22	NA TREMBOWELSKIM SZLAKU	44
Wiersze		POWROTY DO KORZENI	45
Krystyna Angielska		KRONIKA	45
CRACOVIA-LEOPOLIS	25	Książki ♦ Czasopisma	
Rozmowy		Piotr Georgius, Malwina Piskozub	
Romana Machowska, Andrzej Chlipalski		NOWE KSIĄZKI	47
ROZMOWA		Kazimierz Selda	
Z KS. KRZYSZTOFEM PANASOWCEM	26	ROCZNIK Z RZESZOWA	55
		Maria Klara Bohomolec	
		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	56
		Listy	62